



ROK XIII NR 8-9 (569-570) LONDYN, SIERPIEŃ-WRZESIEŃ 1959 R. CENA 3/-

# ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

EKUMENIZM I SOBÓR EKUMENICZNY — O. KAROL VAN OOST • ŚWIATOWY  
ROK UCHODŹCZY — NORA WARMINGTON • POLSKI NIE STAĆ NA NAIWNOŚĆ  
EDMUND MĘCLEWSKI • ROZWAŻANIA O HISTORII EUROPEJSKIEJ — HENDRIK  
BRUGMANS • SOCJOLOGIA RELIGIJNOŚCI: POBOŻNOŚĆ WŁOSKA — FELIKS  
W. BEDNARSKI O.P. • JABŁKO Z RAJSKIEGO DRZEWA — EWA GIERATOWA  
Z NOWEJ ZELANDII DO NIDERLANDOW — KS. LEON PLATER • POKRZYWDZO  
NA SIMONE WEIL — JANUSZ ŁASZEWSKI • NOTATKI J.B. „FUNDUSZ ŻYCIA”



„AD PETRI CATHEDRAM“, pierwsza encyklika Ojca św. Jana XXIII, mówi o Prawdzie, językiem prostszym niż wiele listów Piotrowych i przejmującym, bo Prawdę pokazuje z Miłością, jako drogę do Boga, drogę Jedności i Pokoju. Czytamy to pierwsze pisanie pasterskie, będziemy czytać wszędzie i we wszystkich językach... Streszczenie nie może być niczym więcej jak jedną z wielu prób rozważania encykliki i tych jej myśli, które przede wszystkim chwytają uwagę...

Na wstępie jest hołd dla Poprzednika, jest przypomnienie zapowiedzi Soboru, jest określony temat potrójny: „Prawda, Jedność i Pokój do osiągnięcia i pogłębienia pod natchnieniem miłości...”

Encyklika uderza w „nieznajomość Prawdy“, w „pogardzanie“ Prawdą, w „odrazę“ do Prawdy, jako w „korzeń wszelkiego zła“. Lekarstwem na to jest „Słowo Boże“: prawdy naturalne, które możemy poznać rozumem, i prawdy objawione; bez nich, bez Ewangelii, nie ma „Prawdy, uczciwości i kultury“.

Encyklika ostrzega wątpiących i gromi tych, którzy „walczą z Prawdą... bronią kłamstwa“. Adresaci są nazwani; to przede wszystkim pisarze, prasa, radio, kino, telewizja. Trzeba tych współczes-

nych narzędzi użyć do ofensywy prawdy i dobra. Zgromieni są indyferenci, zgromione jest „twierdzenie absurdałne, że wszystkie religie są tyle samo warte...”

„Z osiągnięcia Prawdy... musi wyniknąć pojednanie umysłów, serc i poczyńań...“ zamiast „ohydnego zaślepienia, które pcha ludzi do usprawiedliwiania swych namiętności i przewin...” Do „zgody i pokoju“ wezwani są wszyscy, a szczególnie przywódcy narodów. Braterstwo i wiara w nieśmiertelność duszy dają sens życiu. Dążenie do pokoju, nie do wojny, „to obowiązek“. Ucisk i pozbawianie wolności nie jest drogą do pojednania.

Zgoda między narodami i zgoda między klasami społecznymi! W dać tu i ówdzie odprężenie między kapitałem i pracą. Ale zbyt wiele jeszcze różnic, tarć na tle pogoni za zyskiem. Trzeba zapewnić pracującym i ich rodzinom nie tylko minimum egzystencji, ale dostęp do stałej poprawy bytu, do udziału w zyskach, do współdziałania w przedsiębiorczości. Trzeba w nich widzieć „osoby, więcej — braci“. Z postępem gospodarczym iść musi postęp moralny, bo tego wymaga „godność chrześcijańska... godność człowieka...“ Drogę pokaże praktyka cnoty miłości przez możnych i małuczki.

Pokój, jedność i zgoda muszą być budowane w rodzinach, w małżeństwie, w ognisku domowym; chrześcijańska instytucja rodziny umacnia fundamenty społeczeństwa.

Jedność Kościoła! Celem zapowiedzianego Soboru będzie „pobudzenie rozwoju w ary katolickiej, odrodzenie życia chrześcijańskiego wiernych, dostosowanie dyscypliny kościelnej do warunków współczesnych“. Ta „manifestacja Prawdy, jedności i miłości“ będzie „pełnym siodły czy zaproszeniem“ dla oddzielonych braci, do poszukiwania i znalezienia jedności.

Encyklika stwierdza tęsknotę za jednością w świecie chrześcijańskim. Wyjaśnia konieczne cechy pożądanej jedności — „mocnej, zdrowej i pewnej“. Jedności doktryny, rządu, kultury, w „jednym domu Ojca“, zbudowanym na opoce Piotrowej: „jest tylko jedna prawda“. Maksyma: „jedność w sprawach koniecznych, swoboda w sprawach wątpliwych, miłość we wszystkich sprawach“. Różnolitość obywateli podkreśla jedność kultu.

Ojciec św. najserdeczniejszymi słowami apeluje do „braci i synów“ oddzielonych, by pozwolili mu żywić nadzieję powrotu ich do jedności z Kościołem, powrotu do „domu wspólnego“. Zapewnia ich o swej miłości. Sławi ich przeszłość, gdy byli w Kościele, ich świętych. Wzywa ich do „świętej rywalizacji modlitw gorących i szczerych“. Zaprasza także tych, którzy, nie będąc chrześcijanami, „czczą Boga i usiłują z dobrą wolą słuchać Jego przykaza“. Zaprasza wszystkich „w duchu szczerzej pokory ewangelicznej“: „Zdajemy sobie sprawę z naszej miłości... powtarzamy te słowa: ‘Jestem... Józef, wasz brat’. Chodźcie, ‘zrozumcie nas’; niczego nie pożądamy, nie chcemy nic; o nic innego nie prosimy Boga, jak tylko Wasze zbawienie i Wasze szczęście wieczne. Chodźcie...“

Pojednanie przyniesie „pokój i radość“. Ale pokój ten musi być „pokojem czynu“, nie zaś nieróbstwa i bierności“.

Encyklikę zamyka „ojcowski zwroć nie się do wszystkich w szeregach Kościoła“: do biskupów — „znamy wasze udręki“; do księży — „niech pamiętają, że nie są urzędnikami, ale przede wszystkim ministrami spraw świętych“; do zakonników, do misjonarzy zwłaszcza, ku którym „duch nasz wybiega“, do zakonnic; do mężczyzn i kobiet Akcji Katolickiej, których „pole działania jest olbrzymie“; do chorych, kalek, starców, do nędzarzy, których cierpieniem „służą także do ekspiacji win innych“; do upośledzonych ekonomicznie, których Kościół zawsze broni, a których wrogowie Kościoła mają fałszywymi obietnicami, odbierając im wiarę, wolność i poszanowanie osoby ludzkiej; do uchodźców i emigrantów; do braci biskupów, duchowieństwa i wiernych Kościołów prześladowanych...

Wszystkich synów prosi Ojciec św. nie tylko o modlitwy, ale także o „odnowienie życia chrześcijańskiego“. Zyczy „tej cnoty, tej świętości“ wszystkim, także tym, którzy usiłują „w miłości prawdy“ do Kościoła wejść. I daje błogosławieństwo, wszystkim i każdemu, „z wielką ojcowską miłością“.



GDZIE TA WOLNOŚĆ WYZNANIA?

Nacisk na Kościół w Polsce wzrasta. Wiadomości z Polski w tej sprawie oburzają Polaków i katolików w świecie, a nawet wśród cudzoziemców nie-katolików budzą niechęć i osłupienie. Nawet ci cudzoziemcy, co gotowi byli bronić bez reszty „nowej rzeczywistości“ w Polsce, jeździli tam albo jechać chcą, pytają ze zgorzleniem: co to znaczy? po co? i zakocheni są przejawami „wstępnego dogmatyzmu“, który kompromituje „PRL“, władze i anty-katolickie czynniki w Polsce...

Niestety, fakty mówią same za siebie. Szykany; oszczerze zarzuty; prześmiewane; traktowanie kleru poniżej wszelkich wymogów przyzwoitości przez „urzędy; traktowanie katolików jako „obywateli drugiej klasy“, którym nie wolno się skarżyć; cenzura nawracająca do smutnych wzorów „określu stalinowskiego“; paraliżowanie prac charytatywnych Kościoła.

Utrudnienia kultu przez hamowanie budowy i naprawy kościołów i kaplic (sprawa Nowej Huty); są nawet wypadki niszczenia zbudowanych obiektów.

Utrudnianie nauki religii oraz praktyk religijnych wśród młodzieży, gdy faworyzuje się poczynania ośrodków wojujących z religią.

Zarządzenia, uderzające w stan posiadania Kościoła, są pogwałceniem nie tylko porozumień, ale i poprzednio wydanych przepisów: Kościół przestaje być traktowany jako organizacją społeczną, a staje się — dla celów rabunkowej polityki fiskalnej — prywatnym przedsiębiorstwem; zabiera się grunta i nie pozwala kupować, zabiera się materiały budowlane, zabiera się dary z zagranicy; nastąpiła konfiskata własności kościelnej na ziemiach zachodnich (nawet kościoły stały się własnością państwową), choć jest to posunięcie samobójcze na odcinku utrwalania przynależności tych ziem do Polski; zakazuje się kwesty przed kościołem.

Wbrew najuroczystszym oświadczeniom,

SPIS TREŚCI

Sprawy i ludzie	str. 2
FUNDUSZ ŻYCIA	4
EKUMENIZM I SOBÓR EKUMENICZNY — o. K. van Oost	5
ŚWIATOWY ROK UCHODZCZY — N. Warmington	8
POLSKI NIE STAĆ NA NAIWNOŚĆ — E. Mędlewski	10
NIEMCY — POLSKA — EUROPA St. Czechanowski	13
ROZWAŻANIA O HISTORII EUROPEJSKIEJ (3) — H. Brugmans	15
CZYTAJĄC KSIĘGĘ HIOBA — J. R. Lambor	17
SOCJOLOGIA RELIGIJNOŚCI: POBOŻNOŚĆ WŁOSKA — o. W. F. Bednarski, O.P.	18
JABŁKO Z RAJSKIEGO DRZEWIA — E. Gieratowa	21
Z NOWEJ ZELANDII DO NIDERLANDÓW — ks. L. Plater	24
JAN BABIŃ — T. Ziarski	25
Po łepkach: GAWĘDA O POLITYCE — J. B.	27
Książki: O POEZJI NIECZYTELNEJ — J. B.	28
POKRZYWDZONA SIMONE WEIL — J. Łaszewski	30
LITERATURA GRZECHU I ŁASKI — Z. E. Wałaszewski	31
NOTATKI — J. B.	33
Teatr: FELIKS KONARSKI — J. B.	34
SZEKSPIROWSKIE METAMORFOZY — H. Skarwicz	35
ROK LITERACKI — S. Legeżyński	37
Listy i uwagi: Ks. J. Jarzębowski	39



wbrew postawie prasy katolickiej i działalności ośrodków katolickich, zarzuca się Kościołowi i duchowieństwu i przeświadczenie i prowadzenie antypaństwowej agitacji politycznej. Ścisła religijna praca związana z tysiącleciem jest przedstawiana także jako manewr polityczny.

Nieprzytomne, bo nieosiągalne a zbiorowości szkodzące, wysiłki wypędzania Kościoła z życia narodu, pozbawiają społeczeństwo zbawiennego przeciwdziałania rozprężeniu moralnemu. Komu zależeć może na wzroście przestępczości, dzieciobójstwa, pijaństwa, pornografii, na wzroście nieodpowiedzialności społecznej i niesolidarności gospodarczej? Zakusy te są tak nieprzytomne, jak grubiańskie antyreligijne uwagi Chruszczowa w przemówieniach w Sosnowcu i Modrzejowie.

A próby hartują...

★

W odpowiedzi korespondentowi N. C. W. C., przedstawiciel Watykanu udzielił następujących wyjaśnień w sprawie znanego dekretu św. Oficjum, który zakazywał katolikom głosować na kandydatów do parlamentu, popierających choćby pośrednio działalność partii komunistycznej.

„...Natura dekretu — stwierdza relacja — jest przede wszystkim religijna i doktrynalna“. Aczkolwiek jego ogłoszenie było „w ścisłym związku z sytuacją polityczną na Sycylii... dotyczy on wszystkich krajów i obszarów oraz poczynań, gdzie przejawiają się zamierzenia współpracy między komunistami i katolikami.

Co do krajów bloku wschodniego, „warunek wolnej woli“ jest trudny do stwierdzenia. Wobec tego można by powiedzieć, że dekret odnosi się w zasadzie i do tych krajów, ale nie może być stosowany w praktyce...”

★

Podsekretarz Kongregacji św. Oficjum, kard. Ottaviani, wypowiedział niedawno (w przemówieniu w La Crosse, w amerykańskim stanie Wisconsin) znamienne uwagi w sprawie stosunków ze Związkiem Sowieckim:

Starania, aby Sowiety nie przedsięwzięły kroków wojennych, wymagają utrzymania z nimi stosunków. „...Jeżeliby on, że jest w stanie obłędzenia. Wynikiem byłoby odrodzenie komunistycznego entuzjazmu rewolucyjnego“. Świat zachodni powinien nadal prowadzić negocjacje i pozostawić drzwi otwarte, aby Sowiety mogły dołączyć do wspólnoty międzynarodowej. Jednakowoż Zachód winien się wystrzegać kompromisów lub ustępstw, które mogłyby zachęcać Sowiety do bezwzględności.

★

#### POMOC POLSCE I POLAKOM

Zagadnieniu pomocy uchodźcom polskim oraz pomocy katolickiej dla Polski, w związku ze Światowym Rokiem Uchodźczym, zostało poświęcone spotkanie (20. 7. 1959) działaczy Katolickiej Rady Pomocy Polakom (Catholic Council for Polish Welfare — CCPW) oraz przedstawicieli brytyjskich organizacji katolickich, zorganizowane przez wiceprezeskę Rady,



**1959-60** — „ROK ŻYCIA“, trzeci rok Wielkiej Nowenny Narodu, rok Sakramentu Eucharystii... Założenie programowe: „BRONIĆ ŻYCIA DUSZY I CIAŁA, ŻYCIA WŁASNEGO I BLIŻNICH“. Stoimy „na straży wszelkiego życia“, nadprzyrodzonego i naturalnego, godności małżeństwa i rodziny, ich misji wobec młodego pokolenia, praw jeszcze nienarodzonych...

Rocznice? Dwadzieścia lat od wybuchu wojny, która rozpetala tyle nieszczęść. Naród przeżywa dwie rewolucje: własną zapóźnicą i narzuconą, której toksyny usiłuje zwycięsko przetworzyć... „Coraz to z ciebie jako z drzazgi smolnej, wokoło lecą szmaty zapalone; gorejąc nie wiesz, czy staniesz się wolny, czy to co twoje, ma być zatraczone? Czy popiół tylko zostanie i zamęt, co idzie w przepaść z burzą? Czy zostanie na dnie popiołu gwiaz-

dzisty diament, wieki tego zwycięstwa zaranie?...”

Czternaście lat od końca wojny; bilans niezamknięty: naród żyje i wierzy, pracuje, uczy się, buduje, uparcie i trzeźwo, chce być sobą... Nie chce wojny; chce poprawy stałej, stopniowej; chociaż w rzeczywistości zmienionej, chce rozsądnej wolności i niezależności, ładu i dobrobytu — dla siebie i dla innych. Temu pomagajmy.

Dwie daty ważne: 1956 — „październik“... Ile kroków w tył? Kiedy etap następny postępu? 1957 — początek Wielkiej Nowenny Narodu! Ze Norwidowe „dyamenty“ w Polsce są, nie ma wątpliwości. Chodź o ich szlif, o oprawę. Chodź o świadome dążenie jednostki i społeczeństwa ku „zaranu wieki tego zwycięstwa“, bez doczesnej wojny.

Mrs. Douglas Woodruff, z udziałem ks. prałata W. Staniszewskiego i asystenta kościelnego mgr. D. Worlocka.

Mgr Worlock, przemawiając w imieniu patrona Rady, J. Em. ks. kardynała Godfrey'a, arcybiskupa Westminsteru, stwierdził, że potrzebą chwili i życzeniem Hierarchii jest „pobudzenie i zwielokrotnienie czynnego zainteresowania brytyjskich organizacji katolickich sprawą moralnych i materialnych potrzeb polskich uchodźców oraz sprawą pomocy katolikom w Polsce“. Katolicy brytyjscy winni — specjalnie w Światowym Roku Uchodźczym — wnikać w potrzeby polskiej społeczno-

ści przebywającej w Wielkiej Brytanii, pomagać działalności polskiego Duszpasterstwa i polskich organizacji i instytucji katolickich, wziąć udział w opiece nad starcami i chorymi. Powinni pamiętać o polskich „dip'sach“ w Europie, w szczególności uczestniczyć w trosce o dzieci polskie. Pomoc dla katolickiej Polski jest już tradycyjnym przywilejem arcybiskupów Westminsteru; kardynał Godfrey apeluje o upowszechnienie starań, by wspierać kler i wiernych w Polsce, zwłaszcza w dziedzinie naki religijnej i oświaty. Polska potrzebuje katechizmów: niech katolicy brytyjscy, niech katolickie dzie-



ci, zachęczone przez katolickie nauczycielstwo, zajmą się zaopatrzeniem polskich dzieci, polskich rodzin w podręczniki nauki katechizmu.

Mrs. Woodruff poinformowała o indywidualnej działalności dobroczynnej Catholic Committee for Poland i Anglo-Polish Catholic Association dla najbardziej potrzebujących na uchodźstwie i w Polsce. Apelowoła o udział katolicki w akcji opieki nad dziećmi polskimi z Niemiec.

W imieniu polskich członków Rady, S. Grocholski przedstawił najpilniejsze troski polskie. Co do pomocy dla Kraju: stała pamięć i modlitwa; dokładna informacja o położeniu Kościoła; publiczne dawanie wyrazu stanowisku Hierarchii i katolików w odniesieniu do Polski i Kościoła w Polsce; odwiedzanie Polski przez przedstawicieli Hierarchii i organizacji katolickich; pomoc materialna, przede wszystkim podręczniki i książki; „adoptowane” dzieła i ośrodków katolickich w Polsce przez katolików brytyjskich (diecezje, organizacje, ośrodki) dla stałej pomocy i przyjacielskiego zbliżenia. Co do potrzeb wychodźstwa: znajomość potrzeb polskiej społeczności; nawiązywanie współpracy i pomaganie polskim katolickim instytucjom i organizacjom; zapraszanie Polaków do współpracy z organizacjami brytyjskimi, zwłaszcza działającymi na odcinku świata pracy, jak np. Association of Catholic Trade-Unionists czy Young Christian Workers.

★

**WYPADKI NA DROGACH**, są tematem „intencji papieskiej na lipiec 1959 r.; Ojciec św. wzywa, abyśmy „kierując się poczuciem sprawiedliwości i miłości, wszyscy przyczyniali się do unikania katastrof drogowych”.

Na sierpień br., tematem intencji papieskiej są **SPRAWY SPOŁECZNE**: „aby

w całym świecie z dniem każdym coraz skuteczniej uczyć społeczną naukę Kościoła”.

★

**S.P. KS. BISKUP JAN STEPA**, ordynariusz tarnowski od r. 1946, b. prof. fil. UJK, zmarł w Tarnowie 28. 5. br. Wikariuszem kapitulnym został sufragana tarnowski, ks. biskup Karol PEKALA, b. dyr. Caritasu, który odwiedzał Londyn w r. 1957.

## „MISS MACKENZIE”



Choć Irene Mackenzie, od roku 1944 sekretarz generalny Angielsko-Polskiego Stowarzyszenia Katolickiego (A. P. C. A. — Anglo-Polish Catholic Association), była inwalidą, chodziła z trudem a później musiała jeździć w wózku elektrycznym — i nie mogła ruszać się wiele,

setki Polaków w Wielkiej Brytanii i w Polsce znały „Miss Mackenzie” z niestrudzonej korespondencji, z wiernej służby „szefa sztabu” w jej kwatery głównej — biurze „APKI” (najpierw na Eccleston Square, potem na Eaton Place), z jej obecności — pomimo kalectwa — na wielkich zebraniach, i nabożeństwach, i pielgrzymkach organizowanych przez „APKE” w pierwszych latach działalności Stowarzyszenia.

Śmierć Irenej Mackenzie w lipcu 1959 roku zabrała Polakom wernego i mądrego przyjaciela. Przyjaciela oddanego w modlitwie, w radzie i w pracy. Gdy choroba nie pozwalała już jej przychodzić do biura, utrzymywała nadal żywą łączność z domem z akcją, którą APCA zajmowała się w latach ostatnich — akcją pomocy indywidualnym potrzebom, głównie wysyłką lekarstw do Polski, a także organizowaniem modlitw na intencję Polski wśród niechętnych, ale wiernych członków Stowarzyszenia. Niewiele było bardziej zasłużonych Kawalerów polskiego Złotego Krzyża Zasługi.

Umarła, mając lat 64. Pochodziła ze szkockiej rodziny Mackenzie of Kintail, rodziny św. Małgorzaty. Była katoliczką z urodzenia.

Mis Margot R. Adamson, obecna hon. sekretarka APCA, tak pisze o zmarłej przyjaciółce:

„W zetknięciu z Ireną Mackenzie najbardziej niezwykle było to, że zapomniała się natychmiast o najmocniej rzucającym się w oczy fakcie zewnętrznym — jej kalectwie, z którym ona sama porać się musiała nieustannie. Pozostawała żywa świadomość jej żywotności, zainteresowań, zdolności pracy i siły woli. Myślę, że cechą, którą najtrudniej wybaczała, było wygodnictwo. Była całkowicie pozbawiona zdolności do rozczulania się nad sobą. Musiała walczyć z pokusą zniecierpliwienia, gdy jakakolwiek robota była wykonywana bez sprawności i dokładności, jakie cechowały jej pracę; albo gdy napotykała blagę, sentymentalizm czy „bohaterstwo w gadaniu”; zawsze wolała czyn od słów.

Dla APCA była czymś znacznie ważniejszym niż „gen. sekretarzem”, czy później „hon. skarbnikiem”; była sprężyną wewnętrzną, która dawała ruch. Miała dar nawiązywania kontaktu z ludźmi; niewyczerpany zasób zrozumienia czy współczucia, doświadczonych rad; umiejętność bystrej obserwacji; żywe i zrównoważone poczucie humoru. Gdy chodziło o zasady, była nieugięta. Potrafiła być ostra, ale nigdy bez dobroci. Była niezmiernie ofiarna, nie szczędząca trudu własnego.

Siebie samą określała jako osobę bardzo zwyczajną; lubiła precyzję i stałość cyfr. Ale doceniała i lubiła także ogromną różnicę ludzkich upodobań, dźwięków i zabaw.

A wszystko było u niej prześwietlone i ugruntowane i objęte wiarą, głęboką i wszechprzenikającą. Tkwiła w niej odwaga i szczerść, rzetelność i dobroć uświadomionej w pełni rzeczywistości wiary.”

★

**STOWARZYSZENIE ŚW. JANA CHRYZOSTOMA** (Society of St. John Chrysostom) w Londynie dokonało reorganizacji, by podjąć wzmożoną działalność

(Ciąg dalszy na str. 7)

## FUNDUSZ ŻYCIA

Jeszcze raz prosimy o wyrozumiałość. Wobec przeszkód, musieliśmy się zdecydować powtórnie na wydanie numeru, w większej objętości, ale jednego, za sierpień i wrzesień.

Do trudności, dla zwalczania których służą nasze apele o prenumeraty i powołanie „Funduszu Życia”, doszły niespodziewane kłopoty, które uderzyły w Wielkiej Brytanii we wszystkie przedsiębiorstwa wydawnicze. Te kłopoty powstały w zawsze najtrudniejszych i najchudszych miesiącach letnich.

Prosimy naszych Prenumeratorów o przyjęcie do zatwierdzającej wiadomości tej przymusowej dla nas samowoli. W końcu roku wystąpimy do NICH z propozycjami zadośćuczynienia.

### ZŁOZYLI OFIARY NA FUNDUSZ „ŻYCIA”

(w porządku chronologicznym od 30. 6. do 20. 8. 1959)

J. Hermanowski (USA)	£ 7. 0. 0
Matka Przełożona SS. Nazaretanek (Francja)	1. 1. 0
W. Bielawski	4. 0
O. Dunin-Borkowski	1. 2. 0
prof. dr A. Bronarski (Szwajcaria)	1. 0. 0

K. Kujawski (Włochy)	10. 0
X. Y.	10. 0
H. Jankowska	10. 0
prof. A. Ruskowski (Peru)	1. 2. 0
B Niemczyk	1. 3. 3
E. Gieratowa (USA)	1. 10. 0
O. J. Maciaszek, OFM (Argentyna)	1. 0. 0
N. Szmidkowa	4. 10. 0
Ks. M. Filipowicz (USA)	1. 15. 0
Z. Datkiewicz	14. 0

### DZIĘKUJEMY!

Pragniemy złożyć specjalne podziękowanie wszystkim, którzy starają się o nowe prenumeraty. Na czoło ich wybija się p. Alicja Kowalczyk z Detroit, działaczka P. K. S. U. „Veritas”, która w roku bież. zdobyła 20 prenumerat! Przy czynnej pomocy pp. E. Konstantynowicza i M. Kreutza uzyskała dla ŻYCIA bezpłatną reklamę w Polskim Radiu w Detroit. Oby takich więcej! Na jej ręce, jak również pp. Z. E. Wałaszewskiego, ks. dr. R. Zaniewskiego i prof. A. Ruskowskiego, naszego znakomitego przyjaciela z Limy, dziękujemy serdecznie wszystkim, którzy pomagają w zwiększeniu ilości prenumeratów. To najważniejszy odcinek w kampanii o utrzymanie i rozwój pisma.



# EKUMENIZM I SOBÓR EKUMENICZNY

## BRACIA ROZŁĄCZENI

Świat dzisiejszy szuka wśród chaosu nowych dróg, różnorodnie, często sprzeczne ideologie społeczne, ekonomiczne, polityczne i religijne, nęcą oblecującymi sloganami swej propagandy. Zgiełk jej pokrywa nieraz pustką treścią, niemniej tumania ludzkość.

Uderza nacisk, jaki współczesna działalność społeczna i polityczna kładzie na zespolenie się jednostek lub grup ludzkich. „Proletariusze całego świata łączcie się” — proklamują komuniści. Poszczególne państwa starają się oprzeć na silnych i zdyscyplinowanych partiach politycznych. Nawet stowarzyszenia i kluby sportowe wyszukującymi hasłami nawołują swych członków do jednoczenia się.

Wśród dzisiejszych apelów do jedności w imię mniej lub więcej istotnych wartości, dobrze przypomnieć sobie głos dawny, a zawsze najwyższy, najbardziej aktualny: o jedności w uroczystych słowach mówi Chrystus do uczniów w przeddzień swej śmierci. O nią prosi Zbawiciel we wzruszającym i patetycznym zakończeniu swej modlitwy kapiańskiej: „Ojciec Święty, zachowaj w imię Twoje tych, których mi dałeś, aby byli jedno, jako i my.” (Jan XVII, 11).

Nic uchybiającego w tym zestawieniu myśli Chrystusowej ze sloganami nawołującymi do zespolania się jednostek i mas, które są po prostu wyrazem instynktownego pragnienia człowieka szukającego samego siebie. Człowiek jest istotą społeczną. Takim go stworzył Bóg. Powszechność i jednogłośność tego poczucia stanowią najautentyczniejszy dowód ludzkiej potrzeby braterstwa.

Jakikolwiek kierunek świat obrzeże w swoim pochodzie czy błądzeniu, nigdy zatrzeć nie zdoła swych Boskich początków. Bóg stworzył Adama na obraz i podobieństwo swoje, zatem synowie jego nigdy nie przestaną tęsknić za tą jednością: „aby się stali jedno, jako i my.” Istnieją jednostki społeczne, ale wyjątek potwierdza regułę.

Nawet w dążeniach mężów stanu, rządzących suwerennymi państwami, do coraz częstszych spotkań międzynarodowych działa instynkt usuwania wszystkiego co dzieli. Świat dochodzi do wniosku, że wszelkie odosobnienie ekonomiczne, a nawet polityczne — jest nonsensem. Coraz wyraźniejsze staje się wzajemne przenikanie i zazębianie się najróżniejszych zagadnień, pozornie niezależnych od siebie. Świat dzisiaj, kiedy pokonana została odległość, staje się za mały, by mógł sobie pozwolić na odcinanie ludzi od siebie. Wszyscy to czujemy wobec żelaznej kurtyny. W teorii włąc przynajmniej, zrozumiano zasadę ludzkiej solidarności.

I to nas znowu zbliża ku myśli Chrystusa. Będąc członkami Ciała Mistycznego lepiej niż inni pojmujemy uzasadnienie tej solidarności. Chrystus nauczył nas obowiązku nie tylko szanowania bliźniego i przychodzenia mu z pomocą, lecz miłowania go. Bez tej braterskiej solidarności nie ma istotnego ducha chrześcijańskiego. Wszelka forma egoizmu jest przeciwna duchowi Kościoła. Nauka św. Pawła o Ciele Mistycznym podkreśla istnienie między jego członkami prawdziwych węzłów łączności w zasługach, cierpieniach, radościach i odpowiedzialnościach.

Oto atmosfera, w której powstał ruch ekumeniczny, ważny i aktualny, lecz wielu katolikom mało znany i dla-

tego niedostateczny znajdujący oddźwięk. Zapoznajmy się z nim w perspektywie Soboru Powszechnego.

Gorszącym i bolesnym faktem jest rozdarcie świętej szaty Chrystusa. Setki sekt protestanckich i odgałęzień prawosławnych powołują się na Tego, który przecież umarł na krzyżu. „żeby zgromadzić w jedno synów Bożych, którzy byli rozproszeni” (Jan XI, 52).

Nie usprawiedliwia naszej, katolików, obojętności na ten stan rzeczy fakt, że to rozdarcie jest sprawą dawną, sięgającą do XI-go i XVI-go wieku. Nie usprawiedliwia nas rozumowanie, z którym się spotykamy: „że tamci od Kościoła katolickiego, rzymskiego odeszli, to ich sprawa; wszak my pozostaliśmy wierni.” W takim zdaniu kryje się podkład faryzeizmu, który każdy katolik tak łatwo w sobie nosi. Łatwe zadowolenie osiadłego posiadacza, powtarzającego za synem wiernym: „Oto, Ojciec, przez tyle lat służę Tobie i nigdy nie przestąpiłem rozkazu Twego” (Łukasz XV, 29).

Nie będziemy tu skreślać zarysu przyczyn rozdarcia. W imię prawdy jednak stwierdzić musimy, opierając się na słowach Ojca świętego, Jana XXIII, że winy były obopólne. Potrzeba nam było usłyszeć te słowa, bo groził nam zarzut braku tolerancji i niesprawiedliwości.

Na pewno, poza dysputami czysto doktrynalnymi, w odszczepieństwach odgrywały rolę elementy polityczne, zwłaszcza sentyment nacjonalistyczny, często podrażniony do najwyższego stopnia. Lecz obok czynników politycznych, przyznać nam trzeba u promotorów herezji, jak Luter, Kalwin, Melancton — istnienie uczuć religijnych i wartości duchowych.

Obok ludzkich namiętności i pychy nieraz zbrodniczej, w Schizmie XI-go wieku i Reformacji XVI-go wieku odgrywały również rolę czynniki na wskroś ideologiczne. Najczęściej odszczepieństwa były reakcją względem pewnych kategorycznych twierdzeń Kościoła katolickiego, lub protestem wobec nadużyć i gorszącego postępowania w dziedzinie obyczajów niektórych przedstawicieli Kościoła.

Rzeczywistość domaga się od nas uznania u protestantów i prawosławnych istnienia szeregu twierdzeń słusznych i często pozytywnych, obok tych, które uważamy za błędne.

Winy są obopólne. To znaczy, że i Kościół katolicki ma sobie do zarzucenia, że nieraz nietolerancja i nietakty jego przedstawicieli przyczyniły się do rozdarcia.

Nie dziwny się, a raczej zdajmy sobie sprawę, że Kościół założony przez Chrystusa składa się z jednej strony z nieomylnego czynnika czysto nadprzyrodzonego, a z drugiej — z czynnika ziemskiego, tj. ludzi żyjących w pewnym określonym klimacie historycznym i mających swą własną indywidualność. Tak zrzucił Boski Założyciel Kościoła, aby wielka doza wiary była nam potrzebna do przebić się poprzez ten czynnik ludzki, ku Bożemu.

Nikt na przykład nie może odeprzeć siuszości ciężkich zarzutów stawianych katolickiej Francji wobec potwornej rzezi Hugonotów w noc św. Bartłomieja. Tak to nader ludzki element rozognionych namiętności spowodował niejedną zbrodniczą pomyłkę i nie mało się przyczyniło do nienawiści względem Rzymu i świata katolickiego. I takie fakty dostrzegać należy w ich klimacie historycznym, w tym wypadku spisków i intryg ówczesnego dworu francuskiego.

Samo istnienie różnic zdań niekoniecznie doprowadza do schizmy. W łonie Kościoła katolickiego istnieją różnorodne obrządkowe i liturgiczne, różne szkoły filozoficzne, duchowe, teologiczne, nie naruszające integralności dogmatów; tak w różnorodności panuje nadal jedność, mimo że niejednym tematem „disputatum est inter doctores”.

\*) Autoryzowane streszczenie referatu O. Karola van Oosta, wygłoszonego na zebraniu Koła Pań „Veritas” 28 czerwca 1959, dokonane przez Teresę Skórzewską.



Stwierdzić również trzeba, że we wszystkich Kościołach chrześcijańskich, nawet niekatolickich, można znaleźć piękne momenty, bogactwo duchowe, szczęśliwe realizacje. Niebezpieczeństwo tych sekt niekatolickich na tym polega, że rozwijając się według własnej logiki, tj. autonomicznie, łatwo zbaczają z drogi, pozbawione kontroli katolickości. Tak się stało z wielu obiecującymi w swych zaczątkach poczynaniami, które z biegiem czasu wypaczyły się i sfalszowały, bo brakło im interwencji Plotra, czyli Kryterium i podpory jedności. Na drodze heterodoksji, czyli nieprawowierności, kompromitowały się dalej, rozpadając się w okruchy coraz liczniejszych sekt.

### RUCH EKUMENICZNY

Współczesny ruch ekumeniczny został zapoczątkowany w r. 1910 w Edynburgu. Delegat jednego z młodych Kościołów Dalekiego Wschodu podkreślił, że rozłam wśród chrześcijan rujnuje skuteczność apostołstwa. Stwierdzenie to znalazło oddźwięk. Amerykański biskup Brent z Kościoła episkopalnego, arcybiskup szwedzki Söderblan i pastor szwajcarski Keller podjęli myśl zaproszenia wszystkich Kościołów chrześcijańskich na świecie do wspólnej akcji.

Na zjeździe w Sztokholmie w 1925 roku, Nathan Söderblan, abstrahując od wszystkich dyskusji teologicznych (nie było nawet jednomyślności wśród członków Zjazdu do Boskości Chrystusa) proklamował Chrystusa głową wszystkich Kościołów chrześcijańskich.

Zjazdy w 1927 w Lozannie i w 1937 w Oksfordzie mimo rozbieżności teologicznych zakończyły się wprowadzeniem wspólnej modlitwy: „Ojcie nasz“. Widoczną była wśród wszystkich delegatów tęsknota za jednością w Chrystusie.

W r. 1946 w Genewie została założona Rada Ekumeniczna.

W r. 1948 na zjeździe w Amsterdamie postanowiono, jako warunek przyjęcia poszczególnych Kościołów do Rady Ekumenicznej, podpisanie się pod zasadą dogmatyczną, że Chrystus jest Bogiem i Zbawicielem. Na 167 wyznań obecnych na zjeździe — 150 przystąpiło do Rady. Na tymże zjeździe został silnie podkreślony duch apostołski jako najpierwszy cel ruchu ekumenicznego. Nie ma przynależności do Kościoła bez przynależności do jego misji w świecie, stwierdzono, powołując się na Ewangelię: „Jako mnie posłał Ojciec, i ja was posyłam“ (Jan XX,21).

W 1953 zjazd w Lund oświadczył, że ekumenizm ogranicza swą troskę do apostołstwa, lecz apostołstwa w jedności.

W r. 1954 w Evanston stwierdzono, że Kościół jako całość powołany jest do głoszenia radości Ewangelii. Jako motto zjazdu obrano: „Chrystus jedyną nadzieją świata“. Uznając autonomię poszczególnych Kościołów, utrwalono myśl ich jedności w Chrystusie postanowieniem obchodzenia tygodnia modlitwy o tę jedność. — Uchwalono jednogłośnie następujący wniosek: „Miernikiem naszej troski o jedność jest sposób, w jaki się o nią modlimy. Nie możemy jedności oczekiwać od Boga, jeśli nie przygotowujemy się do przyjęcia tego daru przez życie modlitwy, która jest ofiarą, ale i oczyszczeniem. Razem się modlić, to już się zbliżyć. Gorąco polecamy, gdziekolwiek to możliwe, obchodzenie coroczne od 18 do 25 stycznia tygodnia modlitwy o jedność chrześcijańską, jako publiczne świadectwo, że modlitwa jest drogą do jedności.“ — Pierwszymi inicjatorami myśli tego tygodnia modlitwy byli, jeszcze w 1908 roku, pastory anglikańscy Spencer Jones i Wattson.

Głęboko wzrusza realizacja tego planu, tak zgodnego z Chrystusowym pragnieniem.

Na wyżej wymienionych zjazdach Kościół katolicki nie był obecny. Obie strony boleśnie to odczuwały; Rzym nie patrzy na to dążenie obojętnie.

Już Leon XIII ustanowił, by odprawiano przed Zielonymi świątkami nowennę w tej samej intencji jedności; odłączeni bracia się do niej nie przyłączyli. W 1916 Benedykt XV przyjął jako okres publicznej modlitwy o jedność te same daty: od 18 do 25 stycznia.

Po pierwszej wojnie światowej, w latach 1921 i 1925. kardynał Mercier, z własnej inicjatywy, lecz z wiedzą Rzymu, zaprosił na rozmowy do Malines osobistości ze świata protestanckiego, anglikańskiego i prawosławnego. Rozmowy te odbyły się w duchu prawdziwej miłości Chrystusowej i, choć nie dały natychmiastowych rezultatów, były przecież zawiązkiem zbliżenia.

Niestrudzony ks. Jan Couturier z Lyonu był przez trzydzieści lat apostołem jedności. Dzięki niemu zawiązywały się pozytywne kontakty między najwyższymi osobistościami najpoważniejszych wyznań chrześcijańskich, a nawet niechrześcijańskich. W tych sercem i dobrą wiarą nacechowanych zjazdach topniało wiele przeszkód, zarzutów i uprzedzeń. Wśród elity wypełnionej duchem Chrystusowym — szacunek, sympatia i chęć porozumienia stały się rzeczywistością.

Niemniej Kościół katolicki inaczej rozumie ekumenizm niż protestanci i prawosławni. Oni dążą do zjednoczenia wszystkich Kościołów chrześcijańskich na ziemi w jeden Kościół, z zastrzeżeniem, że każdy z nich posiada tylko część prawdy. Chodzi im zatem o zjednoczenie różnych wyznań na podstawie wspólnego podłoża, uważanego za konieczne minimum. Ich Rada Ekumeniczna przypuszcza, że każde wyznanie błędzi, i każde powinno uderzyć się w piersi i uznać inne jako równe kosztem jakiejś ofiary, czyli drogą kompromisu.

Teza katolicka jest inna. Kościół katolicki, choć mógł w ciągu wieków popełnić błędy nawet natury teologicznej, nie tyżące jednak samych dogmatów, wie przecież, że posiada depozyt całej prawdy. Nie może się zatem zgodzić na rolę zwykłego partnera. Nawet uznanie Papię za pierwszego wśród równych (primus inter pares) jest niedopuszczalne. Kościół nie może iść drogą kompromisu w sprawach istotnych.

Droga do jedności nie jest więc łatwa. Nie możemy bowiem uznać jako taką federację Kościołów, z których każdy ma własne credo. „Una fides, unum ovile, unus pastor.“ Jedna wiara, jedna owczarnia, jeden pasterz. Nie możemy się więc spodziewać w bliskiej przyszłości ani masowych nawróceń, ani tym mniej oficjalnego powrotu Kościołów do Stolicy Świętej.

To nas jednak nie powinno zniechęcać. W wielu sprawach dialog okazał się możliwy. Wśród naszych odłączonych braci są także ludzie, którzy pragną realizacji pragnienia Chrystusowego i obiecaną jedną owczarnią.

### SOBÓR EKUMENICZNY

Dzięki Papię Janowi XXIII nowy ważny etap się zbliża. Zapowiedziany przez niego Sobór Powszechny przyczynić się może do zbliżenia innowierców do Kościoła. Apel Ojca Świętego to nie zwykły, pusty slogan. Ten apel przedstawiciela Chrystusa jest echem wołania Jego Samego.

Do tej pory odbyło się 20 Soborów Powszechnych, tj. zjazdów całej Hierarchii Kościoła katolickiego, pod przewodnictwem Papię, następcy św. Plotra, opoki, na której Chrystus zbudował Kościół swój. Kościół z woli Chrystusa jest zbudowany hierarchicznie. Pan Jezus wybrał dwunastu Apostołów jako kolumny nowej świątyni. Lecz obok nich ustalił siedemdziesięciu dwu uczniów, by im pomagali. W dniu Zesłania Ducha Świętego byli obecni jedni i drudzy, około stu dwudziestu osób. Dzieje Apostolskie świadczą o istnieniu od samego początku Kolegium Apostolskiego, które kolegialnie obradowało.

Sobór jednak nie jest parlamentem, lecz wyrazem jedności Kościoła w sprawach doktrynalnych i dyscyplinarnych. Biskupi obecni nie są delegatami swoich diecezji. Ich pełnomocnictwo nie pochodzi z dołu, lecz z góry. Orzeczenia Soboru nie opierają się na sumie głosów, lecz są wyrazem ogólnego sumienia i zżania Kościoła. Idealem Soboru jest „in unum conveniunt“, komunja, w której zaznacza się działanie Ducha Świętego (Mateusz XVIII,20). Stąd przyjmujemy nieomyślność Soborów w sprawie wiary



i obyczajów. W razie śmierci Papieża w ciągu trwania soboru, sobór zostaje przerwany.

Sobór powołany być może tylko przez Papieża, w najistotniejszych sprawach Kościoła.

Jaka będzie treść przyszłego soboru?

Ojciec Święty stwierdził, że celem jego nie będzie jedynie dobro duchowe wiernych; ma również być zachętą odłączonych wyznań do poszukiwania prawdy, której dziś łaknie tyle dusz na całej ziemi. Szczegóły nie są jeszcze znane. Sobór wymaga długich przygotowań. Znana nam jest jednak postawa i duch obecnego Papieża, który od pierwszego dnia pontyfikatu podkreślił swe powołanie pasterskie, swą troskę o wszystkie dusze nie należące jeszcze do jednej owczarni. Znana nam jego prawdziwa miłość ludzi. Włęcz możemy sobie wyobrazić, w jakim klimacie nadprzyrodzonym, a jednocześnie bardzo ludzkim, odbędzie się przyszły sobór. Wśród intryg, uprzedzeń, nienawiści, które stworzył świat bez Boga, świat materialistyczny, świat obozów koncentracyjnych, zaznaczają się coraz silniej inne prądy wpływające z szacunku dla ludzkich wartości. Przywrócenie człowiekowi jego godności spotykać się zaczyna ze zrozumieniem i troską. Jest to zasadniczy warunek wszelkich porozumień.

Kościół coraz bardziej rozumie odmienność kultury azjatyckiej i poznaje jej wartości. U nowonawróconych plemion Afryki i Azji toleruje i szanuje dodatnie strony ich obyczajów. Można przypuszczać, że w dziedzinie kultu gotów będzie uznać pewne praktyki innych wyznań, godne szacunku.

Jan XXIII udziela częstych audiencji przedstawicielom innych wyznań. Rzym promienieje siłą przyciągającą. Pasterz czterystu pięćdziesięciu milionów ludzi jest niesłychanie ludzki. A gdzie najwyższe ludzkie walory panują,

wszystko co łączy bierze górę nad tym co dzieli, i dialog jest zawsze możliwy.

Owszem, istnieje ekumenizm katolicki, bo od zarania swego Kościół był powszechny. I ta katolickość staje się coraz bardziej rzeczywista. Kościół katolicki nie tylko powinien posiadać wszystkie pozytywne cechy innych wyznań, lecz, aby być domem rodzinnym wszystkich synów Boga, powinien przyjmować i domagać się wkładu wszystkich ras i plemion. Bóg swej szczodroblowości twórczej nie ograniczył do uprzywilejowanych ras. W każdym człowieku istnieją duchowe wartości, które klimat katolicyzmu powinny rozwijać i wzbogacać.

Zbyt długo utożsamiano Kościół katolicki z pewnymi określonymi formami stylu, z pewnymi szkołami filozoficznymi. Dłaczegóż np. gotyk, będący wyrazem katolicyzmu w klimacie średniowiecza, miałyby odpowiadać katolikowi doby obecnej, lub być narzucany rasom nieuropejskim?

Jeśli filozofia tomistyczna najlepiej wyraża ducha myślącego katolika Zachodu, to wcale nie oznacza, że należą ją narzucać Azji, mającej własne wartościowe filozofie. Był premier chiński, potem benedyktyn, mówi i ma do tego wszelkie prawo: „Jestem katolikiem i konfucjanistą.“

Kościół katolicki nie jest własnością jednej rasy białej i nie może się ograniczać do kultury łacińskiej.

Dopiero kiedy wszystkie lądy i wyspy tej ziemi przyniosą Chrystusowi, jak ongiś mędrcy ze Wschodu, swoje osobiste, szczególne dary w hołdzie poddania i przynależności, będziemy mogli twierdzić, że Kościół jest istotnie powszechny.

Najistotniejszym pomostem wiodącym do Zjednoczenia w Chrystusie jest i pozostanie miłość do każdego człowieka.

O. Karol van Oost

## SPRAWY I LUDZIE

(Ciąg dalszy ze str. 4)

ność w związku z zapowiedzianym soborem powszechnym. Sekretarzem został wybrany ks. C. SIPOWICZ, Białorusin.

★

Dowiadujemy się (dzięki „Tygodnikowi Powszechnemu“!) o istnieniu od roku w Oksfordzie stowarzyszenia „East European Oxford University Society“. Zadaniem Stowarzyszenia jest szerzenie znajomości krajów Europy środkowo-wschodniej oraz branie udziału w „największej debacie naszych czasów: sporze między Wschodem i Zachodem“.

Wyszedł pierwszy numer kwartalnika „Dialogue“; p'szą tam m. in.: Denis Healey (poseł i propagator „disengagement“) i Aleksiej Bielobrow (dziennikarz sowiecki), Sir Roy Harrod i Adam Szeworski (młody polski ekonomista), Leszek Kołakowski i Alastair MacIntyre (filozofowie), Aleksiej Grigorjew i Julian Mitchell (studenci z Moskwy i Oksfordu), Teresa Pfabe (z Uniwersytetu Warszawskiego). Są m. in. omówienia filmu „Kanał“ i książki L. Tyrmanda „Żyć“ oraz produkcja rysunku Polaka, Stefana Pap-pa.

★

„ŻYWI MĘCZENICY“ („Wiadomości“ londyńskie z 12. 7. 59): tytuł, jaki dr Tymon Terlecki dał przekładowi rozdziału z książki Desmond'a DONNELLY, „WIND OF MARCH“ (Collins, London, 1959), o Polsce i „jej ludzie, twardym, dzielnym i wesołym...“



Ks. Tadeusz Kirschke obchodził w roku bieżącym 25-letni jubileusz kapłaństwa. Nie chciał, aby zauważono tę uroczystość, ale środowisko „Veritasu“ chce i powinno serdecznie wspomnieć b. asystenta kościelnego P.K.S.U. i K.O.W. „Veritas“.

Ks. Kirschke urodził się w Poznaniu 20 września 1908. Studia duchowne odbył w seminarium gnieźnieńsko-poznańskim. W roku 1934 otrzymał święcenia kapłańskie. Zgłasza się do duszpasterstwa zagranicznego. Od roku 1935 przebywa we Francji, gdzie w czasie wojny zostaje kapelanem w P.S.Z. Dostaje się do niewoli w roku 1940; pamiętają go dobrze i jako kapła-

na i jako towarzysza niedoli, jeńcy Mur-nau. Dostaje się do więzienia niemieckiego w Regensburgu i do obozu koncentracyjnego we Flossenburgu. Wyswobodzenie udaremniło wykonanie skazania na śmierć. W roku 1945 jest w II Korpusie we Włoszech, w r. 1946 przybywa do Anglii.

Inicjuje polski ośrodek duszpasterski przy Brompton Oratory. W roku 1947 jest współzałożycielem i przewodniczącym zespołowi redakcyjnemu ZYCIA; później był delegatem Biskupa wraz z ks. kan. St. Belchem do spraw K. O. W. „Veritas“. W roku 1948 zostaje Asystentem Kościelnym PKSU „Veritas“ i kapelanem akademickim po współzałożycielu „Veritasu“ ks. kan. St. Belchu.

W r. 1952 przenosi się do Monachium, do Sekcji Polskiej Radia Wólnej Europy. Znany coraz szerszym kołom słuchaczy w Polsce z kazań, pogadanek, ma z Krajem łączność prawdziwą.

We wszystkie swoje działania wnosi poświęcenie bez patosu, zawziętość bez narzucania się, wartości intelektualne zaprawione solą gall'ką, pogodną wesołością i serdeczne podejście do człowieka, prostotę uciekającą przed wszelką pompą... Umie być duszpasterzem i przyjacielem-kolegą.

Idą ku niemu najlepsze życzenia Veritasowców po szerokim świecie, b. jeńców i b. żołnierzy, b. „parafian“ z Londynu, radiosłuchaczy — wszystkich, którzy się z nim zetknęli w pracy duszpasterskiej, społecznej czy po prostu go poznali.

★

(Ciąg dalszy na str. 26)



# ŚWIATOWY ROK UCHODŹCZY

(Czerwiec 1959 - czerwiec 1960)

Na Zgromadzeniu Generalnym Narodów Zjednoczonych, w grudniu 1958 r., delegacja brytyjska zgłosiła rezolucję „w sprawie ustanowienia Światowego Roku Uchodźczego, jako praktycznego środka zapewnienia zwiększonej pomocy dla uchodźców wszędzie na świecie“. Rezolucja została przyjęta głosami przedstawicieli 59 państw.

Myśl ta zrodziła się wśród grupy młodych Anglików skupionych dokoła pisma „Crossbow“ (Kusza); ich ideowym przywódcą był Christopher Chataway, jak przystało temu, kto jest mistrzem biegu i umie myśleć. Zachęte do pomysłu dało powołanie Światowego Roku Geofizycznego. Plan, odpowiednio opracowany, został przedstawiony głównym stowarzyszeniom opiekuńczym, zajmującym się sprawami uchodźczymi, po czym — drogą oficjalną i dyplomatyczną — zgłoszony został przez brytyjskie MSZ do ONZ w Nowym Jorku, 5 grudnia ub. r.

## PO CO „ROK UCHODŹCZY“?

Minęło 14 lat od zakończenia II wojny światowej, a jeszcze ciągle miliony uchodźców egzystują w warunkach nie do zniesienia i w Europie i na Środkowym i na Dalekim Wschodzie. Przeciętny obywatel, człowiek z ulicy, niewiele wie, albo nic zupełnie, o tych smutnych sprawach i z powodu ignorancji czyni mniej niż nic dla sprawy.

Głównym celem tej międzynarodowej imprezy jest obudzenie zainteresowania społeczeństw; gdy to nastąpi, nie jest już tak trudno przekonać ludzi, że muszą uczestniczyć czynnie w różnych formach akcji pomocy, pomocy bliźnim bez ojczyzny, bez domu, bez nadziei...

## CO I JAK?

Sekretarz Generalny Narodów Zjednoczonych założył ośrodek koordynacyjny pod kierownictwem specjalnego przedstawiciela (Claude Kemoullaria) dla spraw międzynarodowego roku uchodźczego. Organizacje społeczne powołały Międzynarodowy Komitet w Genewie w marcu b.r.; wchodzi tam ponad 50 organizacji narodowych i międzynarodowych, pozarządowych, które działają w sprawach uchodźczych. Komitet ten znany już jest pod inicjałami „I.C.W.R.Y.“ (International Committee for World Refugee Year — Międzynarodowy Komitet Światowego Roku Uchodźczego). Na czele stoi Zarząd, gdzie zasiadają dwaj katolicy delegaci. Następnym krokiem było powołanie narodowych komitetów w poszczególnych krajach; prace przygotowawcze, podjęte przez organizacje społeczne wyspecjalizowane, miały objąć czynnikami oficjalne i wyznania, związki zawodowe i koła przemysłowe, prasę i radio i telewizję...

Jako inicjator, W. Brytania pierwsza postawiła na nogi Komitet Narodowy. Pod patronatem Królowej, z przywódcami trzech partii politycznych jako wice-

patronami, powstała Rada, do której wchodziły wybitne osobistości ze wszystkich dziedzin życia społecznego: wśród nich J. Em. Kardynał-Arcybiskup Westminsteru. Przewodnictwem objęła Lady Elliot of Harwood, D.B.E. Do Komitetu Wykonawczego weszli doświadczeni działacze: przewodniczącym został Sir Arthur Rucker, K.C.M.G., C.B., C.B.E., a wiceprzewodniczącymi: Hon. Mrs. Douglas Woodruff (prezeska Katolickiej Ligi Kobiet) i Miss Janet Lacey. Sekretarzem organizacyjnym jest Peter Casson (siedziba Komitetu: 9, Grosvenor Crescent, London, S. W. 1., tel. BELgravia 6646).

Każda z 51 organizacji i instytucji członkowskich Brytyjskiego Komitetu



Ręka, wychylająca się z mroków, jest znakiem Światowego Roku Uchodźczego, reprodukowanym na ulotkach, afiszach i wydawnictwach. Pomysł i wykonanie dała angielska malarka Dame Laura Knight, R. A.

O tym znaku tak pisze „Onslaught“ (Natarcie), jednodniówka otwierająca kampanię Brytyjskiego Komitetu „WRY“:

„...Za ręką ciemność zagrożenia, która tak wielu rzuciła na wygnanie — ciemność losu uchodźczego, w której tak wielu gnuśnieje od lat... Ręka pracowita, silna i chętna, zamuszona do bezczynności i gestu błagalnego.

Oto ręka, którą wolny świat uchwycić powinien w uścisk przyjacielski i dać jej godną pracę. Rękę europejskiego, chińskiego czy palestyńskiego uchodźcy, wyciągniętą nie po jalmuznę, ale po ratunek...“

\*

J. Em. ks. kardynał William Godfrey, arcybiskup Westminsteru, patron Komitetu Pomocy Uchodźcom Katolickiej Ligi Kobiet (C.W.L. Relief & Refugee Committee, 21B Ashley Place, London, S.W.1) pisał w „Onslaught“:

„Nasz Pan i Zbawca powiedział nam, iż cokolwiek w Jego imię damy potrzebującemu, Jemu damy. W okresie Światowego Roku Uchodźczy zdwojmy nasze wysiłki, aby służyć Bogu w osobach naszych bezdomnych bliźnich.“

Światowego Roku Uchodźczego zobowiązała się zdwoić wysiłki i współdziałać ze wszystkimi innymi stowarzyszeniami w zbieraniu funduszy i w propagandzie sprawy uchodźców. Akcja przewiduje konferencje i wiece w całym kraju, programy uświadamiające w szkołach, wystawy, widowiska i filmy, kampanie prasowe, radiowe i telewizyjne, również jako przygotowanie gruntu do zbiórek. Pierwszym apelem było wystąpienie w telewizji feldmarszałka lorda Montgomery. Wszelkimi środkami będzie się informowało społeczeństwo o sprawie uchodźców i o potrzebach.

## UCHODŹCY, WYGNANCY...

Czytelnicy „ŻYCIA“ zapewne nierównie głębiej rozumieją znaczenie uchodźczego problemu niż czytelnicy wielu, bardzo wielu pism na Zachodzie. Nic nowego nie można Polakom powiedzieć o sprawach uchodźców, wygnańców, bezpaństwowców, wysiedleńców, „dipisów“, deportowanych... Ta ponura nomenklatura mnoży się w naszej epoce; i nie są to tylko słowa. Tych co sami poznali bezpośrednio nieludzkość ludzi w stosunku do ludzi, nie zdziwią przerażające cyfry: że od wojny około 22 milionów ludności wysiedlono w Azji; że w Indiach co najmniej 1 człowiek na 42, to uchodźca, w Vietnamie — 1 na 12, w Palestynie — 1 na 11, w Korei — 1 na 4, a w Hong-Kongu — 1 na 3... 12.000 europejskich uchodźców w Chinach schroniło się tam po bolszewickiej rewolucji w r. 1917, a teraz muszą uchodzić dalej, zagrożeni przez komunistów; czyż nie będzie temu końca?

Wtedy, lat temu z górą 40, zaczęła się akcja opieki nad uchodźcami, na skutek nawoływania Nansena, który zdawał sobie sprawę co się dzieje. Nansen, bohater-odkrywcą podbiegunowy, który spędził pół życia w służbie nauki, poświęcił się z całym rozmachem swego geniuszu humanitarnej służbie nękanym bliźnim. Działając przez Ligę Narodów zajął się repatriacją pół miliona „zaginionych“ jeńców; potem wziął na siebie trudniejsze zadanie znalezienia schronienia dla uchodźców; tysiące i tysiące błogosławiły paszport nansenowski jako klucz do odzyskania statusu obywatelskiego. Historia się powtarza, tylko, niestety, z rosnącą częstotliwością...

## ZAMIERZENIA

Wedle rezolucji ONZ celem „Roku“ jest:

1. skupić uwagę na problemie uchodźczym i zachęcić do świadczeń pieniężnych rządu, organizacje społeczne i społeczeństwa;

2. uzyskać nowe możliwości dla trwałego rozwiązania problemu uchodźczego, przez dobrowolną repatriację, rozmieszczenie i osiedlenie na zasadach humanitarnych.



Żywione są nadzieje, że główne kraje imigracyjne, jak Australia, Kanada, kraje Ameryki łacińskiej i Stany Zjednoczone — zechcą otworzyć szerzej wrota, wrota gościnne, i dopuszczą zwłaszcza te grupy uchodźców, które dotychczas były traktowane jako „nieekonomiczni“ emigranci, a także całe rodziny — tzw. „jednostki rodzinne“; że małe dzieci nie będą odstrasżającym balastem; że choroba jednego członka rodziny nie będzie wykluczała wpuszczenia całej rodziny. Nawet w odniesieniu do Zjednoczonego Królestwa, które nie jest przecież krajem imigracyjnym, żywi się nadzieję, iż nastąpią pewne rozluźnienia przepisów aby ułatwić połączenie się rodzin, dopuszczając nawet starych, chorych, gruźlików...

Cele Brytyjskiego Komitetu, podobnie jak i innych narodowych Komitetów, są następujące:

1. pomoc uchodźcom pozostającym pod opieką Wysokiego Komisarza ONZ dla Spraw Uchodźczych, a więc około 600.000 w Austrii, Francji, Niemczech, Grecji, Włoszech i Turcji. Są tam Bułgari, Czesi i Słowacy, Grecy, Jugosłowianie, Łotysze, Litwini, Niemcy, Polacy, Rumuni, Rosjanie, Węgrzy i Żydzi; dwie trzecie żyje jeszcze w obozach, a około 160.000 jest jeszcze nie osiedlonych;
2. osiedlenie europejskich uchodźców z Chin;
3. pomoc dla chińskich uchodźców w Hong-Kongu; ta posiadłość brytyjska daje obecnie schronienie największemu na świecie zbiorowisku uchodźców spod panowania komunistycznego;
4. pomoc dla uchodźców z Palestyny.

Program olbrzymi, ale z dobrą wolą, dzięki szczodrości, wysiłkowi i solidnej pracy powinniśmy zdobyć możliwość przyniesienia ulgi rzeszom nieszczęśliwych w zakresie dotychczas nieprzewidywanym.

#### OBOWIĄZKI KATOLICKIE

Udział katolików w przedsięwzięciu Roku Uchodźczego jest sprawą zasadniczej wagi. Musimy dołożyć starań, aby nasze współczucie i nasza troska wyraziły się w czyn. W Europie, znaczna większość uchodźców to katolicy i słusznie oczekują, że ich współwyznawcy dadzą przykład w akcji pomocy, w zgodnym, solidarnym i długofalowym wysiłku.

W Brytyjskim Komitecie katolicy są reprezentowani przez Katolicką Ligę Kobiet (C.W.L.) i jej Komitet Pomocy dla Uchodźców, który jest uznany jako oficjalne przedstawicielstwo całej katolickiej społeczności na naszej wyspie. Współpracuje on ściśle z N.C.W.C. (National Catholic Welfare Conference — amerykańska centralna katolicka organizacja opiekuńcza) i z I.C.M.C. (International Catholic Migration Commission — centralny katolicki ośrodek dla spraw migracyjnych w Szwajcarii) oraz z organizacjami „Caritasu“ w krajach europejskich; jest członkiem „Międzynarodowego Caritasu“ i Światowej Federacji Katolickich Organizacji Kobiety. Choć działalność Komitetu koncentrowała się dotychczas głównie na uchodźcach europejskich, w miarę dostępnych środków mogłaby się rozszerzyć także na uchodźców arabskich i chińskich, poprzez lokalne organizacje i instytucje katolickie.

#### ROK UCHODŹCZY I POLACY

Polacy, czy tu, czy w Polsce, czy gdziekolwiek indziej, bo wszędzie na świecie są — na pewno często się niecierpliwia, gdy Brytyjczycy ośmielają się mówić o deportacjach, obozach, uchodźcach... Zapewne, my możemy tylko starać się zrozumieć te tragedie, bośmy ich nie przeżyli, te lata życia gorszego od śmierci, lata męki i upodlenia. Aleśmy, wasi przyjaciele, byli jednak świadomi waszych



Mrs. Nora F. Warmington, O.B.E., jest sekretarzem generalnym Rady Katolickich Organizacji Kobietych w Wielkiej Brytanii, przewodniczącą Komitetu Pomocy Uchodźcom Katolickiej Ligi Kobiet (C.W.L.), skarbnikiem Katolickiej Rady Pomocy Polakom (C.C.P.W.).

W okresie wojny i po wojnie, jako jedna z czołowych działaczek i kierowniczek działu personalnego Ochotniczej Służby Kobiet (W.V.S.), zajmowała się niestrudzenie pomocą emigrantom, interesując się szczególnie uchodźcami polskimi. Współpracowała ściśle z polskimi organizacjami. Późnała język polski. Polska i Polacy mają w niej oddanego przyjaciela.



nieszczęść i towarzyszyła wam nasza pamięć i nasza modlitwa od samego początku: od żądań Hitlera pod adresem Polski, nacisku prasy i radia, gróźb i grzmotów nadchodzącej burzy, od czasu agresji i potopu...

Nic nie zostało wam oszczędzone w ciągu tych lat. Dla wielu z nas, których sumienia były obciążone poczuciem krzywd wyrządzonych Polsce, pociechą była możliwość pracy w tym kraju na rzecz Polskiego Korpusu Rozmieszczenia i Osiedlenia; wiedzieliśmy, że ta pomoc nie mogła być zadośćuczynieniem, ale w każdym razie ułatwiała tysiącom zorganizowanie egzystencji na długą wygnaną przyszłość.

Z powodu własnych bolesnych przejść Polacy lepiej niż jakikolwiek inny naród

zdają sobie sprawę z niedoli uchodźców, tych „dipisów — ludzi wykorzenionych“, stłoczonych jak bydło po obozach, bez nadziei, sparalizowanych warunkami i okolicznościami, nad którymi panować nie mogą. Jeżeli nawet trudne położenie gospodarce polskiej emigracji nie pozwalała jej uczestniczyć w akcji pomocy materialnej „roku uchodźców“ (wiemy przecież o waszych obowiązkach wobec Kraju i rodzin w Polsce), to jednak Polacy mogą i powinni współdziałać czynnie w szerzeniu w świecie świadomości o konieczności pomocy. Wysiłek światowej Polonii na rzecz uchodźców polskich i innych, nieraz jeszcze bardziej niż wy sami doświadczonych, byłby nieocenionym przykładem i zachętą.

#### PLANY, PROJEKTY

Planów jest wiele, tych konkretnych zamierzeń, które nasi amerykańscy przyjaciele nazywają „projects“. Plany wymagają pieniędzy, ale wiadomo, że bez planów realnych i praktycznych nie będzie pieniędzy. W tych planach powinna współdziałać Polonia światowa z myślą o rodakach, jeszcze czekających na osiedlenie, i o bliźnich innych narodów i ras; wasze Duszpasterstwo, wasze organizacje, wasi przywódcy, wasza prasa, wasze społeczności po wszystkich kontynentach rozsiane — mogą wiele zdziałać, wskazując krajowym Komitetom Światowego Roku Uchodźczego konkretne przedsięwzięcia.

O co chodzi? Chodzi o to, żeby ten rok przyniósł jak największej ilości ofiar ostatnich nieszczęśliwych lat — nadzieje prawdziwą. Tyle było nadziei zawiedzionych, tyle sprzecznych zarządzeń, tyle ograniczeń, tyle ciosów, tyle załamania: „w tym roku... na przyszły rok... kiedy... nigdy...“

Zbiorowy wysiłek współczującej ludzkości powinien sprawić, żeby poprawa nastąpiła w tym roku: dla tej rodziny, dla tego dziecka, dla tego starego mężczyzny czy tej kobiety... Żeby ten rok, nie rok przyszły, był dla nich początkiem lepszej, normalniejszej egzystencji. Miliony czekają ratunku, ale każda poszczególna ludzka istota wyrwana z beznadziei to krok naprzód; niech nas nie przeraża ogrom zadań, każdy najmniejszy akt konkretnej pomocy prowadzi do celu. Polacy, którzy wiedzą co to znaczy czekać, katolicy, którzy rozumieją nieskończoną wartość każdej ludzkiej istoty, powinni pobudzać społeczeństwa do zdawania sobie sprawy z pilności akcji ratowniczej, pobudzać do myślenia o bliźnich.

My, którzy pracowaliśmy z wami, nauczyliśmy się rozumieć siłę cnoty nadziei, od was, dzieci ojczyzny, która „jeszcze nie zginęła“. „Światowy Rok Uchodźczy“ powinien być rokiem nadziei. Katolicy, którzy — poprzez świadomość Boga — uczestniczą w Jego mądrości i miłosierdziu, powinni pomagać światu w tym roku troski o najniebezpieczniejszych, by zrozumiał w sensie Bożym i ludzkim różnicę pomiędzy egzystencją i ŻYCIEM!

Nora Warmington

(Tłumaczone z angielskiego)



# POLSKI NIE STAĆ NA NAIWNOŚĆ

Otrzymałmśmy od Edmunda Męcłewskiego, redaktora naczelnego Zachodniej Agencji Prasowej, z okazji jego pobytu w Londynie, artykuł, którego celem jest przedstawienie jak w Kraju podchodzi się dzisiaj do sprawy polskich ziem zachodnich i północnych. Redakcja.

Sprawa pozornie drobna. Uderzyło mnie w rozmowach z moimi Przyjaciółmi, stałymi mieszkańcami Londynu, iż w zasadzie używają dla terenów polskich ziem zachodnich i północnych określenia „Ziemie Odzyskane“. Czy to tylko przejęzyczenie, anachronizm, czy jeszcze coś więcej?

Nie podejmuję się odpowiedzieć na to pytanie, zwłaszcza, iż znam najserdeczniejsze, do głębi patriotyczne intencje i postawę moich Rozmówców wobec tej zasadniczej sprawy naszego narodu. Mimo to, rzecz wydaje mi się godna uwagi ze względu na pewne — chyba nieuniknione w obiektywnych warunkach — statyczne ujmowanie problemu i problematyki tych ziem, jakie tkwi w używaniu określenia „Ziemie Odzyskane“ jeszcze w 1959 roku. Chciałbym bowiem doszukiwać się żywej treści politycznej również w nomenklaturze. Acz na pewno nie powiem w tej chwili nic bardzo nowego, sądzę, że warto przypomnieć charakterystyczną równoległość zmian treści czasu z treścią i zrozumieniem pojęć w omawianym zagadnieniu. Oto elementami tylko, w skrócie odnotowane etapy tych istotnych zmian jakościowych:

okres międzywojenny: „ziemie macierzyste pod zaborem pruskim“, „ziemie piastowskie“ (ś.p. prof. Zygmunt Wojciechowski);

pierwsze lata wojny i okupacji: w naszej pracy podziemnej używaliśmy określenia (już od 1939 roku!) „Ziemie Postulowane“, a więc ziemie, których zwrotu naród domagał się, jako wymiaru sprawiedliwości dziejowej i jako gwarancji bezpieczeństwa i niepodległego bytu;

lata od mniej więcej 1942-43 roku: w obliczu zarysowującej się coraz wyraźniej klęski hitlerowskiej i widocznego zrozumienia tego postulatów polskiego u aliantów — pojawiła się określenie „Ziemie Powracające“ (mam do dziś wydane przez nas w podziemiu, pod redakcją ś.p. prof. Wojciechowskiego trzy bezcenne tomiki pod tym tytułem zbiorowym i podtytułami: „Prusy Wschodnie“, „Pomorze Zachodnie i Ziemia Lubuska“, „Śląsk“);

lata od 1945-1955: „Ziemie Odzyskane“; na zwróconych Polsce terenach wrzała usilna praca nad włączeniem ich w organizm narodowy i państwowy; określenie „odzyskane“ nie determinowało w sobie pojęcia integracji;

lata 1955/6-1958: „Ziemie Zachodnie“; proces integracyjny, dzięki przemianom październikowym ruszył z kopyta naprzód, jego elementy stały się widoczne i uchwytnie; specyfika niektórych zagadnień terenów nadodrzańskich i nadbałtyckich zachęcała jednak jeszcze — w imię zgodności treści politycznej pojęcia z życiem — do niezgody z ortografią (duże litery) i geografią (ograniczenie się umowne do kierunku zachodniego);

obecnie, w roku 1959, używamy już określeń jednoznacznych i bynajmniej nie umownych: ziemie zachodnie i północne, województwa zachodnie i północne, ziemie nadodrzańskie i nadbałtyckie, ziemie nad Odrą, Bałtykiem i Pasieką; jest w tym określeniu stwierdzenie stanu faktycznego o doniosłej treści politycznej: odzyskane w

1945 roku tereny zostały w pełni zintegrowane, nie stanowią jako całość żadnego wydzielonego problemu, są pod każdym względem organiczną częścią Polski.

\* \* \*

Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego tak... nie logicznie? Integracja jest dokonana, a więc problem nie istnieje więcej; tymczasem, gdyby problemu nie było, nie pisałbym chyba i tego artykułu dla „Życia“. Na czym polega sprzeczność, czy błąd w rozumowaniu?

Sądzę, iż na to, co zwykliśmy nazywać umownie „problemem polskich ziem zachodnich i północnych“, należy zawsze patrzeć w dwu aspektach: wewnętrznopolitycznym i zewnętrznopolitycznym. Dla nas Polaków, dla Polski, problem ten wewnątrz kraju nie istnieje. Nie ma na odzyskanych w 1945 roku terenach ani jednego zagadnienia istotnego, które by w sposób zasadniczy, ujemny, wyróżniało je, wyodrębniło z problematyki i życia reszty kraju. Zamieszkane są one przez ludność niemal w 100% polską (na ponad 7,5 miliona mieszkańców, ca 3 tysiące Niemców i ca 125 tysięcy Ukraińców). Ekonomicznie powiązane są one organicznie, tysiącem żył i nerwów z ekonomiką całego kraju, stanowiąc jej wewnętrzną część i tworząc wraz z nią nową, inną zgoła od międzywojennej, geografię gospodarczą (to zagadnienie: nowej geografii gospodarczej Polski i nawet szerzej — tej części Europy, warte jest zresztą odrębnego, pogłębionego studium). W tym też sensie tereny te, zarówno demograficznie jak ekonomicznie czy kulturalnie, nie są identyczne z treścią okresu niemieckiego. Nie istnieje statystyka „Ziem Odzyskanych“, istnieje statystyka województw zachodnich i północnych, statystyka regionów gospodarczych (np. GOP, region nadmorski); liczb porównawczych z okresem niemieckim nie ma gotowych; by je uzyskać trzeba dokonywać żmudnych obliczeń; dla przykładu: miasta i ośrodki przemysłowe: Zabrze, Gliwice, Bytom — liczące ponad 400 tys. mieszkańców, należą do woj. katowickiego; w skład woj. gdańskiego wchodzi powiaty rozkawałkowane w okresie międzywojennym na cztery części; powiaty: eicki, gołdapski i olecki należą do woj. białostockiego, powiat trzcianecki z Piłą — do poznańskiego. Nikt już dziś, prócz znawców zagadnienia, nie zauważy momentu przekroczenia dawnej granicy, ani że już dziesiątki kilometrów przejechał na terenach zwróconych Polsce w 1945 roku. Nawiasem mówiąc, przecież znaczna większość problemów (poza może narodowościowym), z jakimi musieliśmy się borykać od 1945 r. jako ze spadkiem pruskiego władztwa na tej ziemi, istniała dla odrodzonego Państwa Polskiego w 1918 roku na terenie Wielkopolski, Pomorza i odzyskanej wtedy części Śląska; ziemie i tereny odzyskane w 1945 roku miały bowiem wiele, bardzo wiele (zwłaszcza śląsk) wspólnych elementów, związanych z ich przeszłością historyczną: wszystkie one były częścią polskich ziem macierzystych, znajdujących się pod zaborem pruskim. Niechaj te przykłady wystarczą dla uzasadnienia tezy, że polskie ziemie zachodnie i północne nie stanowią problemu wewnętrznopolitycznego.

Inaczej przedstawia się sprawa tych ziem w aspekcie międzynarodowym, zewnętrznopolitycznym. Zwrócone Polsce w roku 1945, przy użyciu zrozumiałej wtedy formuły, przewidującej konferencję pokojową z Niemcami, która formalno-prawnie zatwierdził ustaloną w Poczdamie granicę, polskie ziemie zachodnie i północne są przedmiotem otwartych ataków rewizjonistycznych i zakulisowych manewrów, które mają za cel zmianę istniejącego stanu rzeczy. Wprawdzie wysiłki rewizjonistów i dążenia oficjalnych czynników zachodnio-niemieckich nie mają otwar-



tego poparcia ze strony rządów mocarstw zachodnich, które nie wypowiadają się na rzecz zmian granicznych polsko-niemieckich, niemniej jednak (poza konsekwentną i jasną deklaracją prezydenta de Gaulle'a) nie deklarują one również de iure swego ostatecznego uznania decyzji z 1945 roku. Ten właśnie fakt, a raczej te dwa fakty: tendencje rewizjonistyczne w NRF i nie dość jasna postawa części mocarstw zachodnich (co, rzecz prosta, wykorzystywane jest i przejawiane przez rewizjonistów) stwarzają sytuację, w której konieczna jest nasza aktywna postawa wobec tak postawionego problemu polskich ziem zachodnich i północnych.

Z naciskiem chciałbym podkreślić sformułowanie: **aktywna postawa**. Nie dość bowiem jest „stać na straży granicy na Odrze i Nysie“, nie dość deklarować jedność całego narodu i wszystkich jego członków, gdziekolwiek ich losy zagnały. Moim głębokim przekonaniem jest, że zadaniem historycznym naszego przede wszystkim pokolenia jest niezłomny i nieustający wysiłek na rzecz omawianego problemu. Rozumiem to m.in. tak, iż zadaniem naszym, Polaków żyjących w Kraju, jest praca nad wzbogaceniem i rozwojem ziem odzyskanych w 1945 roku, nad ich awansem w Polsce i awansem Polski poprzez nie, oraz nad dążeniem do konsekwentnego uznania istniejącej i ostatecznej granicy na Odrze, Nysie Łużyckiej i Bałtyku również przez pozostałe mocarstwa zachodnie, których podpisy widnieją przecież na odpowiednich a decydujących dla sprawy dokumentach międzynarodowych. Wielkość wysiłku, jaki naród polski włożył w ciągu minionych lat 14 w zaludnienie i zagospodarowanie swych ziem zachodnich i północnych, i doprawdy imponujące wyniki tej pracy — są nie tylko deklaracją naszej niezmiennej woli, ale są nowym, historycznym faktem i argumentem, który uzasadnia słuszność i decyzji z 1945 roku i naszych żądań dzisiaj. Tym bardziej wydaje mi się słuszny sformułowany w tym artykule postulat aktywnej — w najszerszym i głębokim rozumieniu — postawy wszystkich Polaków wobec tego zagadnienia na wszystkich dostępnych im odcinkach.

\* \* \*

Zdarza się, iż nasi zagraniczni rozmówcy, obcokrajowcy, w bardziej intymnych rozmowach ogólnie wyrażają przekonanie, iż my, w Kraju, zbyt histerycznie podchodzimy czasem do tego zagadnienia, z oceną rewizjonizmu zachodnio-niemieckiego włącznie. Brak formalnego, definitywnego uznania polskiej granicy zachodniej — argumentują oni — jest jedynie wynikiem taktyki politycznej części mocarstw zachodnich, zastosowanej w określonej sytuacji międzynarodowej. Rząd zachodnio-niemiecki — ich zdaniem — ma trudną sytuację wobec własnego społeczeństwa i stąd jego manewry; należy jednak uznać jego dobrą wolę zawartą w formule o „nieużyciu siły“ dla dokonania zmian granicznych. Rewizjoniści wreszcie — to także pogląd nieodosobniony — nie są realną siłą polityczną, ponadto zaś kierują nimi uczucia, które ostatecznie należy zrozumieć.

Wydaje mi się, iż w tych myślach, wypowiedzianych przez obcokrajowców, zawarta jest pełna nieznamość istoty problemu. Uważam to zresztą za zjawisko charakterystyczne i godne uwagi: Zachód nauczył się (głównie w wieku XIX, gdy Państwo Polskie nie istniało) patrzeć na nasze, trudne i złożone, sprawy oczyma eksperta... niemieckiego. Nie w tym rzecz, czy idzie o orientację pro- czy antyniemiecką. Idzie o rozumienie podstawowych faktów, zjawisk i problemów politycznych, kulturowych czy społecznych w tej części Europy: ich korzenie tkwią w wieku XIX, w którym udział przez Zachód nader często nosi okulary eksperta niemieckiego.

Może to zabrzmieć nieco paradoksalnie: problem granicy na Odrze, Nysie Łużyckiej i Bałtyku nie jest dla Polski problemem... granicznym, jest czymś znacznie większym: to

problem egzystencji państwowej (a jak ostatnia wojna pokazała, także biologicznej). Na łamach „Życia“ nie trzeba — sądzę — tego twierdzenia szerzej uzasadniać. Przypomnijmy jedynie, że już w 1331 trzy armie niemieckie — jak w 1939 — wyznaczyły sobie rendez-vous w sercu ówczesnej Polski, Kaliszu, w ramach manewru okrążającego: od północy, zachodu i południa; przeszkodziły im w tym Płowce. Stopniowe pochłanianie ziem macierzystych Polski przez Prusy doprowadziło do rozbiorów, a gdy w trzecim z nich, w r. 1795, całość ziem macierzystych została wcielona do Prus, Państwo Polskie przestało istnieć. To nauka historii.

Zagadnienie naszej granicy zachodniej nie może być też sprawą taktyki politycznej. Błędne, połowiczne rozwiązania Wersalu i ich konsekwencja — druga wojna światowa — są dowodem nieodpartym na rzecz tej tezy. Polska jako państwo, jej niepodległość, bezpieczeństwo i siła — są zasadniczymi czynnikami pokoju europejskiego, a więc i światowego. Tymi też przesłankami kierowano się w 1945 roku, podejmując decyzję o przywróceniu Polsce jej ziem macierzystych, o stworzeniu jej granicy bezpieczeństwa strategicznego, o repatriowaniu ludności niemieckiej (potencjalna V kolumna w państwie narodowościowym) do Niemiec, o likwidacji Prus itd.

Po wtóre — co to znaczy rewizja granicy? Na rzecz jakiej granicy? Ten problem — nie istniejący dla nas, Polaków, bowiem generalnie i zasadniczo odrzucamy wszelkie sugestie i myśl o jakiegokolwiek zmianie — jest nader interesujący, gdy go się ogląda od strony niemieckiej. Ileż tu koncepcji taktycznych, jak precyzyjne uzupełnianie się tych koncepcji i wypowiedzi, ileż niedomówień i ile głębokiego „zapomnienia“ o naukach historii! Wystarczy przypomnieć znaną grupę „ruchu oporu 20 lipca“ z von Hassel'em i warianty jej programu politycznego. Ci „antyhitlerowcy“ i dziś niemal bohaterowie narodowi — w swych koncepcjach zupełnie nie zauważali Polski a „najdalej“ idący (już w obliczu wyraźnej i totalnej klęski Trzeciej Rzeszy) plan przewidywał dla Niemiec jako granicę wschodnią — granicę z 1914 roku. O elastycznej taktyce „dobrego Europejczyka“ Stresemanna można nawet nie wspominać, ale pamiętać trzeba.

Naturalnie, rząd NRF nie występuje z takimi postulatami (acz czynią to jego członkowie, jak m.in. Seeböhm, czy Oberländer); domaga się on przywrócenia granicy z 1937 roku, a więc granicy, która od 1918 roku przez wszystkie niemal ugrupowania polityczne Niemiec uznana była za „krwawłą“, czy „płonącą“, z bogatą i interesującą do dziś argumentacją ekonomiczną (słuszna jak najbardziej teza o rozcięciu jednolitego organizmu ekonomicznego) i historyczną (znane, fałszywe twierdzenia o prawniemieckości tych terenów). W wydanym niedawno przez ośrodek getyndzki tomisku „Das östliche Deutschland“ znajdziemy także rozprawkę dra Breyera z Marburga (Herder Institut) o... Niemcach w Wielkopolsce. To dla niego też „wschodnie Niemcy“. Rewizjoniści zachodnio-niemieccy są konsekwentni, acz nie zawsze jasno wypowiadają swe myśli: dążą oni do „restitutio in integrum“ wszystkiego, co kiedykolwiek należało do Prus. A w tych koncepcjach nie ma miejsca dla Polski, najwyższej można by mówić o jakimś nowym wydaniu „General Gouvernement“.

Czy więc pokazywanie w Polsce, społeczeństwu własnemu i światu, tego niebezpieczeństwa — jest histerią, albo „zasłoną dymną“? I czy rzeczywiście rewizjonizm ten nie jest groźny ani nie ma poparcia czynników oficjalnych? Sądzę, że ci, którzy formułują takie poglądy po prostu niedostatecznie głęboko znają problem. Obiektywne zaś skutki takich enuncjacji są — w moim głębokim przekonaniu — szkodliwe, niezależnie od intencji autorów.

Jaka jest argumentacja na rzecz zmiany istniejącego



stanu rzeczy i gdzie tkwią jej korzenie? Sądzę, iż argumenty niemieckie najogólniej można usegregować następująco:

1. ziemie zwrócone Polsce w 1945 roku są ziemią odwiecznie niemieckimi;
2. ziemie te są Niemcom niezbędne do życia;
3. pożałowania godny jest los niemieckiej ludności, repatriowanej z tych ziem po 1945 roku do Niemiec;
4. ziemie te Polska utrzymuje w stanie niedoludnionym; niezagospodarowane, są one dla niej zbędne;
5. Niemcy dążyć będą zawsze i niezmiennie do zmiany istniejącej granicy, ale "bez użycia siły".

Spróbujmy w najogólniejszym skrócie przyrzeć się tym argumentom od strony prawdy.

ad 1. Ziemie zachodnie i północne Polski nigdy nie były ziemią rdzennie niemieckimi; na skutek postępujących w dziejach zaborów, należały one przez kilka stuleci — różne tereny w różnych i niejednakowo długich okresach — do Prus. W większości wypadków okres ten wynosił 200-300 lat, włączając w to rozbiory Polski. Natomiast: granica państwowa Prus nigdy nie była identyczna, adekwatna z granicą etniczną; dowodem ponad 1 milion członków polskiej ludności rodzimej na tych terenach jeszcze w 1945 roku. Właściwa, nasłona w intensywności germanizacja — to druga połowa wieku XIX i wiek XX ze szczytowymi „osiągnięciami“ Hitlera. Istnieje ciąg historyczny germanizacji i polityki antypolskiej od co najmniej Fryderyka II, poprzez Flotowa, Bismarcka, Bülowa. Stresnianna po Hitlera, ciąg historyczny treści i metod. w kolonizacji, walce z językiem polskim, ustawach wyjątkowych, wyłączeniowych, w „rugach pruskich“, w tym co ostatecznie hitlerowcy zdefiniowali totalnie jako „germanizację ludzi“ i „germanizację ziemi“. Specjalnością nacjonalistów niemieckich (rewizjonistów to tylko ich awangardowy fragment) jest budowanie mitów: o kulturze niemieckiej i jej dziele, o krwi niemieckiej, o przestrzeni życiowej i niemieckim porządku. Druga wojna światowa i okupacja Polski była makabryczną syntezą tych mitów, zamienionych na rzeczywistość — „Generalplan-Ost“.

ad 2. Socjologicznie, czy raczej psychologicznie, ciekawą rzeczą jest emocjonalna treść słowa „Wschód — Ost“ dla Niemców. Zawarta jest w nim i pogarda i tęsknota, i lęk. Najbardziej ważkie polityczne sformułowania związane ze Wschodem mają treść ujemną: obok „Drang nach Osten“ — Ostflucht, Ostkompleks, Ostelbien, Osthilfe. Można by przykłady mnożyć. Jest faktem, którego tu szerzej udowadniać nie trzeba, poza wskazaniem elementów, że istniały w życiu Niemiec XIX i XX wieku dwa przeciwstawne sobie, ale równoległe nurty: imperialistyczny „Drang nach Osten“ i społeczno-ekonomiczny „Ost- i Landflucht“. Jest też faktem, iż tereny „wschodnie“ Niemiec były marginesem ekonomicznym, demograficznym i kulturowym państwa niemieckiego. Tu istniała próżnia demograficzna — obok demograficznego ciśnienia sąsiednich terenów polskich, tu ciągłe migracje ludności niemieckiej, tu niż przemysłowy. Kilka tylko liczb (z pracy prof. dr. Bruno Gleitze „Die Ostdeutsche Wirtschaft“, 1956): stanowiące 1/4 powierzchni Rzeszy tereny te miały zaledwie 1/4 jej ludności, a produkcja globalna stanowiła zaledwie 9,4% całej produkcji Niemiec; dla utrzymania choćby tylko tego niedostatecznego stanu rzeczy, państwo pruskie w ramach Komisji Kolonizacyjnej włożyło tu w ciągu 30 lat ponad 1 miliard marek, nie licząc również olbrzymich i płaconych do wybuchu II wojny światowej kwot z tytułu „Osthilfe“.

ad 3. Mniejszość niemiecka w Polsce po I wojnie światowej stanowiła niebezpieczne ognisko irredenty, a ukoronowaniem tej jej odśrodkowej postawy kierowanej z Rzeszy była działalność V kolumny hitlerowskiej w Polsce

w dniach poprzedzających wybuch wojny, podczas samej wojny i podczas ponurych lat okupacji. Ten także fakt wpłynął na słuszną decyzję aliantów o repatriowaniu od 1945 r. ludności niemieckiej z polskich ziem zachodnich i północnych do Niemiec. Część poważna (ponad 50%) tej ludności zresztą została repatriowana jeszcze przez władze hitlerowskie (ewakuacja), bądź też repatriowała się sama (ucieczka). Zapewne, warunki tych repatriacji, zwłaszcza okresu pierwszego, nie były idealne. Należy jednak pamiętać, iż przez ziemie Polski, poza armiami, w latach 1939-1948 przeważało się w migracjach ponad 20 milionów ludzi (wysiedlanie ludności polskiej i żydowskiej, wywózki na przymusowe roboty, Warszawa, repatriacja ludności niemieckiej, osadnictwo polskie). Ponadto repatriacja odbywała się w warunkach bezpośrednio powojennych, a więc nad wyraz trudnych, jak trudne było w ogóle życie w Polsce; zresztą, od końca 1945 r. odbywała się ona pod kontrolą Brytyjskiej Misji Wojskowej.

Olbrzymia większość Niemców repatriowanych integrowała się już dawno. Wskazują na to wszystkie, także oficjalne źródła niemieckie. Kilka set tysięcy (licząc już z nadwyżką) ludzi mieszkających w barakach, to w państwie „cudu gospodarczego“ żaden problem, albo raczej problem sztucznie hodowany, jako argument. Wszyscy wiemy, że to co piszę, nie jest demagogią, to prawda.

Wykorzystywanie uczuć tych repatriantów dla akcji rewizjonistycznej, potężna rozbudowa form organizacyjnych instytucji służących temu celowi — to jest właśnie ten czynnik, który nas niepokoi w kraju, a jednocześnie demaskuje i oskarża władze NRF. Listy z pogroźkami, w pewnym niedawnym jeszcze okresie wysyłane na polskie ziemie zachodnie i północne do polskich osadników, są wymowne w zestawieniu z dwoma sprawami: znanej „V kolumny“ oraz głoszonego, humanitarnego „Helmatrecht“. Nas, Polaków, nie stać na naiwność.

ad 4. Najlepiej — podać liczby o zaludnieniu i zagospodarowaniu polskich ziem zachodnich i północnych w ciągu lat 14. Wymordowano nam bestialsko 1/5 ludności (6.028 tys.), w tym kwiat inteligencji tak nielicznej w Polsce międzywojennej. W gruzach — bez przenośni — leżał cały kraj z Warszawą bohaterską, Poznaniem, Wrocławiem, Szczecinem. Dziś, w 1959 r. spoglądamy na dorobek pracy polskiej w kraju całym; ja wskazuję tu tylko na tereny nadodrzańskie i nadbałtyckie. Stanowiąc 32% powierzchni Polski mają one 28% ludności (pamiętajmy o znieszczeniach miast i małej stąd chłonności mieszkaniowej). Udział tych ziem w gospodarce całego kraju wynosił tyleż: 28%. Ich produkcja przemysłowa wzrosła w porównaniu z okresem niemieckim (1936 r.) o 50%, mimo iż potencjał produkcyjny w 1945 r. na skutek zniszczeń wojennych wynosił tylko 40% stanu przedwojennego.

Już te liczby mają swoją wymowę, ale nie stanowią one istoty rzeczy. Przyrost naturalny na ziemiach zachodnich i północnych, wynoszący 27-29%, jest o 100 niemal procent wyższy od przyrostu naturalnego pozostałych ziem polskich. Wynosi on w liczbach bezwzględnych 200 tys. nowych obywateli na tych ziemiach rocznie. Za lat dziesięć ludność tych terenów, nawet bez planowanego osadnictwa, będzie o 1 milion wyższa od zaludnienia okresu niemieckiego. Liczba uczelni wyższych jest już dziś siedmiokrotnie wyższa od okresu niemieckiego. Zakładów przemysłowych, zatrudniających ponad 1 tys. robotników było tu w Niemczech 40, jest 127, unowocześnionych zresztą.

A trzeba tu pamiętać jeszcze, przy tym syntetycznym spojrzeniu porównawczym: te ziemie w Polsce i w Niemczech, o dwu ważnych sprawach, o których dość często się zapomina.

Polska nie rekonstruowała gospodarki niemieckiej na tych ziemiach, ani w modelu, ani w szczegółach. Błędy granicy wersalskiej, rozcinającej jednolity organizm go-



spodarczy, geologiczny itp., zostały nową granicą naprawione i z tego także faktu wyciągnęliśmy wnioski. Polska stworzyła tu nową ekonomikę, nowy organizm tworzący całość z organizmem reszty kraju.

Po wtóre, w Niemczech te ziemie już się nie rozwijały, cechował je zamierzony w modelu stan statyczny. W Polsce są one w stanie dynamicznego rozwoju, ich perspektywy dopiero się zarysowały. Za lat 10-15 można będzie mówić dopiero o poziomie ogólnie odpowiadającym naszym zamierzeniom; będzie on na pewno ponad 100% wyższy od niemieckiego. (Uprzemysłowione zostaną m.in. tereny północne). Polskie ziemie zachodnie i północne przeżywają dopiero w Polsce swój naturalny awans, podobnie jak dzięki nim możliwy jest awans Polski.

ad 5. Krótko: to Stresemann, w wywiadzie udzielonym w 1925 r. francuskiemu dziennikarzowi, odpowiedział cynicznie na pytanie, czy Niemcy użyją siły dla załatwienia swych żądań: „Czyżbyśmy byli tak niemądzy, by to notyfikować Europie?“ (cytuję niedosłownie, ale taki jest

sens). Nie kwestionując nawet szczerości intencji Adenauera, trzeba przypomnieć, że po Stresemannie przyszedł Hitler. Poza tym raz jeszcze: naszą granicę zachodnią można by zmienić tylko siłą, o ile znalazłby się ktoś dostatecznie silny. Dla nas bowiem — powtarzam — nie jest to kwestia granicy, a kwestia egzystencji.

Sceptycznie też słuchamy syrenich głosów. W sprawach najbardziej żywotnych bowiem — proszę wybaczyć jeszcze jedno powtórzenie — nie stać nas na naiwność.

\* \* \*

Aby walczyć, trzeba wiedzieć i wierzyć. Wspólny cel — wspólna sprawa — to i wspólna walka. Specyfika metody, taktyki, środków argumentacji — nie przeczą chyba tej zasadzie. Problem polskich ziem zachodnich i północnych — to problem nie tylko państwa, ale i narodu polskiego. Stąd aktywna postawa całego narodu wobec tego problemu jest nakazem już nie chwili, ale — proszę wybaczyć mi pozorny patos — nakazem historii.

Edmund Męclewski

ST. CZECHANOWSKI

## NIEMCY — POLSKA — EUROPA

Nazwisko Paula Wilhelma Wengera, korespondenta wpływowego tygodnika katolickiego „Rheinischer Merkur“ w Bonn, nie jest obce czytelnikom ŻYCIA.\*) Niejednokrotnie notowaliśmy śmiało i w stosunku do Polski życzliwe artykuły jego, w których jako jeden z niewielu Niemców podnosił konieczność realistycznego podejścia do sprawy granicy polsko-niemieckiej. Rok temu omawialiśmy na łamach ŻYCIA burzliwą polemikę, wywołaną przez wystąpienie Wengera na zjeździe dzielnicowym Chrześcijańskiej Demokracji (CDU) w Tauberbischofsheim, w którym poddał druzgocącej krytyce politykę Prus i Niemiec w ciągu ostatnich lat dwustu i niemiecką historiografię tego okresu, wysuwając jednocześnie projekt ogólnoeuropejskiej federacji, w której nie byłoby zjednoczonego centralistycznego państwa niemieckiego, lecz Niemcy rozczłonkowane na regionalne federacje związane współdziałaniem gospodarczym. Piętnowano Wengera jako pomniejszyciela Niemiec i zdrajcę sprawy narodowej.

W odróżnieniu od niektórych innych niemieckich „realistów“, Wenger nie skapitulował. Przeciwnie, myśli wypowiedziane w Tauberbischofsheim pogłębił, ogłaszając niedawno — mimo stawianych mu przeszkód — obszerną książkę pt. „Wer gewinnt Deutschland?“\*\*)

Książka próbuje przedstawić problem wzajemnego stosunku Polski i Niemiec jako kluczowe zagadnienie Europy, od właściwego rozwiązania którego zależy przyszłość nie tylko obu sąsiadów, lecz całej Europy. Tytuł: „Wer gewinnt Deutschland?“ można by zastąpić tytułem: „Niemcy, Polska i Europa“. Rzucam

\*) ŻYCIE, nr 7(56), lipiec 1958, str. 18.

\*\*) Paul Wilhelm Wenger, „WER GEWINNT DEUTSCHLAND?“, Kleinpreussische Selbstisolierung oder mitteleuropäische Föderation?, Seewald Verlag, Stuttgart-Degerloch, str. 423.

myśl, by książkę Wengera streścić i wydać jako broszurę po polsku, by czytelnikom na emigracji i w Kraju ukazać drogi (a nie tylko bezdroża), po których kroczy współczesna niemiecka myśl polityczna. Nie znaczy to oczywiście, by wszystkie poglądy autora na sprawy nasze były zgodne z polskim punktem widzenia. Przedstawienie np. sprawy granicy polsko-niemieckiej dalekie jest od uwzględnienia naszej racji stanu. Książka jest jednak przepojona nieklamana sympatią i życzliwością dla narodu naszego i dla roli, jaką przypaść winna w przyszłości państwu polskiemu. Książka jest antypruska, antyprotestancka, antynacjonalistyczna, ale nie jest na pewno antypolska. Sam ten fakt stanowi na niemieckim rynku wydawniczym wydarzenie godne uznania i pochwały. Dochodzą głosy, że książka Wengera czytana była w Warszawie z dużym zainteresowaniem.

Wenger jest przekonany federalistą. Wielkość Europy w przeszłości, zwłaszcza Europy centralnej i wschodniej, ocenia przez pryzmat Świętego Cesarstwa Rzymskiego i Imperium Jagiellońskiego. Powiada, że likwidacja tych dwóch prawzorów federacyjnych sprowadziła Europę na manowce mocarstwowych nacjonalizmów. Epigonem Świętego Cesarstwa był Niemiecki Związek (Deutscher Bund), przy pomocy którego twórca jego, Fryderyk Gentz, usiłował ratować Niemcy i tym samym Europę przed zagładą. Pogrzebienie Polski na kongresie wiedeńskim i polityka Bismarcka unicestwiły te zamiary. Cytowane przez autora powiedzenie Gentza: „Niemcy spowodowały upadek Europy, poprzez Niemcy musi się Europa ponownie odrodzić“, stanowi wyjściową myśl przewodnią jego analizy historycznej. Konstantyn Frantz, „największy federalista XIX wieku“, przeźrezał Bismarcka w roku 1858, w pamphlecie „Quid faciamus nos?“ (na dwa lata przed objęciem przez „żelaznego kanciera“ urzędu pruskiego premiera): „Je-

śli pan podejmie wojnę z Wiedniem, do czego pan przecież dąży, zamiast podtrzymać przyjaźń i rozbudować razem z Wiedniem federacyjne założenia Niemieckiego Związku...“, to Rosjanie zajmą taką granicę w Europie, jaką uważają dla Rosji za naturalną, czyli linię Hamburg — Triest“. To jest linia roku 1945 — dodaje Wenger.

„Małoniemieckie“ rozwiązanie sprawy niemieckiej przez Bismarcka w latach 1866-70 musiało zdaniem autora doprowadzić do katastrofy roku 1945. Błędem dzisiejszej polityki Niemieckiej Republiki Federalnej jest dążenie do odbudowy tworu państwowego, który był przyczyną klęski. Autor nie tai przed czytelnikiem niemieckim, że zjednoczenie Niemiec w granicach 1937 roku nie jest do zrealizowania po prostu dlatego, że cała Europa, a nie tylko Rosja i kraje wschodnioeuropejskie, boi się powstania w centrum naszego kontynentu silnego 70-milionowego, wysoce uprzemysłowionego państwa. Dlatego, chcąc odzyskać wspólnotę kulturalną, a niekoniecznie państwową, szukać trzeba innych dróg rozwiązania. NRF chciałaby cel ten osiągnąć poprzez integrację Europy zachodniej. Ale Europejska Wspólnota Obrony i późniejsze formy integracji europejskiej nie mogły i nie będą mogły osiągnąć zamierzonego celu, ponieważ ograniczają się do Europy Zachodniej. Europa nie kończy się na Łabie, lecz na wschód od Polski.

Zjednoczenie Niemiec, tak jak je sobie wyobrażają politycy w Bonn, jest możliwe tylko na warunkach sowieckich. Nowe, odtworzone na wzorach bismarckowskich niemieckie „Nationalstaat“ mogłoby istnieć tylko w oparciu o nowe, tym razem „czerwone“ Taurogi. Chcąc temu zapobiec i przełamać obecną izolację, należy dążyć do szukania ponadnarodowych form zbliżenia i współpracy. Te formy widzi autor w przyszłej ponadpaństwowej federacji państw istniejących po tej i tamtej stronie żelaznej kurtyny.



Dzisiejszy podział Niemiec nie miałby być przeszkodą, ale przeciwnie ułatwieniem do znalezienia pomostu dla wzajemnego zblżenia. Zaniechanie zjednoczenia Niemiec miałyby stanowić dla Wschodu gwarancję przed rewanzem i musiałyby — uwzględniając ewolucyjne procesy liberalizacyjne na Wschodzie — przedzej czy później doprowadzić także i Rosję do wyrażenia zgody na ten nowy porządek europejski (?).

Koncepcje swoje usiłuje autor podmurować wszechstronną analizą historyczną, szczególnie ostatnich dwóch stuleci. Skreślony przez niego szkic historyczny odbiega tak jaskrawo od dotychczasowej historiografii niemieckiej, że nie należy się nawet dziwić, iż Niemcy, wychowani od pokoleń w kulcie wielkości Prus buntują się przeciwko obrazowaniu ich przeszłość.

Ofiarą tej surowej krytyki Wengera padły w pierwszym rzędzie trzy kluczowe postacie, bałwochwalczo gloryfikowane przez niemieckich historyków: Luther, Fryderyk II i Bismarck. Fryderyk II uważa Wenger za głównego inicjatora rozbiórów Polski. Za Ryszardem Huch cytuje autor list Fryderyka, skierowany do jego brata Henryka w odpowiedzi na protest tegoż przeciwko zamierzonemu rozbiorowi Polski: „Rozbiór Polski łączy trzy religie: grecką, katolicką i kalwińską. Gdy spożyjemy bowiem przy komunij to ciało eucharystyczne, tj. ciało Polski, to, nawet jeśli komunja ta nie posłuży zbawieniu naszej duszy — będzie jednak z pewnością ważnym posunięciem dla dobra naszych państw”. — Robiąc bilans konsekwencji polityki rozbiórów dochodzi Wenger do wniosku: „W konsekwencji ruszył zwycięski pochód dechrystianizacji Niemiec. Co zaczęło się pierwszym rozbiorem Polski, skończyło się mordami masowymi w Oświęcimiu...”

Z lekcji historii usiłuje Wenger wyczarować wizję nowej Europy. Ważne miejsce przypadałoby Polsce, która razem ze wschodnimi Niemcami, czyli dzisiejszą Niemiecką Republiką Demokratyczną alias Prusami miałyby — uwzględniając dzisiejszy układ stosunków międzynarodowych — pozostać w „rosyjskiej militarnej sferze wpływów”. Granice tej Polski wyglądałyby co najmniej oryginalnie. Na wschodzie przywraca nam autor Wschodnią Małopolskę oraz zachodnią część Wołynia i Polesia, pozostawiając Wilno i północno-wschodnie kresy poza granicami Polski. Ceduje nam prawo do północnej, dziś przez Rosję anektowanej części Prus Wschodnich. Na zachodzie ogranicza granicę naszą do linii roku 1937 z tym, że ofiarowuje Polsce Prusy Wschodnie z Gdańskiem i Śląsk Opolski. Wrocław z Dolnym Śląskiem i Zachodnie Pomorze ze Szczecinem oraz Ziemia Słubicka miałyby natomiast powrócić do Niemiec, tj. do NRD, względnie do Prus. Nie wiadomo dlaczego mielibyśmy otrzymać Ruś Zakarpacką.

Niezależnie od granic państwowych, niejako ponad granicami, miałyby powstać wschodnio-europejska wspólnota węgla i stali, wzorowana na organizacji Wspólnoty zachodniej, ale od niej niezależna. Wspólnota ta miałyby obejmować obszary przemysłowe Polski, Czechosłowacji i wschodnich Niemiec.

Granica zachodnia Polski wykreślona przez Wengera; odpowiada jego zdaniem zachodniej granicy Niemieckiego Związ-

ku z lat 1815-1866. Tu Wenger się myli: Prusy Wschodnie i Zachodnie należały wprowadzić w XIX wieku do Prus, nie wchodziły jednak w skład „Rzeszy”. Śląsk Górny natomiast (podobnie jak cała Ziemia Śląska) wchodził już za czasów przynależności do korony czeskiej w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego Niemieckiego Narodu i znalazł się przeto w obrębie Związku.

Tak wykreślone granice nie mogą być — rzecz prosta — zaakceptowane przez Polaków. Wenger nie wniknął w problem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Gdyby poznał stanowisko polskie, nie mógłby twierdzić, że za cenę Lwowa Polacy „z chęcią” zrezygnują z Dolnego Śląska. Pomysł włączenia Rusi Zakarpackiej w skład Rzeczypospolitej świadczy o nieznajomości stosunków polsko-czechosłowacko-węgierskich. Autor nie uwzględnił w planie swoim problemu ukraińskiego, bez właściwego rozwiązania którego nie jest do pomyślenia pacyfikacja południowo-wschodniej Europy. Zauważyć trzeba, wskazując te przeoczenia, że Wenger skazany był nieomal wyłącznie na źródła niemieckie. Posługiwał się w szczególności, jak wynika z licznych cytatów i odsyłaczy, wydaną w roku 1955 pracą H. Laeuena, „Polnische Tragödie”, która epokę jagiellońską przedstawia w sposób na ogół trafny, nowsze dzieje Polski jednak, a przede wszystkim okres międzywojenny, widzi wyłącznie przez okulary niemieckie. Na tym tle rysuje się ważny i pilny problem wydania przez Polaków obiektywnej historii Polski w języku niemieckim. W ogóle zaniedbujemy potrzebę zaopatrywania czytelników niemieckich w źródłowe i obiektywne opracowania o polskiej przeszłości i teraźniejszości.

Sugestie Wengera rozpatrywać trzeba jako początek dyskusji, gdzie punktem wyjścia jest bezsporne stwierdzenie autora, że nie ma powrotu do granic 1937 r. „Piętnuje jako wyraźny skandal — powiedział Wenger w Tauberbischofsheim — szczególnie jako moralny skandal fakt, iż w szkołach naszych a także w naszych urzędach zagranicznych wiszą mapy Westermanna, na których jedyną prowizoryczną granicą Europy jest linia Odry i Nysy, kiedy jednocześnie zrabowanie 200.000 km kwadratowych polskich obszarów wschodnich przedstawione są na nich jako uprawniony obszar rosyjski... To jest zdrada stanu w stosunku do Polski i tym samym w stosunku do nas, w stosunku do europejskiej Polski, która w roku 1683 pod Wiedniem walczyła o Zachód; elektor brandenburski pod Wiedniem nie przybył... Brandenburgia nie przybyła — przybyła Polska!”

Niechaj mi wolno będzie na tle uwag o książce „Wer gewinnt Deutschland?” dodać kilka słów w sprawie zagadnienia granicy. Strażnikiem jej jest wkład pracy narodu polskiego w odbudowę Ziemi Odzyskanych i w zespolenie ich z pozostałymi obszarami Polski oraz nieugięta wola obrony za każdą cenę. Gwarantem granicy jest dzisiejszy układ stosunków międzynarodowych, innymi słowy: Rosja. Ewolucja wydarzeń ostatniego okresu pozwala mieć nadzieję, że gwarancja wschodniego sąsiada uzupełniona zostanie wcześniej czy później gwarancją Zachodu tzn. przede wszystkim Ameryki. Uzyskanie uznania Zachodu stabilizowa-

łoby granicę. W obecnym układzie stosunków pomiędzy NRF a Ameryką i innymi aliantami nie należy całkiem wykluczać możliwości, że i Niemcy (NRF) pozyskane zostaną dla traktatu zawierającego klauzulę rezygnacyjną. Jeśli jednak zgoda Niemiec nie będzie poparta niewymuszoną aprobatą wszystkich głównych partii niemieckich i większości społeczeństwa niemieckiego (plebiscyt) — a aprobatą taka wydaje się obecnie dość problematyczna — narastać będzie w Niemczech nowa „legenda o ciosie sztyltem” (Dolchstoslegende) i trwać będzie propaganda rewizjonistyczna, zaturwając stosunki pomiędzy obu narodami. Normalizacja stosunków polsko-niemieckich, poprawne sąsiedztwo oraz harmonijna współpraca leżą w interesie zarówno naszym jak i niemieckim, są nieodzownym warunkiem pokoju i harmonii w Europie. Z tą myślą należy podchodzić do tych kół niemieckich, które szczerze i lojalnie pragną trwałego odprężenia pomiędzy Polską a Niemcami. W tej perspektywie należy oceniać książkę Wengera jako wkład do żmudnej pracy nad pacyfikacją stosunków polsko-niemieckich, która obok normalizacji stosunków francusko-niemieckich jest nieodzownym przesłaniem przyszłego sklepienia ogólnoeuropejskiego.

Krytyka niemiecka zarzuca Wengerowi zonglowanie faktami historycznymi i przedstawianie, zwłaszcza ostatnich stuleci, w sposób sprzeczny nie tylko z dotychczasową historiografią, ale i z obiektywną prawdą. Zarzuca mu się ponadto liczne nieścisłości, a pomysły jego piętnuje się jako wytwory fantazji. Nad poszczególnymi tezami autora i interpretacją niektórych wydarzeń można oczywiście dyskutować. Z pewnością nie brak w analizie historycznej błędów czy przeoczeń.

Ale Wenger nie jest historykiem, nie ogłasza rozprawy historycznej. Jest publicystą, politycznym polemistą, który książką swoją chce skłonić Niemców, a szczególnie młodzież, do krytycznego spojrzenia na własną przeszłość, na niebezpieczeństwo bezdroży, ku którym prowadzi może obecna polityka niemiecka.

Wenger zarysował nie tyle konkretny program postępowania politycznego w przyszłości, ile dał wizję Europy, do której należy dążyć pod rygorem zatracenia całego dorobku europejskiej przeszłości. Książka i tezy Wengera wywołały duże zainteresowanie w kręgach młodzieży niemieckiej.

Ciekawym uzupełnieniem wydarzenia, jaki stanowi książka Wengera, jest praca poważnego historyka Golo Manna, syna Tomasza, ogłoszona rok temu pod tytułem „Deutsche Geschichte des neunzehnten und zwanzigsten Jahrhunderts”. Niejedna myśl publicystycznie zarysowana u Wengera znajduje naukowe poparcie w wywodach historyka. W potępieniu bismarckowskiej polityki „małoniemieckiego rozwiązania” problemu Niemiec sekunduje ponadto Wengerowi jeden z najwybitniejszych współczesnych filozofów niemieckich, Karl Jaspers; dał wyraz swemu stanowisku w mowie wygłoszonej w jesieni roku ub. w historycznym kościele św. Pawła we Frankfurcie, z okazji wręczenia mu nagrody pokoju wydawców niemieckich.

St. Czechanowski



# ROZWAŻANIA O HISTORII EUROPEJSKIEJ (3)

## ZRÓŻNICOWANIA WEWNĘTRZNE EUROPY

Dotąd\*) kładliśmy szczególny nacisk na wspólnotę narodów europejskich, na głęboką łączność pomiędzy nimi. Z kolei zajmujemy się różnicowaniami w łonie naszego kontynentu. W związku z tym tematem miło mi jest zwrócić uwagę na doskonałą książkę prof. Oskara Haleckiego, polskiego historyka, który przebywa na wygnaniu w Ameryce. Książka ta ukazała się w języku angielskim i jej tytuł brzmi: „Granice i podziały w historii europejskiej”. Ten sam autor w pracy pt. „Ziemie kresowe cywilizacji zachodniej”, ogłoszonej również po angielsku, zajął się losami narodów, które się znajdują pomiędzy światem rosyjskim, a światem germańskim. Warto wspomnieć, że książka ta ukaże się w przekładzie niemieckim.

Pierwszym różnicowaniem Europy, które rzuca się w oczy, jest jej podział na narody. Na podstawie tego podziału kształtowała się polityka europejska od rewolucji francuskiej. Od tego bowiem czasu namietności nacjonalistyczne weszły w świat. Chociaż obecnie wygasają, to jednak wciąż jeszcze mogą stanowić natchnienie dla ducha oporu przeciw obcym okupacjom. Bo zresztą cóż jest bardziej usprawiedliwione, jak domaganie się prawa, aby samemu kształtować swoje losy? Tymczasem przełom techniczny postępuje coraz bardziej, a jego następstwa są takie, że już żaden naród nie może istnieć tylko w oparciu o własne zasoby. Toteż i nacjonalizm, jako ideał i kierunek natchnienia, osiągnął swój kres. Co więcej! Czasy nasze porównano do okresu wojen religijnych, bo żyjemy w epoce wielkich spiec ideologicznych. Więc już nawet pojęcie ojczyzny nie wystarcza, jeśli go nie wzbogacić o ideał bardziej uniwersalny. Zwłaszcza, że przecież nie dawne to lata, gdy stawialiśmy opór narodowym socjalistom. Ci zaś uważali się za dobrych patriotów i tak samo potrzęsaliby sztandarem narodowym w imię ojczyzny, właśnie jak my wszyscy, którzyśmy walczyli po drugiej stronie barykady...

A więc nacjonalizm trzeba traktować jako pewną fazę w historii europejskiej. Natomiast ojczyzny pozostaną. Ale nie stanowią one jedynej formy różnicowania w naszej części świata. Obok narodów istnieją różnego rodzaju okręgi czy strefy, które tu będziemy nazywali „regionami”. Są one wielkie i są małe, a różne czynniki wpływają na nie i je kształtują.

Zanim jednak zajmujemy się regionami, musimy stwierdzić wyraźnie i stanowczo jedną rzecz: nie uznajemy, aby podział na Europę wschodnią i zachodnią miał jakikolwiek walor naprawdę historyczny. To znaczy — wyrażając się innymi słowami — jesteśmy zdania, iż że-

lazna kurtyna nie odpowiada żadnemu stanowi rzeczy, który by kiedyś realnie istniał. Całkiem po prostu jest to tylko linia demarkacyjna, poza którą w czasie drugiej wojny światowej nie udało się przejść ekspansji sowieckiej. Zapewne, od przeszło trzynastu lat oba te odłamy Europy żyją według stylów różniących się zasadniczo. I gdy nadejdzie dzień zjednoczenia, na pewno dostrzeżemy dostrzegalne rozbieżności. Lecz pomimo wszystko są to różnice istniejące od niedawna. Natomiast wszystkie, już dziś tradycyjne i nawet zastarzałe próby, podejmowane z pobudek więcej czy mniej bezinteresownych, aby przeciwstawić wschód zachodowi, są daremne. Obie te części naszego kontynentu brane w swej całości nie dadzą się wyjaśnić ani niższym czy wyższym stopniem uprzemysłowienia, demokracji politycznej, feudalizmu, czy postępu umysłowego; ani katolicyzmem czy prawosławiem. Liczy się tylko i wyłącznie jeden fakt: a jest nim bardziej czy mniej osłonięta wojskowa okupacja sowiecka, dokonana za zgodą polityków zachodnich. Wszystko jest tylko następstwem tego faktu.

Lecz istnieją inne różnicowania w łonie Europy, które mają wytkamczeni'e w czynnikach rzeczywistych i trwałych. Są to, najpierw, różnicowania o charakterze geograficznym.

Weźmy taką zwartą całość jak basen Morza Śródziemnego. Jeden z niemieckich pisarzy pokusił się nawet o stworzenie historii tego regionu. I naprawdę widać, że łączność wszystkich mieszkańców na tych terytoriach jest faktem. Tak więc nie ulega wątpliwości, że klęska Turków pod Lepanto w roku 1571, która uradowała całe chrześcijaństwo, miała jednak szczególne następstwa przede wszystkim dla wybrzeży tego starego morza śródziemnego. I żeby zacerpnąć przykładu z tych samych stron: otwierające się nowe możliwości są bez porównania większe dla takich portów jak Barcelona czy Marsylja, niż dla portów północnych w rodzaju Kopenhagi czy Hawru.

Inne były przeznaczenia i inny charakter regionu, który szwajcarski historyk Gonzague de Reynold nazywał „Europą Środka” (Europe Médiane). Terytorium, na którym kolejno powstawały Lotaryngia i różne Burgundie, rozciąga się od ujścia wielkich rzek zachodnich po Alpy i Prowansję. Jest to region wielkich dróg handlowych i wielkiego promieniowania kulturalnego. Region, którym w ciągu wieków dzieliło się nie mało dynastji i republik. I kto wie, czy nie wyłoni się na powierzchnię w przyszłej Europie, oczywiście jako odrębny twór polityczny, nie jako państwo, lecz jako trwała rzeczywistość geograficzna, której głównymi osiami byłyby rzeki Ren i Rodan. Toć, kto odwiedza Bruges, wciąż jeszcze widzi, że znalazł się nie tylko na dawnej ziemi flamandzkiej, lecz także i na ziemi bur-

gundzkiej. Nie darmo też Maria Burgundzka i jej ojciec Karol Śmiały pochowani są w kościele mariackim w Bruges, a architektura szpitala pod wezwaniem św. Jana w tym mieście tak bardzo przypomina styl sławnego szpitala w burgundzkim mieście Beaune.

I żeby jeszcze przez chwilę zatrzymać się przy Bruges. To miasto jest nie tylko flamandzkie i burgundzkie, lecz posiada także przeszłość hanzeatycką. Czyż wraz z Nowogrodem, wraz z norweskim Bergen, wraz z Londynem nie stanowiło jednego z filarów tej ligi wolnych miast handlowych? Od Bruges aż do Zatoki Botnickiej, przez pokolenia i pokolenia, wiązała się nie tylko sieć morska i gospodarcza, lecz również pewna wspólnota życia i urządzeń. Ta wielka przestrzeń, której ośrodek znajdował się w Lubece, dziś jest rozczłonkowana pomiędzy sześć czy siedem państw narodowych. Ten to region prawie w takiej samej mierze jak miasta włoskie, wypracował technikę obrotów finansowych, która częściowo do dziś dnia pozostaje w użyciu na Zachodzie. I rozwinął też mieszczańską, patrycjuszowską architekturę, która nie straciła nic ze swego dostojnego piękna.

Widzimy więc ile rozmaitych czynników geograficznych łączy się nierozdzielnie z ekonomią, z polityką, ze sztuką. Bo pewne dane i właściwości fizyczne nie znaczą same z siebie nic, jeśli człowiek nie będzie umiał ich wykorzystywać. Czy region bałtycki posiadał drzewo, bursztyny, futra? Oczywiście, że tak. Lecz wprawdzie musiało nastąpić osiągnięcie wyższego stopnia cywilizacyjnego, aby zachód atlantycki zdecydował się zacerpnąć z tego skarbcza. Gdy już odkrycie zostało dokonane, gdy rozbudziło się pragnienie, gdy pierwsze wyprawy zorganizowano, stajemy wtedy przed nową rzeczywistością historyczną. Umożliwiła ją morze, przede wszystkim jednak zdolność ludzi sprawia, że ta nowa rzeczywistość staje się faktem w pewnym momencie dziejowym. Nowe perspektywy budzą natchnienia, a te tworzą nowe wartości. Hanzeatyckie Bruges stworzy nie tylko pierwszą giełdę na świecie, ale będzie także miało szkołę malarską, która wsząd przyciąga artystów. Mówiąc nawiasem, słowo „giełda” w języku francuskim brzmi „la bourse”, co wprawdzie pochodzi z greckiego i łaciny i oznacza „torbę”, „sakiewkę na pieniądze”, ale w danym wypadku instytucja giełdy otrzymała swoją nazwę „la bourse” od mieszczańskiej rodziny w Bruges, nazwiskiem Van den Beurze...

Są również w Europie regiony o podstawie religijnej, zwłaszcza od czasu reformacji, kontrreformacji i wojen religijnych. Wokół Bałtyku utworzyła się Europa luterska, a przez kilka pokoleń jej główną potęgę stanowiła Szwecja. Naprzeciw zaś i tam, gdzie rozciągało się panowanie Habsburgów, mamy cały zespół regionów, gdzie wszędzie panował

\*) patrz ŻYCIE n-ry 5 - 6 (maj - czerwiec) i 7 (lipiec).



barok, tak w architekturze jak i w sztuce. Jak w tym wypadku mówić o szkołach narodowych? Co najwyżej można by wskazać na pewne narodowe warianty, występujące w oparciu o jeden wzór ogólny. I wreszcie od Szkocji aż po Siedmiogród w niejednym miejscu wystąpił kalwinizm. Przez pewien czas Holandia i Anglia, dwie rywalizujące ze sobą potęgi morskie i handlowe, są pod jego silnym wpływem, chociaż w Wielkiej Brytanii purytański, surowy kalwinizm otrzymał przeciwwagę innych oddziaływań. Jednakże cały ten region europejski, choć wielojęzyczny, wykazuje kalwińskie znamie.

Wreszcie mamy w Europie regiony, które są różniąc odrębnymi tradycjami politycznymi. Z jednej strony są kraje, w których demokracja parlamentarna nastąpiła dość późno i głównie w następstwie rewolucji francuskiej; żeby tak powiedzieć: — pod śpiew Marsylianki. Z drugiej strony, są narody, które umiały zachować stare tradycje średniowiecza, i nie mniej są przywiązane do zasadniczych wolności człowieka, a może nawet jeszcze bardziej. Te narody dają swoje samorządy od pradawnych „kart wolności“, przyznających temu czy innemu miastu prawo bicia własnej monety, czy też prawo udzielania azylu obywatelom, którzy przybyli skądinąd, albo na przykład Anglicy, którzy szczerzą się swoim parlamentem i nazywają go z dumą „najstarszym na świecie“, chociaż jest to może sprawa podlegająca dyskusji. Otóż ten prastary i dumny ze swoich tradycji parlament pochodzi z czasów średniowiecza, kiedy to możnowładcy otrzymali prawo wglądu, prawo dorady, prawo „mówienia“ z królem i wywierania wpływu na jego politykę. Sama nazwa „parlament“ pochodzi z ludowego i średniowiecznego słowa łacińskiego „paraulare“, później: „parlare“, które znaczyło „wygadać się“, „nagadać się“, „mówić“ (dop. tłum.). Opuszczając Anglię, a przechodząc do Szwajcarii, widzimy znów kraj tak nowoczesny, jak rzadko który na świecie. A ta nowoczesna Szwajcaria nie przestaje rządzić się czcigodnym systemem demokracji federalnej pochodzenia chłopskiego. Ta zaś demokracja niejednokrotnie dziś jeszcze realizowana przez udział bezpośredni wszystkich, nie zawdzięcza nic terrorystom jakobinów. Jest to demokracja kompromisu i dojrzałości, centrystyczna, reformistyczna i konserwatywna równocześnie. Prawda, że nie wpłynęła w jakiś wybitny sposób na świat. Być może, że częściowym tego powodem jest jej konstytucyjna neutralność.

Już z tego cośmy dotąd wspomnieli, wiadać rzecz następującą: kiedy się mówi o demokracji europejskiej, trzeba wiedzieć, że składa na nią jej kilka różnych rodzajów. Szwajcaria znajduje się na rozstaju pomiędzy Nordykami a Śródziemnomorcami; pomiędzy tymi, którzy przysięgają na rok 1789, to jest wywodzą swoje urzędy z rewolucji francuskiej, a tymi, którzy swoje przekonania demokratyczne opierają o znacznie dawniejsze tradycje. Wystarczy, jeśli ktoś uczestniczył w europejskich posiedzeniach parlamentarnych, aby stwierdził, ile nieporozumień i konfliktów mogą wywołać takie rozbieżności regionalnej natury. Ale powinno się i można je przezwyciężyć, aby się zrodziła europejska demokracja

federalna — nowa co do ducha i co do zasięgu.

Tak więc idea regionalna nie jest jakąś starzyzną, ukochaną przez zwolenników folkloru. Jest to żywa i żyjąca rzeczywistość, jest to bogactwo, które występuje tym wyraziściej, im bardziej dokonywa się zbliżenie pomiędzy Europejczykami. Kwestionuje ona dawną ideę państwową i centralistyczną, której pierwszą wersję pokazał absolutyzm w XVII i XVIII wieku, lecz której drugą wersję upowszechnili nacjonaliści, rewolucyjni i nierewolucyjni w wieku XIX i XX.

Bywa i tak, że często region przekracza granice narodowe. Jest na przykład zespół kельtycki w Europie, który rozciąga się na trzy różne kraje. Podobnie też istnieje wspólnota kultury katalońskiej, która przekracza Pireneje, bo występuje i na terenie Hiszpanii i na terenie Francji. Jest też wspólnota, obejmująca cały masz alpejski. A chociaż nie wszyscy alpejczycy należą do rasy, którą antropologia nazywa alpejską, to ich położenie centralne nadaje im podobne stanowisko. Czyż zresztą nie budują swoich domostw w tym samym stylu? Podług narodowej etykiety raz nazywa się on „szwajcarski“, raz „bawarski“, to znów „sabaudzki“ albo „tyrolski“, a przecież jest to ten sam styl.

Różnorodności regionalne w Europie nie są czynnikiem rozbieżności, lecz bogactwem. A mogą nim być dlatego, że w tym, co istotne, wszyscy Europejczycy rosną korzeniami z tej samej żyznej gleby kulturalnej i przeżywali te same doświadczenia podstawowe. Nie znaczy to, że wszystkich spotykało to samo, ale znaczy, że losy ich zawsze przebiegały wspólnie. Popatrzmy na przeszłe dwa wieki, które upłynęły pomiędzy upadkiem Bizancjum w roku 1453 a klęską Turków pod Wiedniem w roku 1683. Wydaje się, jakoby wówczas istniały dwie Europy, odwrócone od siebie plecami. Europa bałkańska i naddunajska widzi przed sobą tylko jeden problem: opór wobec Półkolejczyka. A druga Europa, Morza Północnego i Atlantyku, marzy tylko o podbojach kolonialnych.

A jednak, jeśli się bliżej przypatrzeć, odkrywamy, że to wciąż ta sama Europa, jedna, ale o podwójnym obliczu: obrony i ataku. Jednakowy duch zawsze ją ożywia, chrześcijański i naukowy, duch tradycji i zdobywczości.

Na wschodnich rubieżach Europy pracują uczeni. Nazywają się Kopernik i Kepler. Ich odkrycia sprawią, że wszystkie nasze zapatrywania na wszechświat muszą ulec całkowitej zmianie. Lecz w tym samym okresie na przeciwnym krańcu Europy inny uczyony gromadzi swoje wnioski: to Henryk zwany Żeglarzem, władca Portugalii, który wycofał się z narodowego życia politycznego, aby stać się organizatorem wielkich morskich wypraw odkrywczych. Jak tamci byli astronomami, on stał się klimatologiem, kartografem, oceanografem, etnologiem, ekspertem żeglugi na pełnych morzach.

Mózg tych wszystkich ludzi działa tak samo. Wszyscy na swój sposób przeżywają tę samą pasjonującą przygodę Europy w czasie jej ekspansji i jej renesansu. I wszyscy również są chrześcijanami. Czy chodzi o Serbów, Węgrów, o Polaków, którzy stawiają zbrojny opór niewiernym; czy o Portugalczyków, których

marzeniem jest zaatakować Islam przez obejście od tyłu: wciąż jeszcze jest to dawny poryw wypraw krzyżowych, poryw, którego duch nie wygasł.

Czy więc patrzmy na tych, którzy bronili Europy w kierunku południowo-wschodnim; czy też na tych, którzy byli pionierami zamorskich dróg, widzimy, że to była rodzina; tego się nie da zaprzeczyć. I wspólnie też przygotowują nową fazę naszej historii, która będzie miała i swoją wielkość njezmierzoną i swoje zmyzy straszliwe. — Europa klasyczna, Europa światowa, będzie się mogła narodzić.

Prawda, że te różne Europy następujące po sobie, bynajmniej nie mają ani tego samego oblicza, ani tej samej konfiguracji. W tej czy innej epoce, ten czy inny region wykorzystywał swoje okazje na niekorzyść regionu sąsiedniego, aby następnie, po wyczerpaniu, popaść w zaścioj. Niejednokrotnie przesuwają się punkty równowagi w Europie. — Teraz więc słowo o tym pojęciu równowagi. Kiedy mówimy, że wielkie wydarzenia naszej historii zawsze dotykały całości naszego kontynentu, nie jest prawdą, aby jego centrum nerwowe znajdowało się zawsze w tym samym miejscu. Pierwsza Europa, Europa Konstantyna Wielkiego i chrześcijańskiego cesarstwa rzymskiego, była zorientowana wzdłuż wschodniej osi basenu śródziemnomorskiego. Obejmowała przy tym Azję Mniejszą i Afrykę Północną — A więc geografia formalna nie jest tu nam żadną pomocą. Lecz taki stan rzeczy nie pozostał na trwałe. Kiedy podboje Arabów dotarły aż do Asturii na Półwyspie Pirenejskim i nawet do Loary na terenie dzisiejszej Francji, Europa umniejszona, zduszona, przesuwa swoje centrum ku północnemu zachodowi. Pepin i Karol Wielki już nie są śródziemnomorcami, jak Teodoryk Wielki. Będą pochodzili z regionu leodyjskiego, z regionu Liège. Będą mozańczykami, bo rzeka Moza aż do XII stulecia pozostanie główną arterią nowej Europy. Podobnie upadek Bizancjum i zalew Bałkanów oraz regionu naddunajskiego przez Turków spowoduje nowe przesunięcie punktów równowagi.

Europy nie da się określić geograficznie, ponieważ bezustannie przesuwa się jej centrum; i ulega zmianom nawet jej zasięg i obwód. Jeśli Ruś Kijowska sprzed najazdu azjatyckiego należała bez kwestii do Europy — czyż nie była chrześcijańska i osiadła? — to przez najazd tatarski Złotej Hordy została od Zachodu oderwana. Weźmy normkańskich Skandy nawów: sprzed okresu chrztu stanowią oni ogromną groźbę dla Europy przez swoje zuchwałe, a imponujące napady, jako prawdziwi koczownicy mórz. Ale od kiedy się osiedli jako chłopcy i chrześcijanie we francuskiej Normandii, w południowych Włoszech i na Sycylii, będą stanowili część naszej społeczności. A Węgrzy, to niegdyś postrach i groza Europy; pozostałością tego jest w różnych językach, także we francuskim, słowo „ogre“ na oznaczenie „wilkołaka“, ludożercy, legendarnego potwora pożerającego małe dzieci — to słowo „ogre“ jest ludowym przekręceniem słowa „Hungarus“, po francusku „Hongrois“ — Węgier. Jednak Węgrzy, ta groza i koszmar Europy, staną się jej bastionem od czasu, gdy wyto-

(Dokończenie na str. 17)



# Czytając Księgę Hioba

Bez wątpienia gdzieś tam w świecie istnieje taka rzecz jak prawda absolutna, ale niech się ona dalej chowa gdzieś na końcu drogi, czy w jakimś zaułku... Prawda absolutna przekonywałaby absolutnie i na tym byłby koniec wszystkiego myślenia, wszelkich ludzkich osiągnięć i pragnień. Będąc tylko człowiekiem, nie widzę jaki byśmy mieli z tego pożytek tu na ziemi, do którego to zresztą wnosku doszedł Hiob po wszystkich swoich próbach. Nam, ludziom, osobiste przekonanie wystarczy, gdyż zadowala nas chwilowo a jednocześnie nie pozbawia nas możliwości dalszych prób, dalszych osiągnięć. Szczęśliwy to stan rzeczy: bo gdyby nasze „prawdy” nie były zależne od osobistego nastawienia w danym momencie czy stopnia żądzy wiedzy, rozmowa czy dyskusja, czy nawet pisanie stałyby się niemożliwe lub zbyteczne. Nawet tak proste twierdzenie, jak „ładna pogoda” musiałoby zniknąć z naszego życia, gdyż czy pogoda jest ładna czy nie, zależy od osobistej opinii wyrażonej w danym momencie naszego stosunku do pogody.

W popularnym pojęciu Hiob był bezkostnym, półżywym, nierealnym starcem, pływającym się w swoich nieszczęściach na kupie gnoju z taką pokorną cierpliwością, jakby się spodziewał, że ktoś mu za to da order. Stworzenie, na które sam Bóg nie spojrzalby dwa razy.

Jakże inny obraz jednak przedstawia nam Księga Hioba. Staje przed oczyma dramat tak żywy i silny, że każde nam sprzymierzyć się z bohaterem. Przekonanie które Hiob osiąga, jest również przekonaniem czytelnika.

Wyobraźmy sobie człowieka złamanego, bez grosza, opuszczonego przez wszystkich i w dodatku cierpiącego strasznie na trąd. Przychodzi doń trzech przyjaciół. Trudno sobie wyobrazić bardziej niefortunny moment na dyskusję teologiczną. A jednak Hiob o niczym innym nie

myśli. Gdyby się był zwrócił do przyjaciół i powiedział: „Zbankrutowałem przez zbieg okoliczności, a nie przez głupotę. Pożyczcie mi pieniędzy. Rozpocznę gospodarkę na nowo i znów dorobię się majątku”; albo gdyby zebrał resztę swej służby, pogonił za bandytami i odebrał im łup, nie mielibyśmy dziś Księgi Hioba.

Ale Hiob był Hiobem. Znalazł się na swej kupie gnoju, ogołocony z wszystkiego z wyjątkiem myśli i słów, pokazuje swoim postępowaniem czym naprawdę był: namiętnym i fanatycznym filozofem. Nie ruszył głową, by ratować się w potrzebie, lub by planować nowe życie. Nie. Zajął się czymś, co go o wiele bardziej interesowało: pozbawiony wszelkich ciężarów życiowych i odpowiedzialności, zajął się poszukiwaniem Boga.

Nie ma powodu do przypuszczenia, że po raz pierwszy w życiu począł wtedy rozważać naturę Stwórcy. Operuje zbyt dobrze wyrobionymi argumentami. Natomiast, zapewne po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji, w której mógł sobie pozwolić na takie rozważanie, na intensywne szukanie prawdziwego Boga, bez przeszkód ze strony ziemskich odpowiedzialności. Można by przypuszczać, że Hiob rozpocząłby swoje poszukiwanie prędkiej czy później, nawet gdyby nie był stracił dzieci i majątku. Znalazłby może inną drogę: zostałby pustelnikiem, zawodowym filozofem, czy innego rodzaju poszukiwaczem prawdy. Wątpię jednak czy w tych innych warunkach znalazłby ostateczną odpowiedź w tym samym stopniu zadowalającą.

Bo Hiob był fanatykiem, nie uznającym roboty na pół skończonej. Podobnie jak jemu współcześni, rozumiał w jak wielkim stopniu jest zależny od Boga, i uważał to za wystarczająco dobry powód, by próbować lepiej zrozumieć źródło wszechrzeczy. Miał silne wątpliwości co do ówczesnego uproszczonego pojęcia Boga, który miał wyznawać zasadę „zab za ząb i oko za oko”. Taki obraz malowany przez rabinów wyglądał zupełnie logicznie dla ówczesnych Żydów, ale już przy bliższej analizie nie zgadzał się ze znanymi faktami. Odkąd Bóg stworzył raj, a w nim węża i pokusę, narażał się na zarzuty odpowiedzialności za istnienie i tolerowanie zła... Tu leżała tajemnica, którą trzeba było rozwiązać. Żydzi szybko się z problemem zła rozprawili, po prostu ignorując go. Zdawał sobie również Hiob sprawę, że gdy raz takie wątpliwości wtargną mu do myśli, przed Bogiem ich nie ukryje. Bogu wszechmocnemu był winien co najmniej próbę rozwiązania tych zwątpień, przez zbliżenie się do prawdy. Uważał, że do Boga można podejść tylko w duchu uczciwości.

Taki więc był Hiob. W oczach ludzi bankrut, nieszczęśnik, najwidoczniej wielki grzesznik, skoro go Bóg tak skarał. Ale już wkrótce ten nieszczęśnik, na pierwszy rzut oka zupełnie złamany, wstrząsnął silnie swymi cnotliwymi i sprawiedliwymi przyjaciółmi oraz ich dobrze zakorzenionym poglądem na Bo-

ga. Ten ludzki śmieć, wyrutek, nagle okazał się myślącym i to tak wielkim, że w końcu sam Bóg nie wytrzymał i do dyskusji się dołączył.

Przyjrzyjmy się fizycznej stronie historii Hioba. Mamy tu człowieka mieszkającego w Ur, dobrego obywatela, dobrego człowieka. W oczach ludzi i Boga człowieka sprawiedliwego. Miał siedmiu synów, trzy córki. Miał wiele owiec, wielbłądów i innych dóbr. Podług szatana był to wystarczający powód, by być cnotliwym. Przy pomocy szatana ten człowiek nagle zostaje zniszczony. Dzieci zabite, owce i wielbłądy skradzione przez Sabitów i Chaldanów, ogień pożera budynek. Sam Hiob cierpi na trąd i opuszczony przez wszystkich spędza swoje wygnanie na kupie gnoju. Tam odwiedza go trzech znajomych. Na ich widok Hiob traci cierpliwość i wybucha. Wkrótce okazuje się dlaczego: znajomi przyszli oskarżać go, wymyślać mu od grzeszników.

Hiob dyskutuje z pasją, bo ich pojęcia Boga strasznie się różnią: oni bronią pojęcia Boga jako super-kupca, doskonale obeznanego z prawami handlu. Uważają, że jeżeli w myślach i uczynkach zainwestuje się w firmie tego handlowca, to należy oczekiwać stałego oprocentowania. Prosta transakcja handlowa. Hiob jednak nie godzi się z tym poglądem. Nie tylko jest to pogląd zbyt handlowy, ale nawet nie zgadza się z prawdą. Zbyt wielu złym i niesprawiedliwym ludziom dobrze się powodzi. Ich dobrobyt byłby nagrodą? Za co? Za ich nieprawę życie? Naturalnie, tego rodzaju twierdzenie z miejsca rzuca cień podejrzenia na cnotliwość bogatych, między innymi znajomych Hioba. Czy to, że im się dobrze powodzi rzeczywiście oznacza, że w oczach Boga są cnotliwymi? Nic dziwnego, że ci znajomi przyszli do Hioba oskarżać go o grzeszne życie i dreczyć go bardziej niż wszelkie nieszczęścia dotychczasowe.

Oprócz tych znajomych nikt się Hiobem nie zajmował. Żona oskarżyła go, krewni trzymali się z daleka, służba nie zważała na niego i nie słuchała go. Był opuszczonym, osamotnionym wyrzutkiem społeczeństwa. Nie był pierwszym ani ostatnim niewygodnym heretykiem, którego społeczeństwo w ten sposób potraktowało. Można by tu zapytać, jak się to stało, że Chaldanie, Sabici spadli na Hioba tak jednomyślnie razem z ogniem? Zbyt to wszystko wygląda na znowe, na sfabrykowaną „karę boską”. Możliwe, że właśnie dlatego Hiob tak wybuchnął na widok swych znajomych. Jeżeli szatan był odpowiedzialny za nieszczęścia Hioba, wygląda, że posłużył się do tego rękami ludzkimi.

Hiob od dawna musiał wygłaszać swoje wątpliwości religijne, ku wielkiej rozpaczy znajomych i otoczenia.

Był Hiob człowiekiem głęboko religijnym, można powiedzieć, do Boga silnie przywiązany. Jako wszechmocny, ten Bóg był odpowiedzialny za wszystko co Hioba otaczało i dotyczyło. Nawet jeżeli nie był bezpośrednio odpowiedzialny za

## ROZMYŚLANIA O HISTORII EUROPEJSKIEJ (3)

(Dokończenie ze str. 16)

nią swoją katolicką dynastię począwszy od króla św. Stefana. I dzisiaj już nikt w całym chrześcijaństwie nie postawi im pytania, czy są „Azjatami”.

Europa — społeczność otwarta! Na tym pojęciu kończymy. Bo nasza historyczna cywilizacja o niezbyt określonych granicach składa się z mnogich regionów. Te regiony częstokroć zachodzą na siebie. Lecz wszystkie nie przestają być z sobą powiązane w całość, najpierw przez wiarę chrześcijańską, następnie przez pojęcie rzymskiego prawa i wreszcie przez jedyną, Europie właściwą, koncepcję wolności człowieka.

Hendrik Brugmans

Tłum. J. T.



mieszczęścia Hioba, mógł być co najmniej interweniować, gdy wypadki nie szły po Jego myśli. Hiob więc czuł, że jeżeli musi Bogu dziękować za dobrodziejstwa, powinien też uznawać Boga odpowiedzialnym za nieszczęścia. Ostatecznie, człowiek został stworzony w taki sposób, że mógł ściągnąć na siebie grzech, i grzech, chociaż jest złem, to stan wśród ludzi do przewidzenia. Jeżeli grzech jest zły, dlaczego Bóg stworzył człowieka, który zgrzeszył? Hiob był cholerykiem, gorącą głową, a zarazem i pesymistą, ponieważ nie był pewien co się z człowiekiem dzieje po śmierci. Ale wierzył bezgranicznie, że Bóg potrafi to wszystko jakoś wytłumaczyć, obronić się przed zarzutami. Przyjaciele twierdzili, że Bóg jest dobry, i dobroć swoją okazuje materialnie. Takie było wierzenie przez całe wieki, i kim był Hiob, ażeby wywracać te poglądy do góry nogami? Hiob jednak podchodził do Boga bardziej osobście i miłosiernie: Bóg wszechmocny, który zawraca sobie głowę robiąc pojedyncze rozrachunki, to jakiś mały Bóg. Bóg nie może być aż tak prosty. Doświadczenie wykazuje, że nawet Jego system sądenia nie jest zbyt sprawiedliwy, jeżeli to rzeczywistość jest system sądenia, skoro ludzie źli też są materialnie nagradzani. Oprócz problemu sprawiedliwości i nagrody, musi w

tym wszystkim gdzieś też się kryć problem dobra i zła. Gdyby Bóg tylko ukazał się i wytłumaczył to, gdyby usprawiedliwił swe postępowanie, a jeżeli to nie jest możliwe, znalazł jakiegoś pośrednika między myślą Boską i ludzką, i potrafił wyjaśnić Hiobowi ten swój fantastyczny i niezrozumiały majestat...

Kiedy spory się wreszcie skończyły i Bóg się w nie wmięszał, Hiob odzyskuje swój statut, znów ma siedmiu synów i trzy córki, a dóbr materialnych dwa razy tyle niż przed upadkiem. Co prawda w rozważaniu rozgromił swych przeciwników, ale pomimo to wygląda, że ludzie sprawiedliwi i cnotliwi ostatecznie otrzymują nagrodę materialną z rąk Boga. Tylko że teraz Hiob, który dotychczas był uważany przez otoczenie za grzesznika, okazuje się według opinii Boskiej człowiekiem cnotliwym. Pojęcie cnotliwości zmieniło się w międzyczasie. „Heretyk” wygrał.

Ale Hiob, poszukiwacz Boga, także otrzymał swoją odpowiedź. Głos z wichru powiedział mu: Kim, wyobrażasz sobie, że jesteś, Hiobie? Chcesz mnie poznać? Cóż chcesz o mnie wiedzieć? W jaki sposób świat stworzyłem? Powinieneś być ze mną, gdy go tworzyłem. Ale to było nie-

możliwe, bo jesteś tylko Hiobem. Chcesz znać moje tajemnice? Gdybym ci je ujawnił, sam byłbyś bogiem. Czy tego pragniesz? Czy może ty chcesz mnie czegoś nauczyć? Ta odpowiedź ujawniła Boga jeszcze większego i bardziej majestatycznego niżeli Bóg wyobraźni Hioba, a tym bardziej niż karykatura Boga według pojęcia jego znajomych.

Po tej odpowiedzi Hiob nie był wiele mądrzejszy. Poszukiwacz prawdy nie zdobył jakiejś dodatkowej mądrości. Ale Hiob został przekonany. Jego pojęcie Boga zostało potwierdzone. I więcej: jeżeli cierpienia Hioba nie były sprawiedliwą karą, nie były również zbyt wielką ceną za odkrycie, że Bóg to nie super-handlarz na wszechświatową skalę.

Hiob był bardzo bliski poszukiwanej odpowiedzi, gdy zwrócił się do znajomych ze słowami:

„Ma srebro początki żył swoich, i złoto ma miejsca, gdzie je przepławiają... A mądrość gdzie bywa znaleziona? i które jest miejsce rozumu?... Otchłań mówi: Nie masz jej we mnie, a morze powiada: Nie masz jej ze mną... Skądże tedy mądrość pochodzi?... Bóg rozumie drogę jej i On zna miejsce jej.” (Hiob 28, 1, 12, 14, 20, 23.)

J. R. Lambor

O. F. W. BEDNARSKI, O.P.

## SOCJOLOGIA RELIGIJNOŚCI: POBOŻNOŚĆ WŁOSKA

„Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo”... Złotliwe przysłowie nazwało włoskie nabożeństwo błazństwem. Źródłem tak surowego osądu włoskiej nabożności ze strony polskich turystów jest najczęściej powierzchowność obserwacji, niezrozumienie włoskiej psychiki i miernienie jej przejawów religijnych zachowaniem się ludu polskiego w naszych kościołach, zwykle wypełnionych w niedziele i święta na skutek nie tylko pobożności, ale także małej ilości tych kościołów i niewielkiej zazwyczaj ich pojemności. U nas świątynia jest pełna, gdy pomieści od 3 do 5 tys. ludzi, bazylika św. Piotra, czy św. Pawła, katedra mediolańska, czy bazylika św. Marka w Wenecji przy takiej ilości wiernych wionie pustką.

Turyści najczęściej oceniają religijność Włochów na podstawie zewnętrznych jej przejawów podczas specjalnych manifestacji religijnych w wielkich, zabytkowych bazylikach zwiedzanych stale przez rzesze przybyszów z całego świata, szczególnie Amerykanów, najczęściej protestanckich. Nic więc dziwnego, że większość praktykujących katolików we Włoszech swą modlitwę z Bogiem i udział w Najśw. Ofierze woli sprawować w tych kościołach, w których znajduje lepsze warunki do skupienia, niż w tych sławnych, ale pełnych kręcących się wszędzie turystów.

Do wielkich bazylik także przychodzą, ale raczej by zmanifestować swe przywiązanie do Kościoła i jego przedstawicieli podczas szczególnych uroczystości. Turyści wtedy bywają nieraz zgorzeleni ich zachowaniem, ich krzykiem „evviva!” czy oklaskiwaniem Papieża, gdy idąc za celebrazem w pokutnej procesji po ulicach Rzymu modli się w skupieniu, a lud, zamiast śpiewać z klerem litanie do Wszystkich Świętych, tylko mu przeszkadza w modlitwie swoim wiatowanem, nie umiejąc powstrzymać żywiołowości swego południowego tempera-

mentu oraz entuzjazmu. Nie można się tym gorszyć, tak jak nie gorszymy się faktem, że w zimie, gdy Polska spowita jest śniegami i lodem, w wiecznie zielonym Rzymie dzieci uganiają w zbyt krótkich spodenkach czy sukienkach. Oceniać włoską pobożność podług zachowania się tłumu w czasie zewnętrznych manifestacji religijnych lub gorszyć się pustką zabytkowych bazylik podczas rannych nabożeństw, tyle jest warte co mierzenie religijności Polaków lub Irlandczyków ilością butelek wypitej wódki czy awantur pijackich podczas świąt.

„De internis non iudicat praetor neque Ecclesia”. Pobożność jako sprawność doskonaląca człowieka w oddawaniu Bogu należnej mu czci, nie podlega obserwacji, a tym bardziej nie powinna być przedmiotem osądu na podstawie przygodnych i powierzchownych spostrzeżeń niektórych przejawów nabożności czyli zastosowania pobożności do uzewnętrznienia wewnętrznej czci dla Stwórcy.

Natomiast zewnętrzne przejawy nabożności, jako pewne fakty religijne, dostępne dla obserwacji, mogą wchodzić w zakres przedmiotu osobnej nauki, zwanej socjologią religijności, lub mniej ściśle socjologią religijną, bujnie rozwijającej się na Zachodzie, szczególnie w Ameryce. we Francji, w Belgii i we Włoszech.

Socjologia najogólniej, to nauka o społeczności i jej działaniu w świetle już to obserwacji (socjologia empiryczna), już to najogólniejszych zasad istnienia i działania (socjologia filozoficzna czy filozofia społeczna), już to w świetle Objawienia Bożego (socjologia teologiczna, nauka o Mistycznym Ciele Chrystusa).

Przez społeczność, zgodnie z definicją św. Tomasza, rozumiemy tu uporządkowany zespół ludzi związanych z sobą na całe życie potrzebą współdziałania dla dobra ogółu pod kierownictwem prawowitej władzy.



Gdy mowa o socjologii religijności mamy na myśli zwykle socjologię empiryczną, zastosowaną do badań faktów religijnych, a nie filozofię religii, czy tym bardziej ekleziologię lub teologię pastoralną. Socjologia religijności więc nie jest nauką normatywną jak etyka wychowawcza czy teologia moralna, nie poucza jak należy prowadzić pracę duszpasterską, ale bada fakty, wynikające z życia religijnego, opisuje je, zestawia, porównuje, klasyfikuje, wyprowadza z tych danych pewne czynniki stałe, które się w nich powtarzają i wreszcie ustala odsłaniające się w nich prawa naukowe. Nie traktuje rzeczywistości nadprzyrodzonej jako faktu naturalnego, ale bada zewnętrzne przejawy życia religijnego, dostępne dla obserwacji; nie kusi się więc o ujęcie istoty naszej religii ani tego co jest jej duszą, czyli nadprzyrodzonej miłości Boga i bliźniego w Bogu, wyrażającej się w stałej woli chrześcijanina, by spełniać wolę Boga, a tym samym dążyć do doskonałości zarówno własnej osoby jak i społeczności przez szukanie okazji, by w miarę możliwości czynić każdemu to co dla niego dobre, co go doskonali. Ta nadprzyrodzona miłość jest oczywiście wielkością niewymierną, podobnie jak i pobożność, której duszą jest również miłość.

Chociaż więc socjologia moralności i religijności nie potrafi zmierzyć natężenia miłości Boga i bliźniego w jakimś narodzie, może jednak i powinna badać jak ta miłość przejawia się w faktach, jak religijność wpływa na doskonalenie współżycia ludzi między sobą, na walkę z clerkiem i nędzą, na rozwój kultury zarówno moralnej jak i umysłowej, artystycznej, fizycznej, czy techniczno-gospodarczej, na rozbudowę szpitali, szkół, przedszkoli, na opiekę nad starcami, dziećmi, inwalidami, na opanowanie nalogów takich jak pijaństwo, nierząd, chuligaństwo, na spotęgowanie zdrowej i pogodnej radości itp. Zasięgiem swym obejmuje owa socjologia wszystkie zewnętrzne przejawy i rezultaty wielkiej świty teologicznych i moralnych sprawności, składających się na życie religijne tej społeczności, jaką jest Kościół: wiary, nadziei, miłości, roztroności, sprawiedliwości, męstwa, umiarkowania itd.

W praktyce socjologia religijności ogranicza się niestety do badania przejawów i owoców jednej tylko sprawności zwanej nabożnością, usprawniającą wierzących w oddawaniu Bogu należnej mu również zewnętrznej czci, a szczególnie udziału katolików we Mszy św. w niedziele i święta, spowiedzi i Komunii wielkanocnej, chrztu dzieci stosunku ślubów i pogrzebów kościelnych do cywilnych, uczestnictwa w katechizacji itp.

Wydawnictwo Katolickiego Uniwersytetu w Waszyngtonie ogłosiło drukiem wyniki badań z zakresu takiej właśnie socjologii religijności na terenie niektórych diecezji w Stanach Zjednoczonych: G.J.Schnepp, „Leakage from a Catholic Parish“; G.A.Kelly, „Catholics and the Practice of the Faith“. We Francji G. le Bras wydał „Introduction à l'histoire de la pratique religieuse en France“ oraz „Sociologie de la pratique religieuse dans les campagnes françaises“ (Presse Univ. de France); w Belgii — praca Claire Leplae, „Pratique religieuse et milieux sociaux“. We Włoszech pionierami tej młodej nauki byli: G. de Rossi, „Cio che possono dire i dati statistici di una parrocchia“ (S.Saba di Roma), „Vita e Pensiero 1914-15“; Canaletti-Gaudenti, „La statistica ad uso della Chiesa“ (Roma, 1938); S.Burgallassi, C.Carli, I.Azzali, M.A.Cenci, C. d'Agata, P.G.Grasso, G.Pagani, A.Rimoldi, T.Salvemini, a przede wszystkim A.Leoni w swych licznych dziełach i artykułach, np. „Sociologia e geografia religiosa di una Diocesi“ (Roma, 1952), „Sociologia religiosa e azione pastorale“ (Roma, 1955), oraz S.Acquaviva, który wydaje czasopismo „Sociologia religiosa“, zamieszczające sprawozdania z wyników badań socjologicznych w różnych włoskich diecezjach, sprawozdania z odbywających się międzynarodowych kongresów socjologii, artykuły metodologiczne i krytyczne. Patronuje tym wysiłkom o. A.Gemelli, rektor

Katolickiego Uniwersytetu w Mediolanie, oraz o. Dezza S.J., b. rektor Gregorianum w Rzymie. Ostatnio do pracy tej przystąpił Instytut Studiów Socjologicznych Międzynarodowego Uniwersytetu „Pro Deo“, którego rektorem jest o. F.Morlion O.P.

Wielką podniechęć do tego rodzaju badań stanowiły przemówienia Piusa XII 13.5.1951 do członków Istituto Centrale Italiano di Statistica“, do uczestników XXVIII Kongresu Międzynarodowego Instytutu Statystyki 12.10.1953, a także gorące słowa wypowiedziane do rzymskich proboszczów i wielkopostnych kaznodziejów 10.5.1955:

Potrzeba statystyki sporządzonej gruntownie, zgodnie z wymaganiami realizmu i z pogodną bezstronnością. Jest rzeczą pewną np., że wielu wiernych w Rzymie spełnia swój obowiązek uczestniczenia we Mszy św. w niedziele i święta, że kościoły również na niektórych przedmieściach są naprawde i raz po raz przepełnione. Czyż proboszcz może cieszyć się z tego? Bez wątpliwości. Ma do tego całkowite prawo. Ale zanim uzna, że w tym względzie wszystko jest w porządku, powinien obliczyć z dostateczną dokładnością liczbę tych, którzy powinni byli przyjść a nie przyszli. A wiadomo, że nie rzadko tego rodzaju dokładne obliczenie będzie przykrą niespodzianką dla kapłana troskliwego o los dusz.“ — Odnosząc konieczność tego rodzaju obliczeń także do katechizacji dzieci i dorosłych, oraz do spowiedzi wielkanocnej, tak kończy Papież: „Ustaliwszy liczbę, trzeba zbadać jej znaczenie przez odkrycie przyczyn oddalenia się jednych a nawrócenia drugich. Stwierdzenie zła nie jest jeszcze diagnozą, bez której nie można mówić o słusznej prognozie, a tym mniej o właściwym leczeniu“. — Czyż zachęta Ojca św. nie przypomina słów Chrystusa (Łk 14, 29): „Kto z was, jeśli chce zbudować wieżę, pierwaj nie usiadł i nie obliczył nakładów...“

Technika tego rodzaju badań socjograficznych jest w zasadzie bardzo prosta: trzeba wydrukować albo powielić przy pomocy matrycy lub dużej prostokątnej pieczęci, zamówionej u rytownika podług zleconego mu wzoru, odpowiednią ilość karteczek z należnym kwestionariuszem, wyjaśnić wiernym o co chodzi, rozdać kartki np. przy wejściu do kościoła, poprosić by ołówkiem lub lekkim naddarcielem zaznaczyli dotyczącą ich rubrykę i oddali karteczkę np. przy wyjściu z kościoła. A.Leoni zaleca karteczki z następującymi rubrykami:

7-14 lat	15-20 lat	21-40 lat	41-60 lat	ponad 60 lat
mężczyzna		Kościół Najśw. Serca		nieżonaty
		w Mantui		niezameżna
kobieta		Obecność na Mszy św..		żonaty
		o godz. 11.		zameżna
				wdowiec
				wdowa
				robotnik
				pracownik
				kupiec
				rolnik
				rzemieślnik
				fizyczny
				umysłowy
				student

Tego rodzaju badania objęły na razie niewielką ilość diecezji włoskich. Uogólnianie ich wyników na całe Włochy jest niedopuszczalne. Niemniej, na podstawie szeregu danych statystycznych dotyczących całej Italii mogą dać pewne ogólnikowe wyobrażenie o sytuacji religijnej w całym kraju, niezależnie od takich czy innych wahań w poszczególnych jego prowincjach, tym bardziej, że odnoszą się do miejscowości, nie cieszących się sławą wielkiej po-



bożności, jak Rzym, Mantua, Alessandria. Dalsze badania pozwolą z czasem na bardziej szczegółowe wnioski.

Ze statystyk wynika, że Italię zamieszkuje obecnie blisko 50 milionów ludności, skoro w r. 1956 kraj ten liczył 47.515.537 mieszkańców, a przyrost naturalny wynosi w nim 0,8% rocznie. Gęstość zaludnienia (157,7 na km) jest tu największa w Europie po Holandii, Belgii, Anglii i Niemczech. Na tych 50 prawie milionów Włochów niekatolików jest w teorii zaledwie około 200 tys. waldensów, żydów, metodystów itp. Natomiast duchowieństwo męskie i żeńskie (księża, bracia zakonnicy i zakonnice) tworzą tu armię liczącą 241.992 osób, w tym 47.117 księży diecezjalnych, 16.819 księży zakonnych, 16.819 kleryków diecezjalnych i zakonnych i 144.071 zakonnic.

Ponieważ jest rzeczą dowiedzioną, że powołania kapłańskie i zakonne najczęściej rekrutują się z rodzin głęboko wierzących i praktykujących, ta wielka liczba duchowieństwa dowodzi, że bardzo wielką część narodu włoskiego odznacza się dużą pobożnością.

W r. 1956 istniało we Włoszech 18 metropolii, 279 diecezji i 25.128 parafii, przy czym na 1 parafię przypada przeciętnie 1.890 osób, chociaż na terenie Włoch jest 2.739 parafii obejmujących mniej niż 250 osób, a 2.150 parafii liczących ponad 5 tys. dusz.

Kościółów w całej Italii, nie licząc kaplic, jest 64.080. Jeśli się weźmie pod uwagę, że obowiązanych do udziału we Mszy św. w niedzielę i święta jest około 80% ludności katolickiej (po odliczeniu dzieci do lat 7 oraz chorych) wypadnie, że przez kościoły włoskie przeciętnie w każdy dzień świąteczny powinno przesunąć się około 6 tys. wiernych. W rzeczywistości jednak w każdym mieście i w każdym osiedlu jest inaczej.

W Rzymie np. na prawie 2 miliony mieszkańców istnieje 455 kościołów oraz 102 kaplice publiczne i oratoria, czyli na 1 kościół około 3.200 osób przeciętnie, a że kościoły są przeważnie bardzo wielkie, nie dziwnego, że nawet przy obecności wszystkich obowiązkanych do Mszy św., kościoły rzymskie nie byłyby pełne, tym więcej, że w każdym kościele odprawia się Msze św. po kilka lub nawet kilkanaście razy w różnych godzinach przed południem i wieczorem. Badania Instytutu Studiów Socjologicznych przy Międzynarodowym Uniwersytecie „Pro Deo” wykazały, że w parafii Najśw. Serca w dzielnicy Castro Pretorio, a więc w śródmieściu Rzymu, na Mszy św. w niedzielę było przeciętnie 54% zamieszkałych na terenie tejże parafii dorosłych mężczyzn, 70% dorosłych kobiet, 59% chłopców w wieku od 6 do 16 lat, oraz 45% dziewcząt również w wieku od 6 do 16 lat, czyli ogólnie 63% spośród obowiązkanych spełnia swój obowiązek. Najwięcej ludzi uczęszcza na wieczorną Mszę św. o godz. 17.30, stosunkowo bardzo wielu na Mszę św. o godz. 12 i 12.30, z kolei Idzie Msza św. o 11 oraz o 10. Najmniej przychodzi na Mszę św. odprawianą wcześnie rano. Kolekta niedzielna w tymże kościele wynosi przeciętnie od 20 do 30 tys. lirów (30-50 dol.) Natomiast udział w nabożeństwie wieczornym jest bardzo niski: około 112 kobiet i 55 mężczyzn, mimo że parafia liczy 13.620 mieszkańców.

Gdy chodzi o małżeństwa na terenie Rzymu obserwuje się wielki spadek zawieranych ślubów: jeśli np. na terenie parafii Najśw. Serca w r. 1948 zawarto 152 związki małżeńskie, to w r. 1957 tylko 99. Fakt ten nie pozostaje w żadnym związku do braku mieszkań, bo w dzielnicy tej jedno mieszkanie przeciętnie wypada na 4 osoby, a jeden pokój na 1 osobę. Zresztą w całym Rzymie na 1 pokój wypada przeciętnie 1,32 osób, a tylko na Zatybrzu prawie 2 osoby na pokój.

Na 130 osób zmarłych spośród mieszkańców tejże parafii, 84 osób przed śmiercią przyjęło wszystkie Sakramenta, 3 tylko ostatnie Namaszczenie, a 16 żadnego. Jest rzeczą znamionną, że spośród dzieci przystępujących do I Komunii św. na terenie omawianej parafii, 3% miało tylko 7 lat, 5% — 8, 22% — 9, 27% — 10, 20% — 11, 12% — 12, 10% — 13, 2% — 14 lat.

Pewien rys moralności i religijności Rzymian przejawia się także w wielodzietności rodzin. Na 100 dzieci urodzonych w Rzymie przeszło 71 miało już jednego brata lub siostrę, 32,7% miało już dwoje rodzeństwa, 15% — troje rodzeństwa, 7% — czworo, 3,4% — pięcioro, a 2% — siedmioro braci lub siostr. Jak widać więc, rodziny wielodzietne w Rzymie nie należą do rzadkości.

Dodatkowo także świadczą o Rzymianach fakt, że przeżywanie ciąży jest tu na ogół rzadkim zjawiskiem, natomiast ilość dzieci nieślubnych na terenie całego Rzymu w latach od 1952 do 1954 sięga 5.227 na 86.089 czyli 6,1% w stosunku do ogółu dzieci urodzonych w tym czasie. Dowodem zaufania ludności rzymskiej do Kościoła jest ogromna ilość zakładów wychowawczych, przedszkoli, szkół, przytułków oraz innych instytucji dobroczynnych, założonych i prowadzonych przez zakony, a wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia, że wymienię dla przykładu przestronny, słoneczny i elegancki sierociniec św. Antoniego dla 350 dziewczynek, zorganizowany i prowadzony przez Rogazolinistki — (kongregację zakonną założoną przez sługę bożego Annibale Maria Di Francia, zmarłego w r. 1927) — albo sierociniec i zakłady salezjańskie, np. przy Via Tuscolana, gdzie 750 chłopców w wieku od 11 do 18 lat uczy się w prowadzonych przez Księży Salezjanów szkołach zawodowych, przechodząc równocześnie praktykę w ogromnych halach maszyn zbudowanych według najnowszych modeli, w drukarni, przy warsztatach stolarskich, krawieckich, introligatorskich itp. Na terenie całych Włoch Księży Salezjanie kształcą około 40 tys. uczniów w 50 szkołach zawodowych i 257 szkołach ogólnokształcących.

W ogóle na terenie Włoch znajduje się 16.625 domów zakonnych, w tym 13.845 żeńskich, ilość zaś prowadzonych przez nich zakładów wychowawczych wynosi 3.691, w tym dla dziewcząt 2.259. Liczba innych zakładów dobroczynnych prowadzonych przez zakony we Włoszech obejmuje 3.581 fundacji. Kościół katolicki we Włoszech pod swym bezpośrednim kierownictwem prowadzi 31% przedszkoli, przeszło 1% szkół podstawowych, skupiających 6% włoskich dzieci, 22,3% szkół dla młodzieży w wieku od 11 do 14 lat, skupiających 12% dzieci, 36,5% szkół na poziomie licealnym, kształcących 19,3% młodzieży powyżej 14 lat. Katolicki Uniwersytet w Mediolanie kształcił około 8.000 studentów, Międzynarodowy Uniwersytet „Pro Deo” w Rzymie około 1.500. Ta wielka stosunkowo liczba szkół katolickich jest świadectwem przywiązania narodu włoskiego do Kościoła, tym więcej że i szkoły państwowe, które w Italii stanowią 64%, są pod wpływem religii katolickiej.

Jeśli chodzi o zewnętrzne praktyki religijne poza Rzymem bardziej szczegółowe dane mamy o diecezjach: Rovigo, gdzie w r. 1956 prawie 74% katolików przystąpiło do spowiedzi i Komunii wielkanocnej; Alessandria, w której obowiązek ten spełniło tylko niewiele ponad 48%; Mantua, którą dokładnie zbadał Leoni, jako szczególnie typową dla stosunków włoskich. Z badań jego wynika, że 60% mieszkańców tej diecezji po 7 roku życia przystąpiło do Komunii wielkanocnej, a mianowicie 43% dorosłych mężczyzn, 38% starszej młodzieży męskiej, 71% kobiet dorosłych, około 50% starszej młodzieży żeńskiej oraz ogółu dzieci. Niestety, spośród klas społecznych najniższy odsetek w spełnianiu tego obowiązku wykazali robotnicy, bo tylko 35% przystąpiło do Komunii wielkanocnej.

Poza tym, jedynie 37% obowiązkanych do wysłuchania Mszy św. w niedzielę i święta spełnia tę powinność, a mianowicie 21% dorosłych mężczyzn, 42% dorosłych kobiet, 30% męskiej i 53% żeńskiej młodzieży w wieku od 15 do 21 lat, 43% chłopców i 54% dziewcząt w wieku od 7 do 14 lat. Inne obowiązki religijne diecezjanie spełniają lepiej: przynoszą do chrztu 94% dzieci w pierwszych tygodniach po ich urodzeniu; zaledwie 0,6% młodożeńców nie zawiera ślubu kościelnego (15 na 2.506); na 2.170 zmarłych w r. 1948 tylko 17 nie wyraziło przed śmiercią woli przyjęcia Sakramentów św.; na katechizację zapisało się 70% dzieci szkół podstawowych, ale faktycznie uczęszcza tylko 54% Do Komunii



sw. raz w tygodniu przystępuje 7% diecezjan, na nieszpory niedzielne uczęszcza 6%; 6,5% młodzieży pracuje w Akcji Katolickiej. Jest rzeczą znamionną, że w diecezji mantuańskiej aż 2,5% mężczyzn, urodzonych w latach 1906 do 1925, zostało wyswięconych na księży. W diecezji tej wypada 8 księży oraz 3 kleryków na 10,000 dusz.

Wymowa liczb posiada względną wartość, ale jest sygnałem alarmującym, gdy wyraża zbyt wysoki odsetek niepożądanych zjawisk lub gwałtowny, choćby niezbyt wysoki, ich wzrost. Badania z zakresu socjologii religijności są dla przedstawicieli Kościoła we Włoszech ostrzegawczym alarmem i podniektą do wzmożenia troski o większą czujność i rozwój ducha Chrystusowego.

Turystom zagranicznym wiele rzeczy we Włoszech się nie podoba, podobnie jak i samym mieszkańcom Italii. Ale tylko powierzchowna obserwacja nie dostrzeże silnego tętna życia religijnego pod powierzchnią antyklerykalizmu, odziedziczonego po XIX w. i może zbyt dzieclicęgo sposobu odnoszenia się do spraw religii, gdy się go ocenia wedle mentalności narodów północnych. Nie inaczej było i w Średniowieczu i za czasów Odrodzenia w kraju, który był ojczyzną Leona Wielkiego i Grzegorza Wielkiego, św. Tomasza z Akwinu i św. Franciszka z Asyżu. Fra Angelica i Dantego, Michała Anioła i Leonarda da Vinci, św. Piusa

V i św. Piusa X, św. Katarzyny Sienskiej i św. Marii Goretti, św. Jana Bosco i jego wychowanka św. Dominika Savio. Italia wydała ponad 800 świętych, których czcimy imieniem (100 razy więcej niż Polska) i ponad 30,000 świętych czczonych na ołtarzach zbiorowo. Zrodziła potężne nurtu życia duchowego, tętniącego z zakonów benedyktyńskich, franciszkańskich, salezjańskich i setek innych zgromadzeń zakonnych. Na wyżyny doskonałości wyniosła sztukę klasyczną, renesansową i barokową. Wydała więcej niż wszystkie inne narody razem wzięte Doktorów Kościoła, jeśli się nie liczy Ojców wschodnich. Dziś jeszcze, w ciągu jednego pokolenia, ma tylu znanych na całym świecie jurystów i teologów, więcej np. niż Polska w ciągu całego tysiąclecia. Fakt, że na katedrze św. Pawła najczęściej zasiadają Włosi, jest nie tyle następstwem takiego lub innego układu sił politycznych czy wyrachowań ludzkich, ile wykładnikiem potęgi wkładu Italii do chrześcijańskiej kultury religijno-moralnej, umysłowej i artystycznej, nurtującej w głębinach tego narodu. Był on dotychczas i chce być nadal pionierem i natchnieniem rozwoju katolicyzmu, podniektą dla innych narodów chrześcijańskich do wzmożonego współzawodnictwa o doskonałość w miłości Boga i bliźniego w Bogu.

O. Feliks W. Bednarski o.p.

EWA GIERATOWA

## Jabłko z rajskego drzewa

(Dialog)

— Jaki dziś temat przypada na nasz święty lunch? Coś pikantnego do piątkowych sandwiczów? Uwielbiam rewelacje!

— Jak na przykład?

— Że grzech pierworodny to nie sex. To było dla mnie wielkie odkrycie. Czy to tylko moja ignorancja, czy tak głupio mnie uczyli 20 lat temu?

— I jedno i drugie. Uczą formułek, źle tłumaczą treść. A nasza wielka wina, że na tym poprzestajemy. Zresztą sexu wszędzie dziś więcej niż u Freuda. Dla wielu osób samo pojęcie grzechu jest jednoznaczne z sexem, więc tak myślą i o grzechu pierworodnym. O ile w ogóle cokolwiek myślą.

— Już teraz wiem, że nie sex, a pycha. Nie o to chodzi, że Ewa nabrała niewinnego Adama na jabłko, tylko że byli Bogu nieposłuszni i zamiast przyjąć Jego porządek rzeczy, chcieli tworzyć swój. Ale czy dlatego cierpimy śmierć, ból, rozterki? Dlatego cała ludzkość tak strasznie się męczy przez tyle wieków? Obiecałaś wytłumaczyć.

— Wygodnicka! Nie łudź się, że w kwadrans zrozumiesz i przyjmiesz, łyżeczką do buzi. Nie obiecywałam niczego wytłumaczyć...

— ...Tylko pogadać o takich twoich rysunekczkach: poziomo, pionowo, punkt, kula...

— Dla odmiany ósemka, wedle mego przyjaciela Frank Sheeda. Wyższa pętla to świat duchowy, niższa — materialny, a na skrzyżowaniu — człowiek. Obie pętli tej kosmicznej ósemki i przecięcie ich właśnie w nas, to rzeczywistość. Nawet jeśli we wszechświecie znaleździemy inne duchowo-materialne stworzenia, nie zmieni się ta sytuacja. Choć nie jesteśmy, jak nam się często wydaje, centrum wokół którego świat się kręci, w pewnym sensie znajdujemy się w centrum, w ogromnie czułym punkcie, na skrzyżowaniu światła ducha i światła materii. Z oboma łączą nas niezliczone więzy: pilnują nas anioły dobra, kuszą nas anioły zła, gryzą nas komary a karmią nas krowy — i również poezja, muzyka, piękno zachodów słońca. Taka jest rzeczywistość. Ale my znacznie bardziej troszczymy się o mleko niż o błogosławieństwa i znacznie więcej uwagi poświęcamy dokuczliwości komarów niż szatanów.

— To prawda. Zaciekle badamy tajemnice i prawa przyrody, a nic nas nie obchodzi prawa i tajemnice duchowe.

— Psycholog może twierdziłby, że właśnie on się o nie troszczy. Ale masz rację. Poznawanie i stosowanie się do praw fizycznych — nie zapoznawanie ich czy przeciwstawianie się im — umożliwiał nam wysyłanie rakiet w przestrzeń. Użyteczność praw moralnych zaś ograniczamy do wycinka: własna higiena psychiczna i żośnie współżycie z bliźnimi. Powiedz komu, że pierwszym, zasadniczym i w gruncie rzeczy jedynym celem stworzenia jest wypełnianie woli Stwórcy, a zaraz zmieni temat rozmowy, jako że nawet z nieszkodliwym bzikim lepiej obchodzić się ostrożnie!

— Masz trochę racji. Ale dlaczego? Przecież mało kto z przekonaniem zaprzecza, że Bóg stworzył wszechświat: przyrodę martwą i żywą, człowieka...

— Ale również mało kto idzie dalej; gdybyśmy mogli to zbadać, okazałoby się pewno, że większość ludzi poprzestaje na takim obrazku: stworzył i śpi sobie spokojnie na chmurce, budząc się czasem, by groźnie karać lub miłostliwie nagradzać. A przecież wszystko stworzył z niczego, utrzymuje wszechświat w istnieniu, bez Jego woli czyli miłości kosmos razem z nami stałby się nicością. Ta wielka gra istnienia toczy się ciągle i bierzemy w niej udział. Nie jesteśmy tylko pionkami na szachownicy, ale raczej aktorami na scenie, a Bóg autorem i reżyserem sztuki i budowniczym teatru.

— Wszystko obmyślił, puścił w ruch i jest ciągle źródłem energii.

— Prawa rządzące światem są wynikiem Boskiej wiedzy. Prawo fizyczne, to recepta, wedle której stworzenie musi działać i wypełniać swoją rolę, np. z żoędzia rośnie dąb, kwas i zasada dają sól i wodę itd. Prawo moralne, to recepta Boga, wedle której istoty rozumne powinny działać, by osiągnąć przeznaczoną sobie chwałę, odegrać sobie właściwą rolę.

— Różnica jest ta, że prawu fizycznemu musimy podlegać, a w dziedzinie moralnej możemy wybierać.

— Tak, ale wydaje nam się, że wybór nasz dalej sięga. Uważamy, że kładąc rękę w ogień nie można uniknąć po-



parzenia, a popełniając krzywoprzysięstwo można dzięki temu wymigać się od grzywny czy więzienia. Nie rozumiemy krzywdy, jaką wyrządzamy sobie i ludzkości. Gdybyśmy byli z azbestu, ogień nie szkodziłby nam. Ale że jest jak jest, krzywoprzysięstwo czyni nam szkodę na duchu, tak jak ogień na ciele i nie ma na to rady. Warto dodać, że ogień sam w sobie bynajmniej nie jest zły; fakt, że pali, jest dla nas i korzystny i katastrofalny. Tym niemniej prawo pozostaje prawem, kto się z nim nie liczy, ten się poparzy.

— Ale dlaczego nieposłuszeństwo Bogu i pójście za swoimi widzisz jest taką zbrodnią? Adamowi i Ewie chodziło przecież o drobniak.

— Wcale nie. Obojętne czy traktujesz jabłko dosłownie czy w przenośni, chodzi o nieuznawanie nadrzędności Boga, a to jest zasadnicza sprawa. Po prostu fundament rzeczywistości. Nawet z drzewa życia wolno człowiekowi jeść owoce, zresztą św. Tomasz wspomina, zdaje się, o możliwości wyprodukowania żywej substancji z martwej. Jednak żadne przetwarzanie materii i energii nie zmienia faktu, że tylko Bóg stwarza z niczego, i wszechświat i każdą ludzką duszę, i tylko Stwórca jest władcą i prawodawcą. Drzewo wiadomości złego i dobrego jest człowiekowi nie tyle zakazane, ile niedostępne, nigdy bowiem Bogu nie dorównamy. Człowiek ma pozostać na swym ludzkim miejscu i słuchać Boskich praw, a nie usiłować tworzyć własny porządek rzeczy, skoro nie stworzył sam tych rzeczy.

— Ale przecież człowiek ma wolną wolę. Czy to nie znaczy, że może wybierać co chce?

— Z naszego punktu widzenia tak, ale obiektywnie, że się tak wyrażę: z kosmicznego punktu widzenia, nie. Człowiek może zgodzić się z wolą Boga, albo wolę Jego odrzucić, nie ma trzeciej możliwości.

— Któż tak rozumuje? Czy zdajemy sobie sprawę, że to tak wygląda?

— Na ogół nie. W cywilizowanym świecie zdolność pojmowania rzeczywistości uległa atrofii. Bóg-Stwórca, któremu stworzenie podlega z natury rzeczy, nie jest brany w rachubę. Człowiek „naturalny”, wyrosły z ziemi, łatwiej pojmuje wiele spraw, których my, lekko otarci o naukę, techniczni i miejscy, musimy się dopracować, domodlić. Niewrażliwość na rzeczy boskie jest też jednym ze skutków grzechu pierworodnego.

— Włęcz co się stało, gdy Adam zgrzeszył?

— Zniweczył porządek. Przesunął się z zajmowanego miejsca w hierarchii stworzenia i tym samym punkt przecięcia kosmicznej ósemki zachwiał się, została naruszona równowaga wszystkich wzajemnych stosunków. Nie tylko ludzkość, ale cała przyroda cierpi, może dlatego, byśmy kiedyś wreszcie zrozumieli czym jest odrzucenie miłości Boga i koncentrowanie się wyłącznie na sobie, na poziomie tylko ludzkim. Zadziwił nas, że upadek Adama pociągnął za sobą tak wielki nieład. Świat materialny jest tak ściśle powiązany i zrównoważony (nauka wykazuje to coraz dobitniej), że każda przyczyna wywołuje bardzo daleko idące skutki. Los człowieka, uczynionego z mułu ziemi, wpływa na los ziemi, do której człowiek w całej pełni należy. Przyzwyczajaliśmy się dość naiwnie uważać, że tylko materialne przyczyny mogą wpływać na materię. Lecz jest ona dziełem Ducha, pod Jego władaniem i przez Niego utrzymywana w istnieniu. I cokolwiek dzieje się w świecie duchowym, ma wpływ na świat materialny, bo pętle kosmicznej ósemki są połączone — właśnie w człowieku. Niezależnie od bezpośredniego działania ducha na materię, czyn człowieka — perwersja jego woli, ciemność jego umysłu — może spowodować niesłychane zakłócenia w równowadze światła materialnego i oby nie było nam dane przekonać się o tym na znacznie większą niż obecna skalę.

— Z tą radioaktywnością, atomami, raketami, brrr...

— Właśnie. Nie wiemy dokładnie jaki był skutek grzechu Adama dla całej przyrody, ale bunt człowieka prze-

ciw prawu wszechświata wprowadził dysonans do uprzedniej harmonii, co może stanowić jeden z dowodów, jak dalece wolna jest nasza wola, jak wiele od nas zależy.

— Już zaczynałam wątpić w tę wolną wolę.

— To niełatwa sprawa. Wolność naszej woli i wszechmoc Boga, którą niejako ograniczamy, Jego łaska, nasz grzech — ile atramentu i krwi wchłonęły te skomplikowane sprawy!

— Dawne czasy. Teraz wydaje nam się, że jesteśmy niezależni.

— Od czego? „Nie chcę od nikogo zależeć“, to wykrzyknik równie dziecinny jak „nie chcę aby istniała siła przyciągania“. Rzucaj się włęcz z szóstego piętra, bo to prędzej niż schodzik po schodach.

— Choc sami nie potrafimy się unosić, łudzimy się dzisiaj, że pomoże nam technika, że jest jakaś winda.

— Jest, ale napędem tej windy jest łaska, a nie żadne elektrony. Może chęć wznoszenia się, to atawizm? Wygrzebują się wspomnienia tak zwanej zbiorowej psychy ludzkości? I jej wielkie, pasjonujące marzenia? Przeszłość i przyszłość?

— Naprawdę?

— Nie wiem czy naprawdę. Tak mi się przedstawia tytuł książki Simone Weil „Ciężkość i Łaska“. A raj wyobrażam sobie jak kulę, wewnątrz której Adam porusza się z największą swobodą we wszystkich kierunkach, podobnie jak pod wodą, nie prawie nie wążąc. Nie jest mu ani łatwiej ani przyjemniej pęłzać po płaskości niż wznosić się, niż szybować. Nic go nie ciągnie w dół. Obcowanie z Bogiem, Jego obecność, jest dla umysłu i woli czymś jak oddychanie dla ciała. Trzeba by gwałt sobie zadać, by się odgrodzić, by z Bogiem nie współżyć. Jak pszczoła bez studiowania mapy odwiedza kwiaty i wraca do ula, tak Adam wykorzystuje przychylną sobie przyrodę, wedle potrzeb i wskazówek ducha kieruje bezbłędnie swym doskonałym ciałem i rozmawia z Bogiem — choć to naiwnie brzmi — ale rzeczywiście jak małe dziecko z ojcem na niedzielnym spacerze.

— Życie nie umierać!

— To właśnie było mu przeznaczone.

— Włęcz dlaczego się zmieniło? Czemu przerwał ten błogostan?

— Ten błogostan nie był ostatecznym przeznaczeniem człowieka. Czekają go coś więcej.

— Mnie by tam wystarczyło!

— O właśnie! Tę cię czekała, typowa wypowiedź! Sęk w tym, że nikt się ciebie ani mnie nie pyta. Nie ty stworzyłeś świat i nie po twojemu się on kręci.

— A co jest przeznaczeniem człowieka?

— Wizja uszczęśliwiająca, czyli oglądanie Boga twarzą w twarz. Cokolwiek to znaczy — a dokładnie wiedzieć na ziemi nie możemy — przeznaczeniem naszym jest głębsze, ściślejsze, bezpośredniejsze obcowanie z Bogiem niż potrafimy pojąć. Konieczna jest do tego łaska, czyli życie nadprzyrodzone, którym Bóg nas obdarowuje. Ale łaska to wielki temat sam w sobie, dziś nie zdążymy... I tak musieliśmy ciągle odbiegać od głównego tematu bo to wszystko tak się łączy i ząbaja. W każdym razie chodzi o to, że ludzkie przeznaczenie jest bardziej fascynujące, perspektywy bardziej zawrotne, niż rajski błogostan. Próba Adama polegała właśnie na tym, aby zechciał wybrać, przyjąć tę potencjalną możliwość wyższych osiągnięć.

— I nie można ustosunkować się jakoś neutralnie? Zrezygnować z tych nadzwyczajnych możliwości, osiągnąć jakąś naturalną szczęśliwość, jakiej podobno zażywają niechrzczone niemowlęta w otchłani?

— Nie, dla rozumnego człowieka nie ma żadnego takiego „dajcie mi święty spokój“. Pies nie może zejść do „klasy“ minerałów i człowiek musi pozostać w „klasie“ człowieczej.

— Czyli Adam sprzeniewierzył się wspaniałości człowieczego powołania?



— Tak. Nie przeszedł próby, odrzucił swe powołanie. Stracił wówczas „krągłość“ swego bytu, jego wielokierunkowość, a pozostała mu płaskość, przyziemność. Zdawało mu się, że sam wszystko potrafi, że wyzwala się od jakiegos niezrozumiałego ograniczenia, że Bóg nie jest nadrzędny, pomoc Jego i posłuszeństwo Mu zbędne. Zresztą biblijny szatan, jakże realistycznie szepcze z gorzką drwiną własne niespełnione marzenie: „Staniecie się jako bogowie.“

— Tak samo wydaje nam się dzisiaj, zadufanym w tak zwanym „postępie“.

— Ciągłe się ta historia powtarza, w każdym życiu i w każdej epoce. Adam, odrzuciwszy Boską harmonię, pozabawił się sił wznoszących, przeciwdziałających ciężkości. Zamiast unosić się swobodnie w tej czarodziejskiej kuli, oto leży bezwładnie na sypkim płasku wąskiej grobli, na skrzyżowaniu kosmicznej ósemki. Żył prawdziwie, lekko, swobodnie, całą pełnią — teraz może tylko z trudem pełzać.

— Włec grzesząc, właściwie ograniczamy się, a wydaje nam się, że się wyzwalamy?

— Grzech, to usiłowanie zyskania czegoś przeciw woli Boga. Gdybyśmy potrafili spojrzeć na grzech obiektywnie i zupełnie „z zewnątrz“, ujrzelibyśmy cały kryjący się w w nim nonsens: stworzeni przez Boga z niczego, usługujemy nieporadnie buntować się przeciwko Jego woli utrzymującej nas w istnieniu. Właśnie dlatego, że bez Boga jest tylko nicosis i że w oderwaniu od Niego bylibyśmy niczem — znaczy NIE bylibyśmy, nie byłoby nas w ogóle — pycha jest najcięższym z grzechów, jest bezpośrednim przeciwstawieniem siebie Bogu. Pycha jest grzechem w całej nagości, wszystkie inne są nieco zakamuflowane i przybrane, są dążeniem do zyskania czegoś przeciw woli Boga, podczas gdy pycha to chęć aby być czymś niezależnie od woli Boga. „Staniecie się jako bogowie!“

— Nie wszystko dobrze rozumiem. Ale obecność zła na świecie jest chyba bezsporna, obojętne od czego się zaczęło. Po drugie, godzę się bez wahania, że jeśli Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, nie mógł przecież stworzyć go w ten sposób, coś się musiało stać. Zresztą opowieść o jakimś kataklizmie i utraconej szczęśliwości spotyka się u wielu prymitywnych ludów w różnych punktach globu; skądś się to musiało wziąć. Myślę, że albo trzeba przyjąć szatana i grzech pierworodny, który objawia się naszą skłonnością ku złemu, albo... co?

— Nie wiem. Chyba po prostu przyjąć, że brak wytlumaczenia? I pocieszać się, że choć na razie jest źle, ale dalsza ewolucja...

— Eee... Czy to pomoże mi żyć? Że za tysiąc lat będzie lepiej? Zresztą odkąd znamy historię, natura ludzka nie zmieniała się. Włec co wynikało z zerwania tego fatalnego jabłka?

— Bóg powiedział Adamowi, że zjedzenie zakazanego owocu, czyli sprzeciwienie się Boskiemu prawu, pociągnie za sobą śmierć. Adam posiadał życie naturalne i nadprzyrodzone i śmierć dotyczyła obu. Kluczem każdego życia jest miłość, a więc, skierowując swą wolę przeciw Bożej, Adam zniweczył miłość. Stracił łaskę i towarzyszące jej cnoty i dary. Modlitwa, w sensie skierowania całego życia ku Bogu i w węższym sensie rozmowy z Bogiem, przestała być jego największą przyjemnością i wypełnieniem życia. Jakże wielu ludzi serio uważa, że „nie warto iść do nieba, bo tam nudno“! Zerwawszy właściwy stosunek z Bogiem, stracił harmonię między duszą a ciałem, oraz między poszczególnymi władzami duchowymi. Z chwilą gdy Bóg przestał być ich jedynym nadrzędnym celem, każda z władz człowieka kieruje się we własną stronę. Adam musiał włec walczyć z ciągłym wahaniem i zmiennością. Przede wszystkim, jak wiemy aż za dobrze, wyobraźnia i żądze wymykały mu się spod kontroli.

— To są skutki upadku Adama dla każdego z nas?

— Tak. Nasze życie przyrodzone ma pęknięcia i rysy,

oraz skazane jest nieodwołalnie na wielki przełom śmierci. Po drugie, rodzimy się bez łaski uświęcającej, bez życia nadprzyrodzonego. Różnica między materią żywą a martwą jest znacznie mniejsza niż między posiadaniem łaski a jej brakiem.

— Tutaj mogę wierzyć ci tylko na słowo.

— Nie tylko w tej sprawie, innych też nie pojmujemy dostatecznie głęboko. Otóż najważniejszym skutkiem upadku, obok utraty życia nadprzyrodzonego i dysharmonii w życiu naturalnym, było zerwanie związku między ludzkością i Bogiem. Nie poświęcamy temu zwykle żadnej uwagi, bo nie pojmujemy rodzaju ludzkiego jako całości, ogarniamy uczuciowo grupy jak rodzina, naród, w najlepszym razie ludzi nam współczesnych. Ludzkość, wszystkie jej pokolenia od Adama do Sądu Ostatecznego, nie budzi w nas oddźwięku.

— To prawda. Nie czuję żadnej wspólnoty z Hammurabim. Ani nawet z dzisiejszym Murzynem czy Australijczykiem.

— Nie tylko nie umiemy kochać tak ogólnie pojętej ludzkości, ale po prostu sobie tej całości nie uświadamiamy. Ten sposób myślenia wpływa m.in. i na to, że dla wielu osób nie do przyjęcia jest próba całego rodzaju ludzkiego w osobie Adama, choć nie protestują przeciw wspólnocie rodzaju ludzkiego w odniesieniu do Odkupienia ani do doktryny o świętych obcowaniu.

— Mnie pierwszej wcale się nie podoba, że Adam za mnie zdawał egzamin. Ale rzeczywiście nie przyszło mi do głowy, że przez przekreślenie ludzkiej wspólnoty uniemożliwiliby się Wcelenie i Odkupienie. A odrzucenie świętych obcowania stanowiłoby wielką wyrwę, zubożyłoby ogromnie możność współżycia z bliźnimi.

— Na szczęście wspólnota ludzkości jest rzeczywista. Dla Boga, Stwórcy wszystkich ludzi, wszyscy jesteśmy jednakowo bliscy i jednakowo obecni. Dla Boga ludzkość istnieje poza czasem i przestrzenią, a żadna ilość nie jest dla Niego zbyt wielka. Adam, głowa rodzaju ludzkiego, otrzymał dary przeznaczone dla ludzkości. Gdyby je zachował, każdy człowiek otrzymywałby je przez sam fakt należenia do rodzaju ludzkiego. Ludzkość w osobie Adama poddana została próbie. Adam mógł wypowiedzieć się za przyjęciem Boskiego porządku rzeczy i towarzyszących mu darów, albo usiłować tworzyć własny ład. Upadek Adama jest upadkiem wszystkich jego potomków. Dzielimy więc wszyscy ludzki los, wszechświat nie przyjmuje bezapelacyjnie człowieka za pana i władcę. Największy zdobywca i genusz glinie od najmniejszego mikroba, przyrędcę musimy mozolnie opanowywać wiedzą i siłą. Po potopie Bóg mówi do mieszkańców arki: „Strach wasz i bojaźń wasza będzie nad wszelkim zwierzęciem ziemi“.

— Tak, to brzmi bardziej niepokojąco niż „czyńcie sobie ziemię poddaną“. Ale dlaczego, oprócz tych wszystkich trudów, rodzimy się bez łaski? Nie jest przecież dziedziczna, jak ludzkie cechy?

— Masz rację. Jest każdorazowo darem Boga. Towarzyszyłaby jednak naturze, którą Adam przekazałby swym potomkom, gdyby był wybrał posłuszeństwo Bogu.

— Skąd ty właściwie to wszystko wiesz? I czy naprawdę możesz przyjąć?

— Wiem głównie z ksiąg. Poza tym... trudno mi wyrazić: wydaje mi się, że coraz więcej wiem jakoś z samego przeżywania Czasu, jeśli dogrzebuje się do jego sedna, a nie tylko biernie pozwalam jak płynąć. Gdy przez trzy dni u Benedyktyniek słucham jak trawa rośnie i jak one śpiewają w nocy Jutrznie, o świcie Laudes, potem Prymę, Tercję, Sextę i Nonę, wieczorne Nieszpory, i wreszcie Kompletę w ciemnej kaplicy, gdzie płomyki świec grają na drewnianym krzyżu — mam wrażenie, że jest to włeczenie się w strumień światła, dzięki któremu to co się potem czyta staje się nie tylko jasne, ale i moje własne. A czy mo-



gę przyjąć? Nie od razu i nie w oderwaniu od całości: Bóg, człowiek, ludzkość, Chrystus. Gdybyśmy lepiej umieli rozróżnić między osobą i naturą w sobie, lepiej uchwycić związek między wszystkimi osobnikami posiadającymi taką samą naturę, zrozumielibyśmy głębiej, że chociaż nie jest to mój grzech osobisty w sensie kim jestem, jest mój w sensie czym jestem. Ponoszę konsekwencje przynależności do rodzaju ludzkiego. Pierwszą reakcją, o ile w ogóle zastanawiamy się nad tym, jest jakby oburzenie, że Bóg tak nas traktuje, że to nie jest „fair play“.

— Właśnie. Tak mi się wydaje. Ty oczywiście powiesz, że stawiam się z Bogiem na równi i omal że chciałabym dawać Mu dobre rady co do rządzenia światem.

— Oczywiście. Nie mamy żadnego prawa do łaski, życie nadprzyrodzone nie należy nam się, jest darem, który Bóg może nam dać albo nie i zawsze na swoich warunkach. Ludzkość Jego warunków nie przyjęła, tym samym dar odrzuciła. Każdy z nas, jakże lekkomyślnie, albo raczej bezzwrotnie ciągle to samo powtarza. Co do życia naturalnego zaś, otrzymaliśmy je od Adama; cóż zrobić, że nie miał in-

nej natury niż skażoną i taką po nim odziedziczyliśmy. Niczym nie zasłużyliśmy sobie na otrzymanie ludzkiej natury, nawet skażonej. Nie możemy powiedzieć, że należało nam się coś lepszego, bo w ogóle nic nam się od Boga nie należało i nie należy. A że z upadkiem Adama jesteśmy związani, to dlatego, że ludzkość jest organiczną całością, że wszyscy uczestniczymy we wszystkich zasługach i ponosimy konsekwencję wszystkich win wszystkich ludzi. To w gruncie rzeczy jest coś cudownego, a dzięki Chrystusowi mamy wspaniałe możliwości.

— Też kosmiczne? Opowiesz?

— Może kiedyś. O kosmicznej czarności, która zmienia się w białą...

— Jakim sposobem?

— Jak zawsze i jak wszystko i w jedyny sposób: „Przez Chrystusa Pana naszego“.

— Amen. Wracamy za biurko stukać w maszynę.

— A myślimy o jabłku!

Ewa Gieratowa

KS. LEON PLATER

## Z nowej Zelandii do Niderlandów

Takie już mam szczęście, że obejmując jakąkolwiek placówkę muszę zawsze mozolnie przełamywać trudności i tworzyć sobie nowe warunki pracy. Tak było przed wojną we lwowskim korpusie kadetów, internacie dla pięciuset chłopców. Nie zastałem tam właściwie kaplicy, a tylko ołtarz schowany za kotarą na scenie wielkiej auli. Trzeba było zwalczyć różne uprzedzenia, zainteresować rodziców, uzyskać zgodę władz wojskowych i znaleźć odpowiednie fundusze, by móc zabrać się do budowy kaplicy. Trwało to kilka lat i w końcu zostawiłem, bolszewikom niestety, wygodną, miłą, przytulną, bogato wyposażoną kaplicę. — Będąc podczas wojny czas pewien delegatem P.C.K. i ministerstwa opieki społecznej w Hiszpanii, zastałem delegaturę uzależnioną od poselstwa i pustki w kasie. Kosztowało dużo zachodu i niemało przykrości zanim zdołałem uniezależnić delegaturę od poselstwa a opuszczając Hiszpanię zostawiłem następcy w gotówce przeszło milion pesetów. — Gdy po wojnie przybyłem do Nowej Zelandii, nie zastałem już tam polskiego księdza, który opuścił kraj przed moim przybyciem. Trzeba więc było samemu wgrzać się w nowe otoczenie i w nowe warunki pracy na zupełnie obcym gruncie, bez pomocy nikąd a wśród wielu nieprzychylnych ludzi, najprzód w obozie, potem w Wellingtonie, nie mając tam nawet początkowo gdzie mieszkać, korzystając z łaski ogrodnika Urszulanek. Z czasem jednak powstał rektorat Polskiej Misji Katolickiej, a opuszczając pół roku temu kraj, zostawiłem następcy dom z kapliczką, mieszkaniem i biurem oraz suto w gotówkę wyposażoną kasę kościelną.

Powróciłem do Europy po jedenastu latach pobytu na drugiej półkuli i otrzymałem nominację na rektora P.M.K. w Holandii. — Holandia, kraj łudny, bogaty świetnie zagospodarowany, uporządkowany. Myślałem, że i rektorat P.M.K. będzie przynajmniej uporządkowany i o wiele lepiej zorganizowany niż gdzieś tam na antypodach. Jakież było moje

zdumienie i głębokie rozczarowanie, gdy faktycznie nie zastałem nic. Było wprawdzie w ciągu kilkunastu lat dwóch rektorów w Holandii, ale rektoratu w prawdziwym tego słowa znaczeniu nie było, a przynajmniej ślad po nim zaginął. Przybyłem mniej więcej w dwa miesiące po śmierci ostatniego rektora, a muszę wszystko niemal że zaczynać od nowa. Początkowo nie miałem nawet gdzie mieszkać, jak kiedyś w N.Z., nie znalazłem żadnych prawie aktów ani korespondencji, nawet maszyny do pisania, nie mówiąc oczywiście o kasie P.M.K., która nie świeciła pustkami dlatego tylko, że jej w ogóle nigdy nie było.

Co się zaś tyczy holenderskich władz kościelnych, to przedstawiciel Kurii jednej z diecezji powiedział mi bez ogródek, że jestem tu niepotrzebny, że wystarczy już teraz, by ksiądz polski parę razy do roku z innych rejonów dojeżdżał, że nabożeństwa polskie dezorganizują życie parafialne odcinając wiernych od nabożeństw holenderskich, że więc powinienem wracać skąd przybyłem i t.p., słowem głosił prawie to samo, co lat temu jedenaście mówiono mi w Nowej Zelandii, ale tam przynajmniej zachowaną pozory i podawano to w uprzejmiejszej formie. Nie usłuchałem oczywiście tych przyjacielskich rad, pozostałem i jakoś sprawy zaczynają się pomyślnie układać.

Ale co za różnica w organizacji pracy duszpasterskiej między Nową Zelandią a tą częścią Holandii, gdzie rezyduje i bezpośrednio stykam się z Polakami, tj. południową Limburgią. Weźmy choćby odcinek nabożeństw. W Wellingtonie dążyłem stopniowo do coraz większego scentralizowania nabożeństw i pod koniec miałem Mszę św. w jednym tylko miejscu, o stałej godzinie, na którą zjeżdżali się Polacy z odległości kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu mil. Ilość ich wahała się od 300 w zwykłe niedziele do 400 lub 500, a nawet więcej w wielkie święta, przy czym w Boże Narodzenie i Wielkanoc przyjeżdżali ludzie z najdalszych zakątków kraju, z miejscowości odległych o kilkaset mil. Tutaj zaś zastałem całko-

witą decentralizację do tego stopnia posuniętą, że na małym obszarze południowej Limburgii, w promieniu kilkunastu kilometrów zaledwie, było aż osiem punktów mszalnych. Jeżdżę na razie po dawnemu od jednej kapliczki do drugiej, a ilość obecnych na Mszy św. waha się od dwudziestu do pięćdziesięciu zaledwie osób. Gdy Msza św. jest, powiedzmy, w miejscu X, to Polacy zamieszkali o pięć kilometrów dalej, w miejscowości Y, nie pójdą tam, pomimo świetnych dróg, licznych autobusów, samochodów, motocykli i rowerów, tak przywykli już do tego, że Msza św. musi być u nich odprawiona, a może tak już zobojętnieli, że nie odczuwają potrzeby kazania, śpiewu, spowiedzi po polsku. W Nowej Zelandii mieszka pewien starszy już człowiek, który co niedzielę robi na rowerze lub koleją, a częściowo nawet pieszo, szesnaście mil, ażeby być na nabożeństwo polskim, a organista mieszka o osiemnaście mil od kościoła. O ile w innych rejonach duszpasterskich Holandii decentralizacja jest jeszcze konieczna z powodu większych odległości i szerszego rozrzucaenia skupisk polskich, oraz wobec faktu, że mieszka tam stosunkowo młoda emigracja sprzed kilkunastu lat, to w Limburgii, gdzie znajduje się przeważnie stara emigracja, przybyła tu czterdzieści lat temu, i przy tak małych odległościach, decentralizacja doprowadzona została niemal że do absurdu.

Mam zamiar przed zimą doprowadzić do tego, by był tylko jeden centralny punkt mszalny, dokąd łatwo będzie każdemu dojechać, daleko łatwiej niż Polakom w Nowej Zelandii z dalekich przedmieść do Wellingtonu. Kto zechce, ten przybędzie, kogo zaś nabożeństwa polskie już nie pociągają, kto nie czuje potrzeby spowiedzi w języku ojczystym, niech idzie do swego parafialnego kościoła, proboszczowie może przestaną się skarżyć, że im się wiernych odcinają.

Ale pomimo tych zmian, które może uda się przeprowadzić, będę nadal rektorem bez rektoratu, domu dla polskiej misji katolickiej nie kupię, funduszu ko-



ścielnego nie założę, dokumentów przedpadłych nie odnajdę. Przekroczywszy już od paru lat sześćdziesiątkę nie mam ani zdrowia ani sił, by wszystko znów tworzyć „ab ovo“. Co się zaś tyczy własnej kaplicy polskiej, to, kto wie, może Bóg pozwoli, że uda się ją zdobyć.

I tak porównyując organizację pracy duszpasterskiej w Nowej Zelandii z tym, com w Limburgii zastał, stwierdzić muszę, że w tym egzotycznym kraju praca była mniej chaotyczna, lepiej uporządkowana niż tutaj, a powinno być raczej odwrotnie.

Zadaniem naczelnym księdza polskiego na uchodźstwie jest utrzymanie katolicyzmu wśród rzesz emigrantów i — proszą się nie zgorzyć tym, co teraz powiem — ułatwienie im stopniowego dostosowania się do miejscowych warunków życia religijnego w tym celu, by w wypadku, gdyby duszpasterza polskiego nie stało, Polak nie czuł się opuszczony, a mógł z łatwością brać udział w miejscowym życiu parafialnym, widzieć w swym proboszczu własnego duszpasterza. Wpajanie przekonania, że uchodźca polski musi uczęszczać na nabożeństwa polskie, musi spowiadać się tylko po polsku, i t.p., jest niebezpieczne i może być kiedyś, gdyby księża polskich nie stało, powodem zarzucenia przez niejednego praktyk religijnych. — Jest rzeczą jasną, że przez to samo, że ksiądz utrzymuje ducha katolickiego kazaniem, spowiedzią w języku polskim i t.p., przyczynia się on do utrzymania polskości ale utrzymanie polskości nie jest jego głównym, a tylko pochodnym, ściśle wprawdzie z naczelnym powiązanym celem.

Utrzymywanie ducha polskiego wśród rzesz uchodźczych jest zadaniem naczelnym organizacji świeckich. Między księdzem a czynnikami świeckimi winna istnieć oczywiście współpraca, ale też i podział pracy, tam bowiem, gdzie nie ma rozdziału kompetencji, wkrada się chaos. Gdy ksiądz (szczególnie tam, gdzie brak

drugiego, młodego księdza do pomocy, a tak jest najczęściej) zajmuje się wszystkim, odprawia nabożeństwa, organizuje akademie, przedstawienia i wycieczki, uczy języka polskiego, prowadzi chór i t.p., gdy występuje w kościele, na scenie i poza sceną, nie zdoła nigdy ogarnąć wszystkiego i sprawy kuleją, a, co gorsza, nie dając świeckim pola do popisu, hamuje kształtowanie się kadr pracowników społecznych. Dajmy świeckim możliwość wyżycia się w pracy organizacyjno-społecznej.

Metody pracy i rola księdza będą oczywiście różne, zależnie od jego uzdolnień, wieku i zdrowia, a szczególnie od kraju, w którym pracuje. W Nowej Zelandii, kraju o większości protestanckiej, gdzie wynarodowienie się może łatwo iść w parze z utratą wiary, należy kłaść nacisk na przestrzeganie tradycji polskich i zachowanie kultury narodowej, zainteresować młodzież historią ojczystą, skarbnicami naszej literatury i t.p. W Limburgii natomiast, kraju całkowicie niemal katolickim, stopniowe zatracanie polskości nie idzie w parze z utratą katolicyzmu. Świeccy, skądinąd nawet dobrzy katolicy, używają świadomie lub nieświadomie religii jako środka do utrzymania polskości. Jest to powszechny objaw na emigracji; dlaczegoż by nam, księżom, nie wolno było używać polskości jako środka do utrzymania religijności, tam gdzie jest to konieczne?

Inne zresztą są warunki pracy i możliwości do osiągnięcia w naszych wielkich skupiskach emigracyjnych we Francji lub Wielkiej Brytanii, gdzie dzięki istniejącym parafiom polskim, szkołom, prasie, licznym bardzo organizacjom, zespołom teatralnym, klubom sportowym — polskość może daleko łatwiej przetrwać, a nawet na inne ośrodki promieniować, a inne w takiej np. Holandii, gdzie nie ma ani parafii polskich, ani prasy w ścisłym tego słowa znaczeniu, ani szkół i

t.p., i gdzie nawet powojenni emigranci pożenili się w 90% z Holenderkami, a dzieci mówią przeważnie tylko po holendersku. W takim kraju rola duszpasterzy jest tylko przejściowa, a pole do pracy kurczy się z każdym rokiem. Jest to niestety los większości emigracji na świecie. Integracja, a nawet wynarodowienie, robią stałe postępy. Większe skupiska dłużej przetrwają, małe zniknąć mogą w stosunkowo krótkim czasie.

Ale nawet w krajach, gdzie Polacy urządzają się już na stałe, gdzie integracja szybko postępuje, nawet tam wnieść możemy w środowisko, w które wrastamy, ogromną ilość walorów duchowych. Jesteśmy przecież starym narodem o bogatej, tysiącletniej kulturze, narodem, który, być może, najlepiej potrafił stopić w jedno skarby własnego ducha z katolickim uniwersalizmem. Ucząc dzieci mówić i modlić się po polsku, dając im choć trochę wiadomości z dziedziny historii i literatury polskiej, przestrzegając w domu naszych pięknych zwyczajów ojczystych, pielęgnując pieśń polską i t.p. wnieść możemy społeczeństwu wśród którego żyjemy coś nowego, pewien dorobek duchowy, wzbogacić je możemy naszą rodzimą kulturą. Choć jest to przede wszystkim obowiązkiem rodziców, leżeć jednak powinno na sercu każdego z nas. Będzie to wkład duchowy przez nas wniesiony do wspólnego skarbca obyczajów i tradycji kraju, w którym żyjemy. Polskość będzie nam zawsze potrzebna, stanowi ona skarb nieoceniony, nieprzebrane źródło myśli, natchnień i czynów, oddziaływać może twórczo na otoczenie i społeczeństwo miejscowe, zapładniając je i wzbogacając nowymi walorami ducha.

Będzie to symbioza dwóch kultur, integracja, nie zaś asymilacja przez silniejszą słabszej liczebnie narodowości.

Ks. Leon Plater

TADEUSZ ZIARSKI

## Jan Babij

Istnieje poważna obawa, iż wielu światłych i zasłużonych obywateli Rzeczypospolitej okresu międzywojennego zostanie zapomnianych lub pominiętych w opracowywanych obecnie czy w przyszłości historiach, kronikach, podręcznikach. Trudno oczekiwać od obecnego reżymu w Polsce, by zachęcał czy popierał gloryfikowanie ludzi dwudziestolecia niepodległej Polski. Zagranicą wiele przyczyn wpływa na ograniczanie rozpamiętywań postaci, stosunkowo niedawno zmarłych, czy jeszcze żyjących.

O Janie Babiju nie wolno zapomnieć. Z kilku ważkich powodów. Jan Babij był unikatem. Jan Babij będzie może kiedyś jednym z pomostów unii dwóch narodów. Krótkie życie Jana Babija, nie wszystkim znane w Polsce przed wojną, dziś bardzo nielicznym, pozostaje źródłem natchnienia i nadziei.

Problem współżycia polsko-ukraińskiego nie przestaje być aktualnym od z górą trzystu lat. Kilkakrotnie zjawiała się możliwość rozwiązania pogmatwanych pretensji i urazów, zalecenia zaropiałych

ran. Jeżeli nie doszło do tego, jednej tylko strony winić nie można. Nieodpowiedzialne jednostki, niespodziewane wydarzenia historyczne, często intryga obcych, powodowały ruiny optymistycznych, pełnych dobrej woli, planów. Problem jest nadal otwarty, pomimo niewoli narodu ukraińskiego i antypolskiego stanowiska większości kierownictwa emigracji ukraińskiej w świecie.

Jan Babij położył życie w walce o współżycie naszych narodów. Padł z ręki rodaka, ukraińskiego zamachowca, kierowanego obcą, wrogą ręką. Wraz z jego śmiercią przecięta została jedna z nieczystych, wątych nici, łączących Polaków i Ukraińców. Jan Babij był Ukraińcem, profesorem i dyrektorem gimnazjum w Polsce. Nigdy nie ukrywał uczuć i żądań, które nie przysparzały mu popularności u władz polskich i nie zawsze były oceniane właściwie przez ukraińskich ziomków.

We wsi Dobromirka, pod Zbarażem, który ostał się nawałnicą Chmielnickie-

go, urodził się Babij z rodziców wieśniaków, w dniu święta patrona Litwy, św. Kazimierza. Przez całe życie związany był z ziemią małopolską: gimnazjum — w Tarnopolu; filozofia klasyczna — na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie; służba — w galicyjskiej armii austro-węgierskiej, później w wójcu U.N.R. atamana Petlury. W czasie marszu na Kijów w 1920 roku był oficerem łącznikowym przy armii polskiej. Osobistą odwagą przyczynił się do uratowania od całkowitego zniszczenia ze strony nacierających bolszewików, jednego z oddziałów polskich. Ocalony korpuz oficerski przysłał Babijowi specjalne podziękowanie.

Z Polakami związał się na niedługie życie i śmierć. Po zakończeniu wojny został profesorem gimnazjum w Brzeżanach. Przez siedem lat opiekował się młodzieżą brzeżańską, bez różnicy wyznania czy narodowości. Szczególnie interesował się rozwojem harcerstwa, wpajając w harcerzy swoje idee humanitarne i katolicki pogląd na świat.



W roku 1928 zostaje przeniesiony do Lwowa, początkowo jako profesor, później, w 1931 roku, jako dyrektor filii gimnazjum. Stykając się z kierownictwem nacjonalistów ukraińskich, stale podkreślał, że głównie przez podnoszenie poziomu życia kulturalnego i etycznego, przez wychowanie młodego ukraińskiego pokolenia, będzie można dojść do pokojowego i sprawiedliwego współżycia obu narodów na obszarze Rzeczypospolitej. Sam szerzył oświatę wśród ludu, łącząc ją z ożywioną działalnością charytatywną, w oparciu o organizacje katolickie. Jednocześnie dążył do założenia ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie, uparcie twierdząc, że rywalizacja kulturalna jest bardziej pożądana, aniżeli uciekanie się do terroru i drastycznych środków ucisku.

Osobną kartę w życiu Jana Babija stanowiła jego działalność katolicka. Jego wystąpienia nosiły charakter głęboko katolicki; wykłady i referaty pedagogicz-

ne w Brzeżanach zawsze cechował katolicki punkt widzenia. We Lwowie został wybrany na przewodniczącego Archidiecezjalnej Rady Akcji Katolickiej.

Skrajnie nacjonalistyczna grupa rodaków Jana Babija nie była w stanie zrozumieć intencji światłego i szlachetnego profesora. O.U.N. — Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów — wydała wyrok śmierci na dyrektora Babija za jego nieugiętą kampanię tepienia terroryzmu, wyrotowej agitacji i wykroczeń przeciwko prawu państwa polskiego. 1 stycznia 1934 roku Jan Babij zostaje dyrektorem zakładu głównego, licząc zaledwie 40 lat. Niedługo potem rozpoczyna się proces za zamachowców ukraińskich, oskarżonych o mord w konsulacie sowieckim we Lwowie. Dyrektor Babij składa na rozprawie obiektywne zeznania, obciążające OUN. Dnia 25 lipca 1934 roku bojowiec OUN skrytobójczo zgładza Jana Babija, Ukraińca, jak on dążącego, tylko innymi, pro-

stymy drogami, do zrealizowania aspiracji narodowych.

Bolesna dla współobywateli rocznica — 25-lecie zabójstwa Jana Babija. Przed nami staje nie tylko sylwetka skromnego dyrektora gimnazjum, ale całe tragiczne dwudziestolecie nieporozumień i zawiści polsko-ukraińskich, nie zakończonych drugą wojną światową, tkwiących głęboko w świadomości aktorów dramatu dziejowego. Ukraina — jedna z republik sowieckich, nie jest zszczeniem ideałów i walki narodu ukraińskiego. Ubolewać należy, że synowie tego narodu nadal nie dostrzegają możliwości zgodnego porozumienia z narodem polskim, jak nie mogli zrozumieć dążeń Jana Babija. Przewodniczący Akcji Katolickiej w stolicy Grodów Czerwieńskich poległ za „wiarę”, wiarę w wielkość umiłowanego narodu, opartą na sprawiedliwym, chrześcijańskim współżyciu z Polską.

Tadeusz Ziarski

## SPRAWY I LUDZIE

(Ciąg dalszy ze str. 7)

\*

### W IMIĘ WOLNOŚCI

Na tegorocznym obchodzie „Dnia Wolności” u stóp sławnego Pomnika Wolności przy wjeździe do portu nowojorskiego, zorganizowanym przez Komitet Wolnej Europy i obywateli Nowego Jorku, przemawiał podsekretarz stanu Andrew H. Berding. Warto przytoczyć wyjątki z ciekawego przemówienia.

We wstępie przedstawiciel rządu amerykańskiego przypomniał, że upływa 75 lat od ufundowania pomnika przez naród francuski dla narodu amerykańskiego. Stwierdził wspólne umiłowanie wolności przez oba narody i wzajemną ich pomoc w walce o wolność. Łączył tę rocznicę ze 150-tą rocznicą urodzin Abrahama Lincolna.

„Jesteśmy świadomi — mówił p. Berding — faktu, iż dla wielu ludów świata to pojęcie (wolności) jest obecnie jedynie wspomnieniem czegoś niegdyś posiadanego, lecz teraz niemal nieznanego. Mówię o milionach, żyjących w ponurym cieniu systemu, który głosi, że jednostka istnieje wyłącznie dla pożytku państwa. Ponieważ i Francja i Stany Zjednoczone utrzymują tradycyjnie więzy przyjaźni z Europą wschodnią, jest naturalne, że myśli nasze biegają ku tej części Europy.

Stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec krajów Europy wschodniej, pozostających pod panowaniem sowieckim jest jasne. Wiele razy było ono wyrażane przez prezydenta Eisenhowera.

Stany Zjednoczone nie szukają niczego dla siebie we wschodniej Europie. Nie zamierzają bynajmniej zagrażać bezpieczeństwu Związku Sowieckiego w tym obszarze. Nie zabiegają o wojskowe przyciemnienie z państwami tam leżącymi. Nie pragną narzucania im amerykańskiego stylu życia. My wyrażają chęć, by nastąpił tam nawrót do metod rządzenia, jakie istniały przed drugą wojną światową. — Pragną dla tych ludów jednej jedynej rzeczy: by były one naprawdę wolne; by posiadały prawdziwą narodową niepodległość; by mogły ustalić jakkolwiek

formę rządu, jakiegokolwiek gospodarze i społeczne instytucje, byleby im odpowiadały. Ludy Europy wschodniej dążą do tej wolności. Nasz rząd i nasz naród ufają, iż te narody to osiągną. Cokolwiek nasz kraj może sprawić, aby pokojowymi i uprawnionymi środkami okazała pomoc w tym dążeniu — zrobimy.

Streszczając, Stany Zjednoczone nie uznają stałego ujarznienia niegdyś wolnych ludów we wschodniej Europie, ujarznienia, które nie ma żadnej podstawy prawnej i moralnie jest wstrętne dla wszystkich wolnych ludzi...

Składając hołd pamięci zmarłego sekretarza stanu John Foster Dullesa, mówca stwierdził jego niewzruszalne trwanie przy zasadzie nieuznawania rozwiązań narzuconych siłą i gotowości okazania wszelkich uprawnionych środków pomocy ludom dążącym do wolności.

W zakończeniu mówca wspominał wielkiego prezydenta Abrahama Lincolna, który „stał się symbolem wierności sprawie uciśnionych. Jego sławny apel, rzucony w mowie gettysburskiej, aby „rządy ludu, przez lud, dla ludu nie znikły z powierzchni ziemi” żyje i uzyskuje poparcie gdziekolwiek ludzie wolni gromadzą się, by bronić wspólnej prawy...”

Hasła piękne. Oby nie pozostawały tylko hasłami ani amunicją propagandowej demagogii, ale znalazły swój wyraz realny w dziele wszechstronnej pomocy, w nawiązywaniu stosunków społecznych oraz w poszukiwaniu praktycznych i trzeźwych rozwiązań politycznych na drogach pokoju i wzajemnej dobrej woli. Niechaj adwokaci wolności baczą, by także w ich ogródku kwiaty wolności kwitły na wszystkich grzędach. Zgłoszenia gotowości pomocy niechaj przychożą w porę, a wykonanie musi być przede wszystkim kierowane życzeniami zainteresowanych.

Dobrze, że co roku, z okazji „Tygodnia Narodów Ujarzmionych”, naród amerykański będzie rozpamiętywał położenie społeczeństw wolności pozbawionych, gdziekolwiek na świecie takie są i będą. To lepsze, niż hasła „polityki wyzwolenia” bez pokrycia... Wyzwolenie człowieka dokonywa się przede wszystkim przez jego własną przemianę, w jego duszy; nie dokona się tego wbrew jego woli. Trudne, nieraz powolne etapy wyzwolenia ludów,

białych czy kolorowych, nie mogą być dokonywane bez nich, bez wczucia się w ich dążenia, prawa i interesy w ścisłym związku z rzeczywistością dnia.

\*

### POLSKA PIELGRZYMKA W CARFIN

O dorocznej manifestacji maryjnej Polaków w Szkocji piszą w odezwie: Rektor Polskiej Misji Katolickiej, ks. prałat dr L. Bombas i delegat I.P.A.K., Tadeusz Ziarski:

„Nazwa CARFIN stała się od lat dla każdego Polaka katolika w Szkocji uosobieniem miejsca wspólnej modlitwy i oddania dorocznego hołdu naszej Niebieskiej Protektorce. Trudno sobie wyobrazić pełny, polski rok katolicki w Szkocji bez odbycia dorocznej, wielkiej pielgrzymki do miejsca kultu Matki Bożej...”

Polscy pielgrzymi w Carfin odnawiają przyrzeczenia, złożone wraz z całym Narodem naszym... Przed tysiącleciem... odnawiać je będziemy corocznie, przyjmując zobowiązania programowe Nowenny.

W tym roku przyrzekać będziemy: „Bronić życia duszy i ciała, własnego i bliźnich”.

W niedzielę 30 sierpnia Polska Misja Katolicka w Szkocji, przy pomocy Polskiej Akcji Katolickiej organizuje tegoroczną pielgrzymkę do Carfin. W każdym ośrodku polskim w Szkocji organizacje kościelne i społeczne zawiązują specjalne komórki dla przygotowania udziału Polaków katolików do masowego, zbiorowego udziału w pielgrzymce. Dla samotnych Rodaków, żyjących w oddaleniu od polskich ośrodków duszpasterskich, szczególne znaczenie ma możliwość spowiedzi i Komunii św. w czasie Mszy św. popołudniowej...

Na obrazku pamiątkowym pielgrzymki ujrzymy... Ojca św. Jana XXIII... Odczytamy słowa Papieża, wypowiedziane do Prymasa Polski: „Sprawcie, aby się za mnie wiele modlono przed Waszą Matką Bożą”.

„Modlitwa za Ojca św. ...zabrzmiała... głosem wiernych dzieci Kościoła — Polaków w Szkocji.”

\*



## GAWĘDA O POLITYCE

„PAX“ w Polsce Ludowej to coś w rodzaju czyścica dla pisarzy powracających z emigracji. Nakładem „Paxu“ i w jego pismach ukazują się głównie, czasem nawet wyłącznie, książki i artykuły Zofii Kossak, Melchiora Wańkowicza, Stanisława Mackiewicza i innych. Ostatnio „Pax“ wydał tom Mackiewicza pt. „Zielone oczy“, poświęcony dziejom polityki polskiej na emigracji na tle polityki europejskiej, w szczególności brytyjskiej.

Istnieje w antropologii (czyli wiedzy o człowieku) pogląd, że motorem postępowania i działania ludzkiego jest potrzeba zabawy, że więc człowiekowi przystoi bardziej epitet „ludens“ niż „sapiens“. Zdaje się, że to dr Samuel Johnson wypowiedział zdanie: „life is to be enjoyed“ („żyjemy po to, aby się bawić“). Śledząc ludzkie żywoty rzeczywiście można nabrać przekonania, że potrzeba ustawicznej zabawy, rozrywki, wesołości nie stygnie w człowieku z ukończeniem dzieciństwa ani nawet młodości, lecz trwa aż po bardzo późny wiek, do czasu, kiedy zmiany ustrojowe położą kres możliwości niestanęcej uciechy.

„Homo ludens“ czyni sobie zabawę ze wszystkiego i wszystko objaśnia swoim różowym światopoglądem. „Zielone oczy“ to publicystyka w ujęciu facecjonisty, polityka pojęta jako zabawa. Wydarzenia historyczne, najbardziej tragiczne losy narodów, dramaty dziejowe służą Mickiewiczowi jako tło do zabawnych anegdot, żartobliwych charakterystyk, rubasznych plotek, komicznych wypowiedzi.

Prócz poczucia humoru, a raczej jego przerostu, elephantiasis humoru, nie podobna autorowi odmówić jeszcze i takich zalet jak talentu pisarskiego, erudycji historycznej, czy może raczej plotkarstwa historycznego, znajomości literatury rosyjskiej, a także pewnej rycerskości (o której, niestety, nie da się powiedzieć, że jest niezawodna, jak o tym świadczy potwarz rzucona niedawno mściwie przeciw nieskazitelnemu duchownemu i patriocie oraz wybitnemu uczonemu, ks. prałatowi Meysztowiczowi).

„Zielone oczy“ to po prostu gawęda szlachecka o polityce. Mniej więcej podobnie pisał o sprawach publicznych Pasek, ks. Kitowicz, Henryk Rzewuski. Nie wydaje się, aby można poważnie traktować działalność polityczną i publicystykę Stanisława Mackiewicza, jakby to był autentyczny mąż stanu czy statysta. Ze wszystkich, w tym wielu istotnie z nieprawdowego zdarzenia, działaczy politycznych na emigracji, najbardziej bodaj politykę polską ośmieszył właśnie Mackiewicz rozparty w fotelu premiera. I dalej bawi się setnie zarówno swoją rolą, jak też rolą swych partnerów i przeciwników. Niewątpliwie powołanie Mackiewicza na premiera najwięcej ubawić musiało jego samego i czytając „Zielone oczy“ nie można się oprzeć wrażeniu, że autor pokpiwa nie tylko ze znanych działaczy politycznych, ale bodaj i ze sie-

bie samego. Mackiewicz uwielbia teatr i aktorstwo, toteż rolę premiera wziął na siebie z rozkoszą, aby choć raz w życiu zagrać na dużej scenie.

Jego wywody polityczne są prymitywne, łopatologiczne lub na odwrót karkołomne i surrealistyczne i nie trudno je podważyć i wywrócić małym palcem. Teza „Zielonych oczu“ jest taka: Anglicy przewidzieli w roku 1939 co się święci na najbliższe sześć lat co do dnia i co do godziny. Rzucili więc Hitlerowi na pożarcie Polskę zawierając z nią traktat o wzajemnej pomocy, a to głównie w tym celu, aby Niemców skierować przeciw Sowiетom. Mądry Stalin „odrzucił piłeczkę tenisową“ Anglii w ten sposób, że zabrał połowę terytorium jej sojusznikowi. Pakt Ribbentrop-Mołotow nie był skierowany, jak z tego wynika, przeciw Polsce, lecz przeciw Anglii i nie ułatwiał zadania Niemcom, lecz szkodził im i drażnił ich. Również Norwegię, Danię, Holandię, Belgię i Francję Anglia porzuciła cynicznie i świadomie, aby uzyskać cenne tygodnie i miesiące czasu dla swoich wojennych machinacji. Potem namówiła do wojny i oczywiście porzuciła Jugosławię i Grecję. Pani Krystyna Skarbek zapewniła Mackiewicza, że to opóźniło o całe 14 dni lądowanie na Krecie. Następnie Anglia zczyła sobie z całego serca klęskę Rosji, z tym, żeby możliwie mocno wykrwawić armie niemieckie. Słowem, podbój całego świata przez Niemców miał w rezultacie przynieść zwycięstwo Anglii, co było z góry przewidziane przez jej polityków.

Ale w tym satanistycznym planie rysuje się luka. Bo ostatecznie Niemcy toczyli także wojnę z Anglią, choć teatr afrykański uważa Mackiewicz za rozrywkę wojenną, coś w rodzaju gry w polo. O wiele bardziej w tym czasie interesowało Anglików zniszczenie imperium francuskiego. Nie mogą prosto z mostu napisać, że Hitler był w zмовie z Anglią, nasz gawędziarz przesłania mrokiem tajemnicy i domyslności wstrzymanie się Niemców od ataku na wyspę brytyjską. Określa to jako największą tajemnicę ostatniej wojny.

Po czym następują dwie dalsze tajemnice: napad Japończyków na Stany Zjednoczone i wypowiedzenie im wojny przez Hitlera.

Po wojnie Anglicy, którzy dążyli do rozbicia Sowiетów przez Niemcy, teraz na odwrót dbają usilnie o nasycenie apetytów sowieckich oddając im połowę Polski. Aby tylko nie zdejmować z twarzy angielskiej maski diabelskiej. Mackiewicz jest nieuleczalnie „chory na Anglika“. Można by to uznać za ciężki przypadek manii prześladowczej, schizofrenii, jeśli byśmy nie wiedzeli, że w sztuce pisarskiej nieodzownie potrzebne są „czarne charaktery“.

A Polacy? Oszukiwani przez wszystkich, prócz dobrodusznym Rosjan, którzy dla własnej obrony zagarnęli połowę

Polski i dla naszego dobra wyniszczyli parę milionów ludności, za co niewdzięczni Polacy, korzystając z chwilowej słabości Sowiетów, uprowadzili na wolność korpus wojska i uratowali od śmierci głodowej kilkadziesiąt tysięcy starców, kobiet i dzieci, ci Polacy demoniczne plany i zbrodnia Anglii potęgowali własną głupotą. Ani w Kraju ani poza Krajem nie zaświecił w latach wojny choćby jeden promyk rozsądku i nie znalazł się żaden myślący Polak, prócz Stanisława Mackiewicza, który wszystko przewidział, przejrzał i rozszyfrował, a teraz w książce „Zielone oczy“ przygwoździł, ostrzegając naród w zaledwie dwadzieścia lat po wybuchu wojny. Historia ostatnich lat dwudziestu to dzieje głupoty i szaleństwa Polaków.

Nieco makabryczna, jak widać, mimo to świetna humoreska polityczna Mackiewicza wydała już owoce. Ostatnio Chruszczow, a po nim, jak za panią matką, Gomułka, powtórzyli nie czyją inną, lecz Mackiewiczową tezę o konieczności zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow i o jego zbawiennych skutkach dla Polski. Wówczas mówiło się, co prawda, o „zlikwidowaniu bękarta wersalskiego“, ale była to widać figura stylistyczna oznaczająca chęć odbudowy nowej, silnej Polski.

Ciekawe też, co by się stało, gdyby perfidna Anglia nie wypowiedziała wojny Niemcom po ataku na Polskę i pozostawiła ją na łasce i niełasce sąsiadów przez Linę Curzona?

Pan Stanisław Mackiewicz posiada ogromny kult dla polityków. Przypisuje im dar jasnowidzenia, widzi w nich demonów przewidywania, mózgi nieomyłne, które czytają w przyszłości każde wydarzenie, każdą sytuację, każdy wynik starcia sił, słowem, upatruje w nich ziemskich bogów. Jak u Homera toczą wojnę ludzie i bogowie na dwu kondygnacjach, tak i u Mackiewicza toczą ją narody i politycy. Narody po to, aby się wyrzynać, politycy po to, aby się bawić. Grają ludźmi w szachy. Pytano raz Churchilla, jakie zalety powinien mieć dobry polityk, na co odpowiedział: „Dobry polityk powinien posiadać umiejętność przewidywania, co się zdarzy jutro, za miesiąc, za rok — i wyjaśniania następnie, dlaczego to się nie zdarzyło“. Tymczasem Mackiewicz z Churchilla uczynił w swej gawędzie czytającego w gwiazdach wieszczka i zarazem krwawego kapłana starożytnych wierzeń.

„Zielone oczy“ jako dzieło publicystyczne to pomieszanie powieści fantastyczno-historycznej typu „Starej baśni“ czy „Połaty córki Lizdejki“ z przymieszką dostojewsczyzny i szlacheckiego bałagustwa oraz opowiadań z saskich kalendarzy. Najbardziej uroczę w książce są portrety i karykatury współczesnych oraz przezabawne facecje. W tym tkwi tajemnica powodzenia pisarstwa Stanisława Mackiewicza: wziął on na kiel politykę i robi sobie z niej literaturę rozrywkową.



Ale w stosunku do polskich polityków demonizm ustępuje całkowicie miejsca facecji. Polscy mężowie stanu zajmują Mackiewicza przede wszystkim z punktu widzenia ich fizjonomii, koligacji, tytułów hrabiowskich i książęcych, zamiłowań do kuchni, polowań, rozrywek. Sikorski to nadęty bufon i lalus, uwielbiający fotografie. Raczkiewicz wodzirej mazura, Sosnkowski czarusz i miętus, Arciszewski poczciwy a niedołączony brodacz, Berezowski smakosz i polityk z przypadku, Bielecki szczywany gracz uprawiający sztukę dla sztuki, a politycy mniejszego kalibru to teatr kukiełek, rój postaci komicznych i pozbawionych rozumu, których jedynym celem jest osobista kariera. Za jedyny motyw polityki poczytuje Mackiewicz lukratywną władzę i znaczenie, bale, polowania, fety. Stron-

nictwa polityczne tańczą tańce figurowe, bez poważnej myśli, ale aby było wesoło, aby było ładnie. Mniej ważne dla historii są fakty i dokumenty, ważniejsze plotki na temat, co przy kartach powiedział premier taki czy owaki lub też zgola, co w chwili wybuchu wojny pewna pani powiedziała Mackiewiczowi o Rydzu.

Oczywiście, w każdej bajce jest połowa prawdy, więc też nawet u Mackiewicza można odnaleźć jej trochę, jeśli chodzi o pewne figury na szachownicy naszej polityki przedwrześniowej i emigracyjnej, czego dowodem choćby fotel premierowski Mackiewicza. Również niektóre zarzuty przeciw Anglikom nie są bezzasadne. Ale wyobraźnia i fantazja przekraczają wszelkie granice publicystyki pana Stanisława, czyniąc z niej po tro-

sze powieść sensacyjno-spiegowską, nieco podławy epos w stylu homeryckim o bogach i ludziach wojny, a najbardziej rubaszną szlachecką gawędę.

Miłośnicy literatury pięknej znajdą w „Zielonych oczach” wiele przyjemności, a czytelnicy interesujący się polityką mnóstwo zabawy, o ile, oczywiście, nie potraktują tej breughelowskiej i paskowej lektury serio.

Pozbawieni poczucia humoru stronnicy sowieccy potraktowali książkę Mackiewicza jako „arcydzieło publicystyki”. Skorzystal skwapliwie z gawędy „szlachcica polskiego i katolika”, aby wytłumaczyć to, czego w żaden sposób przez dwadzieścia lat przy pomocy zdrowego sensu ni dokumentów historycznych usprawiedliwić nie mogli.

J. B.

## KSIĄŻKI

# O POEZJI NIECZYTELNEJ

WYDAWANIE wierszy w naszych czasach jest heroizmem, o ile, rzecz jasna, nie ukazują się one sumptem własnym autorów lub nakładem państwa. W pierwszym wypadku tomik wierszy ma podobne znaczenie jak pierwszy w życiu bilet wizytowy, który młodzieniec lub panienka wręczają na lewo i prawo przy byle okazji, pękając z dumy i szczęścia. W drugim — tomik wierszy staje się argumentem w kulturalnej polityce państwa jako rzekome osiągnięcia w zaspokajaniu potrzeb duchowych obywateli. Dawniej dzieliło się poezję na liryczną, epiczną i dramat, dziś należałoby ją podzielić na czytelną i nieczytelną. Poezja czytelną, jak sam przymiotnik wskazuje, bywa jeszcze czasem poszukiwana, aczkolwiek przeciętne tomiki poetyckie nie znikają z półek księgarń ani szybko ani w dużych ilościach. Poezję nieczytelną studiuje wyłącznie korporacja poetów i kandydaci do niej.

Przystępując do oceny zgrabnie i czysto wydanego tomiku wierszy Józefa Żywiny pt. „Wilcze zioła”\*) trzeba najpierw poświadczyć słówko heroicznemu wydawcy emigracyjnemu, Bolesławowi Świdierskiemu, który swoją „Londyńską Bibliotekę Literacką” zaczął od dwu tomów poezji: lirycznej i dramatycznej. Świdierski to ostatni polski romantyk-wydawca, uważający poezję za najwznieślijszy rodzaj twórczości. Jego książki, nie licząc „Podróży międzyplanetarnych” prof. Felsztyna, „Korespondencji angielskiej” Frenkla i „Słownika wyrazów obcych”, to niemal wyłącznie poeci, jeśli wliczyć w nie „Mickiewicza, Wyspiańskiego i Krasińskiego żywego” i projektowanych, również „żywych”, Norwida i Słowackiego. Świdierski specjalizuje się w poezji, głuchy na sądy o niej mas czytelnicy i pobłażliwy dla każdego jej rodzaju.

Mniej więcej od czasów romantyzmu

\*) Józef Żywina WILCZE ZIOŁA. Poezje. „Londyńska Biblioteka Literacka”, tom V. Str. 52. Winieta tytułowa i obwoluta Tadeusza Terleckiego. B. Świdierski, Londyn 1958. Cena: 7/- lub \$ 1.00.

zaczyna się w poezji dążność do „hermetyczności”, czyli, prościej mówiąc, do niezrozumiałstwa. Poeci tak bardzo podkreślają odrębność i niezwykłość swej sztuki, swoich przeżyć, swojej natury i swojej roli od innych, nie tylko chodzących po tej ziemi ludzi, ale także piszących, że gotowi uczynić wszystko, aby ich życie, postępowanie, obyczaje, strój, nie mówiąc już o języku i sposobie wypowiedzi, wyróżniały ich wśród śmiertelników. Ma się rozumieć, nie wszyscy. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że im bardziej poeta utalentowany, tym mniej dziwaczny i hermetyczny, tym bardziej komunikatywny, tym dostępniejszy, a zarazem bardziej podobny w życiu i obyczajach do zwykłych ludzi. Natomiast poeci o mniejszym talencie pragną za wszelką cenę przedstawić się światu jako istoty niezwyklej rasy. Rasowy poeta powinien więc głodować i o ile możliwości umrzeć w młodym wieku na gruźlicę, ale przesiadywać godzinami w kawiarniach, szczególnie w nocy, mieć błędne oczy, palić ogromne ilości tytoniu, łykać absynt lub inne demoniczne napoje, nie strzyc się, nosić pelerynę, kolorowe koszule, fontazie, zaleźnie do poetyckiej mody w danym kraju i epoce, nie pracować, jeśli można, pożyczając pieniądze, nie zwracając, pomstować na mydlarzy i drobnomieszczan itd. itd. Poeta nade wszystko nie powinien być rozumiany. Więc zwłaszcza w ostatnim półwieczu poeci siłą się na inność, niezwykłość, niezrozumiałość, hermetyczność.

Sprawa nie jest zresztą taka prosta, gdyż łowców poetyckiej przygody trzeba odróżnić od autentycznych poszukiwaczy nowych form poezji i poetyckiego wyrazu. Istnieje również poezja trudna, mimo że autentyczna. Poezja nowoczesna w ogóle, w zasadzie słusznie, postawiła sobie wysokie założenie porzucenia łatwizny i tradycyjnego stylu. Jednakże poezja nie może naśladować czarnej magii ani nauk ścisłych. Zresztą, chociaż nauki ścisłe przeznaczone są dla znawców, w matematyce, fizyce, astronomii, czy chemii nie można wymyślać zawiłanych formuł ni hipotez, które nie byłyby sprawdzalne przy pomocy odwiecznych aksjomatów wiedzy. Dotyczyć to

powinno również sztuk pięknych, o ile, oczywiście, nie uznamy ich czarnomagicznej wyjątkowości.

Bo jeśli tak, jeśli poezja ma być owocem łamańców myślowo-skojarzeniowych, próżny trud czytelnika, aby ją pojąć. Jeśli zaś poezja jest tylko „trudna”, wówczas każdy znawca poezji powinien ją wyjaśnić w sposób jednoznaczny. Tak np. muzykalny odbiorca w lot pojmie, czy ma do czynienia z autentyczną twórczością muzyczną czy tylko z szarlatanerią.

Rolę pośredników w zakresie poezji mogliby odgrywać krytycy. Jednak poeci nieczytelnicy poniżyli jej znaczenie i podkopali zaufanie do niej, nie bez winy samej krytyki, która, mając prawo być bardziej trudną i ezoteryczną od twórczości artystycznej, dopuściła do zalania swojej domeny przez dyletantów, a przede wszystkim twórców, którzy wprowadzili straszliwe zamieszanie do trudnej wiedzy krytycznej, żądni wzajemnych laurów i uwielbień. Powstała tym sposobem zupełnie niekrytyczna krytyka. Poeci nie czują dziś wstydu, wieńcząc się nawzajem publicznie laurami. Doszło do zmywu korporacji. W jej opinii każdy członek „ma talent”, „rokuje wielkie nadzieje”, „zna tajemnice poezji”.

Ponieważ jednak wartości poezji nie da się sprawdzić aksjomatami wiedzy, bo krytyka albo nie istnieje albo się ją poniża, w szerokich kołach czytelników powstało powszechne mniemanie, że każda poezja niezrozumiała, hermetyczna, to jakaś niezwykła, odkrywca twórczość, niczym wynalazek w nauce. Co gorzej, uwierzyli w to sami poeci. W miejsce talentu ustawiono złotego ciecia tajemniczości. Nie ulega wątpliwości, że spora gromada ludzi trudniących się pisaniami wierszy wierzy w swój talent poetycki dlatego, że sama swoich wierszy nie rozumie. Można się o tym przekonać na pierwszym lepszym wieczorku poetyckim, gdy twórca odczytuje z przejęciem swoją abrakadabrę. W poezji odbywa się dziś taniec derwiszów, nie mający nic wspólnego ze sztuką, lecz polegający na obłądnym uniesieniu włas-



nym werbalizmem i niedorzecznymi wzorami. (Oczywiście, istnieje też poezja prawdziwa, o której tu nie piszemy.)

Korzystając z drogi autentycznych nowatorów, ci fałszywi poeci porzucili wszelkie konwencje i rygory, wszelkie sprawdziany sztuki, jak rym, rytm, strofikię, składnię, logikę, a teraz rzucili się jak chmura szarańczy na język, który wedle nich, w poezji winien być właśnie niepoetycki. W rezultacie poezją zostało to, co nam każdy nieczytelny poeta na wiarę za poezję podaje, choćby jego pisanina obiektywnie przeczyła elementar-nemu poczuciu piękna. Aby zaś ustrzec się przed próbami sprawdzenia zdrowymi zmysłami tej „sztuki“, opowiada się historyjki o jakiejś niezwykłej sile wtajemniczenia. W ten sposób powstał spirytyzm poetycki, zrozumiały jedynie dla uczestników seansów oraz — być może — dla duchów, które unoszą w górę wirujące stoliki-tomiki.

Józef Żywina jest niewątpliwie bardzo podatnym medium. Kiedyś, w okresie wojaczki, pisywał niezłe, zupełnie czytelne wiersze. Ogłoszone urywki z poematu o Monte Cassino zapowiadały się bardzo ciekawie. Potem wstąpił do korporacji wieszczów i utraciłszy z nim wspólny język. Wprawdzie jest to ciągle język polski i nawet na ogół niesprzeczny z gramatyką, ale połąpać z niego można tylko niektóre oderwane zdania lub człony składniowe, rzadko całe strofy. Poprzez zupełnie niezrozumiałe zdania i quasi-strofy można nawet czasem uchwycić myśl główną wiersza, ale na dobrą sprawę z czystym sercem można to powiedzieć tylko o kilku z nich, a najpewniej o „Podróży majowej“.

W niezmiernie trudnej dla czytelnika poezji Żywiny nie można natomiast dostrzec śladu trudności zadanej sobie samemu. Wiersze są w przewadze niestroficzne, nierymowane, arytmiczne, bez inwencji aliteracyjnej i asonansowej (pomijając przypadki), bez kompozycji, kontrpunktu poetyckiego, bez śladów receptury awangardowej, formistycznej, czy jakiegokolwiek innej, a w to miejsce zalane potokami postromantycznej symboliki i wytapetowane plakatami moralistyki i tanioczy lirycznej, zalatującej niekiedy socrealizmem. Autor jako czynny działacz stronnictwa chrześcijańskodemokratycznego na obczyźnie stanowczo za mało okazuje zainteresowania problematyką katolicką czy chrześcijańskim światopoglądem. Choć deklaruje wiarę w Boga, Bóg to niesłuchanie poetycki, Bóg Żywiny („Mój, anielski i leśny“). Z świętych na przykład najbar-

dziej czci Żywina „świętego Norwida“. Wielka szkoda, że nie przejął się religijnością tego poety.

Poezja Żywiny powstała z miazgi uczuciowej, z chaosu na ślepo dobranych słów i obrazów, jakie poecie na myśl przyszły i wydawały się piękne. Jeśli znać w tych wierszach jakiś wysiłek, to chyba ten, żeby, broń Boże, nie użyć zdań czy zwrotów logicznych i sensownych oraz by w miarę unikać prawidłowej interpunkcji.

Zagadnieniem wartości poezji jest to, co ona wyraża i jak to wyraża.

Cóż jest treścią poezji Żywiny? Obok absolutnych szarad, takich jak „Na śmierć Lechonia“, tom obejmuje monotonne rzewne wariacje na temat utraczonej młodości i smutku („zawodu“) żywota. Poeta jest:

„Dolegliwością serca zaszczytu  
schorowany chroniczną miłością  
nad paroksyzmem miast  
pod trzęsawiskiem łun;  
w salonach — szalbierze, kokoty,  
na trybunach — opoje,  
— już wiem dziś na pewno,  
już wiem, że się nie znam  
na politycznej gramatyce starców.  
O Salomeo,  
położ swe, białe ręce  
na ten ból, na ten zawód,  
na żywą śmierć.

Wiara uczyła przebaczać i kochać  
ale życie — zabijać uczę,  
częściami, w odstęпах  
żeby więcej bólu i głębsze było cierpie-

nie.“  
Oto mniej więcej credo polityczne i moralne poety, w którym też jak na dłoni objawia się jego sztuka. Przytoczony urywek wiersza, o niewątpliwie autobiograficznym tytule „W sprawie późnej wiosny“, kończy się taką puentą:

„Samotny,  
Samotny jestem jak obmyta kość.“  
Ów zwrot poetycki mógłby śmiało pójść w przysłowie. „Samotny jak obmyta kość“.

Otóż ta samotność obmytej kości, szloch i płacz nad tym, co było i nie wróci, żal nad „życiem bitym boleśnie“, nad zawodami w życiu prywatnym i zapewne w polityce (przytyk do „politycznej gramatyki starców“), jest, o ile można zrozumieć, treścią wierszy Żywiny.

Ale bodaj ważniejsze jest pytanie, jak poeta wypowiada te swoje smutki, żale i udreki? Rzekło się: w zupełnej pogardzie dla konwencji i tradycji, posługując się pełnymi garściami, jakby to powiedział Brzękowski, „antywalorami

poetyckimi“, ale bez „walorów“, z pilnym baczeniem, aby czytelnik przypadkiem czego nie zrozumiał, z mglistymi zawiąskami myślowymi, obrazami brutalno-bezsensownymi i językiem... Po pierwsze, Żywina wszystkie obce słowa uważa za poetyckie, stąd jego wiersze roją się od takich wyrazów jak: chroniczny, paroksyzm, spazm, epilog, antypody, galaktyka, tuberkuloza, ontologia, metafizyka, cyklon, aromat, tramp, iluzoryczny, pulsować, finale, symetria, kran, fosforyczny, magnetonowy, klepsydra, SOS, konwencja, kontrast itd., a już pasjami poeta lubi obcojęzyczne imiona własne.

A polszczyzna?

Można mieć wyrozumienie dla piękno-go nonsensu, absurdu, można się zachwycać słowami bez znaczenia i surrealizmem poezji, ale słowa-potwórki, monogotki, hybrydy, metafory-niedonoski, budzące raczej humor niż nastrój estetyczny, kukułcze jaja obcojęzyczne, kalekie zdania, pokurcze składniowe i w ogóle słownik nędzny, niewydarzony, bez smaku i gustu, pozornie patetyczny a ustrojony w jarmarczne bibułki, wszystko to przypomina niezdolne brzdąkanie dziecka po klawiaturze fortepianu, jedną rękę w violinach, drugą w basach, bez pojęcia o melodii i rytmie.

Oto pierwsze lepsze z brzegu przykłady: „źródła zalewane posuchą“, „O, Salomeo z dotkliwie białą szyją“, „mordercze piękno“, „nałóg wiosny“, „skowyt poznania“, „zaropiały w ranie cierni“, „wiatr jesienny jak bat gwizdnął“, „(jesień) wymowna ścierniskami“, „w glinach wstygniemy“, „niebo niepokojąco podniebne“, „śmierć wobec pamięci jest także bezsilna“, „wieczność straszny nas tym że nieuchwytna“, „Piersi ledwie sklepienie nalewają się cierpkim winem“ (Zuzannie), „w połowie z mgieł i dlatego mglista“, „o zwabionym świecie“, „granatowe ciało granatową nocą drgało“, „w bruzdzie otwartej namysłem“, „W wyszukanych symetriach odejścia“, „Żyjemy umarli... Osowiali chodzimy po górach“, „nie poznajemy już znamion czasu“, „(Wieczność) usuwa konwencję kontrastów w rysunku dzieciństwa“ itd. Trzeba by przytoczyć chyba wiersz za wierszem.

Jeden z nich nosi tytuł „Na ciszę“ i zaczyna się od słów: „Nie wytrzymuję ciszy“, następny zaraz za nim „Przeciw próżni“ otwiera zdanie: „Nie wytrzymuję próżni“. Z obu tych „niewytrzymań“ powstał tom pt. „Wilcze zioła“.

Amicus Plato...

J. B.

JERZY KŁOCZOWSKI

## DOMINIKANIE POLSCY

na Śląsku

w XIII — XIV wieku

Stron 356.

Cena 25/-

Na zamówienie wysła:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS“

12, Praed Mews, London, W. 2.



# POKRZYWDZONA SIMONE WEIL

W lutowym ZYCIU (nr 2/563) ukazał się esej Zofii Montana omawiający prace Simone Weil na podstawie książki Charles Moellera „La littérature du XX siècle et le Christianisme” (cz. I „Le silence de Dieu”). Mam żal do redaktora ZYCIA za umieszczenie tego eseju. Żal tym większy, że ZYCIE w ogóle nie omawiało poprzednio twórczości Simone Weil, pomimo że twórczość ta stanowi wyborny temat publicystyczny, zaś esej Zofii Montana jest ze względu na datę swoistym pokwitowaniem pojawienia się w Bibliotece Kultury wyboru pism Simone Weil w tłumaczeniu Czesława Miłosza.

Z eseju przemawia, jakby premedytacyjny, wyraźnie nieprzychylny ton dla Simone Weil. Bez głębszego i należytego uzasadnienia autorka zarzuca jej gnostycyzm, manicheizm, pelagianizm i kataryzm, nie przypominając wcale na czym te herezje polegają.

Można by sądzić, po przeczytaniu tego eseju, że katolik nie powinien brać do rąk książek Simone Weil, jako że zawierają one — rzekomo — tendencje hereetyckie i to w wielu miejscach. Jeżeli ktoś nie czuje się na siłach samemu odróżnić „subtelnych pokus”, czyhających nawet na uświadomionych katolików, od prawdy, to lepiej takich książek w ogóle nie czytać.

Ton nieprzychylny dziwnie miesza się z pochwałami, prawiącymi o „szlachetności moralnej” Simone Weil i jej darze „łask mistycznych”. Nade wszystko jednak autorka, omawiając książkę Charles Moellera, tam gdzie wskazuje na konkretne — niby to — błędy Simone Weil, wprost przecina jej myśli. Po ważnym przeczytaniu eseju dochodzę do wniosku, że Zofia Montana nader pobieżnie zna prace i osobę Simone Weil, a dopiero książka Charles Moellera rozszerzyła jej nieco horyzonty. Gdyby sprawa miała się inaczej, nie popadałaby w tak jaskrawe nieporozumienia.

Charles Moellerowi mogę zarzucić miłanie się wręcz z prawdą, gdy mówi o Simone Weil, względnie zupełnie niezrozumienie jej myśli. Rozpatrzmy na przykład takie twierdzenie: „U podstaw jej poglądu tkwi pragnienie człowieka zbawienia się własnymi siłami, bez Boga i Jego łaski”. A przecież myśl Simone Weil, przewijającą się przez cały szereg jej utworów, nawołuje, by „ze wszystkich sił poszukiwać Prawdy”. Jeżeli człowiek istotnie szuka prawdy tylko dla niej samej, to choćby się nawet w pewnej chwili odwrócił od Boga i Chrystusa, na pewno wróci do niego, gdyż Chrystus już był Prawdą, zanim się był narodził na ziemi. Świadczą o tym dosadnie słowa: „Jam jest Droga i Prawda i Żywot”. Gwarancja co do tego istnieje absolutna, gdyż są nią słowa samego Jezusa: „Jeśli który z was prosi Ojca o chleb, czy (On) da mu kamień?”.

W innym miejscu pisze Simone Weil, w formie mistycznego zaiste wyznania: „Myślałam, że dla tych, którzy żyją jak należy, jest to chwila (przyp. mój — chwila śmierci), gdy w nieskończeniu krótkim momencie, czysta, naga, pewna i wieczna Prawda wkracza w ich dusze”.

Bez wątpienia, w głębokiej tej wypowiedzi dominuje wzniosła myśl o darze Łaski.

Oto jak syntetyzuje rolę Łaski w ujęciu Simone Weil Jacques Cabaud („L'expérience vecue de Simone Weil”, str. 217)), pisarz, który według autorki eseju „dał poważne opracowanie twórczości i życia Simone Weil”. „Łaska czyni człowieka stoikiem wobec nieszczęścia... Pozwala ona zachować godność człowieka, gdy nieszczęście ugodzi go w samo serce, zezwala utrzymać godność istoty, która musi walczyć samotnie z naturą. Innymi słowy, dzięki Łasce, człowiek może zmóc otchłani swego nieszczęścia. Łaska pozwala mu przewyczyć stan nieszczęścia, w jakim się znajduje, a jednocześnie wziąć na siebie swój krzyż i przyjąć dopust; rozumie się wtedy, że Łaska jest śladem porządku nadnaturalnego”. Zacytuję jeszcze co myśli sama Simone Weil o owym „pragnieniu zbawienia się własnymi siłami... bez Boga”; rozważa ona następująco zaparcie się św. Piotra: „Rzec Chrystusowi 'będę Ci wierny' stanowi już zaparcie się Go, gdyż jest to założenie źródła wierności w sobie samym, a nie w Łasce”. („La pesanteur et la Grâce”).

Charles Moeller nie rozumie zasadniczo pojęć i poglądów Simone Weil, czego dowodzą choćby epitety, jakimi ją darzy. Gdy raz ją określa jako „męczennicę miłosierdzia”, to kiedy indziej widzi ją brodzącą po „psychopatycznych ścieżkach zwalczania w sobie kobiecości za wszelką cenę”. Przez analogię znalazłoby usprawiedliwienie niedopuszczalne nazwanie św. Pawła psychopata za jego znamienne zdanie... „dany mi jest bodziec ciała mego, anioł szatana” (II Kor. 11, 12, 7).

Moeller zarzuca Simone Weil antysemityzm i namiętą niechęć do Starego Testamentu. Ale przecież Simone Weil rozpatruje i omawia to tylko, o czym mniej lub więcej jasno mówi się i pisze od wieków. W księgach Starego Testamentu należy odróżnić część świętą, Bożą, od właściwej historii narodu żydowskiego. Ze była to historia wiernie ujęta i przedstawiona, o tym świadczą między innymi najnowsze wykopaliska w miejscach wskazanych przez Stary Testament. Czy Kościół katolicki tak całkiem bez powodu nie zalecał rozczytywania się w Starym Testamentcie?

Charles Moeller stwierdza, że Simone Weil posiada wprawdzie „szlachetny pęd do dobra i poszukiwania Prawdy”, niemniej, „rzekomo”, ani niezwykła szlachetność moralna, ani mistyczne uniesienia, nie zniszczyły w niej nawyków myślenia, skłonności i uprzedzeń... W jakiej rażącej sprzeczności z tym osądem stoją poglądy samej Simone Weil, kiedy pisze: „zgodnie z Ewangelią, aby być katolikiem wystarczy: kochać Boga, bliźnich jak siebie samego i wierzyć w Chrystusa”, powołując się na następujące ustępy Ewangelii: „tak Bóg umiłował świat, że Syna Swego Jednorodzonego dał, aby wszelki, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (Jan, 3-16); „po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim” (Jan, 13-35). Komuż na-

leży bardziej ufać? Charles Moellerowi, czy obietnicom Chrystusa?

A teraz sprawa cudów. Moeller mija się z prawdą imputując, że Simone Weil odrzuciła istnienie cudów. Owszem, odrzuciła, ale nie cuda jako takie, lecz tylko i wyłącznie określenie cudu potocznie używane, jako szczególnej ingerencji Bożej odbywającej się wbrew prawom natury. Odrzuciła naiwne, prymitywne i mizerne przykłady cudów, podawane częstokroć przez chrześcijan, mogące bezspornie osłabiać wiarę w Boga u niejednego inteligentnego człowieka. Simone Weil ocenia te przykłady o cudach Bożych miarą postępowania zwierznika, który stara się dla swej fantazji, naprawić jedną z krzywd, wyrządzoną przez rządzącego jednemu ze swych podwładnych. Zdanem Simone Weil, właśnie Bóg tak stworzył prawa natury, że człowiek obdarzony Łaską może bezpiecznie chodzić po wodzie, uzdrawać chorych... Gdzież tu odrzucanie cudów, skoro przyjmuje ich istnienie, a tylko inaczej ocenia właściwe misterium mechaniki Bożej?

Zdaniem Simone Weil znaleźć się w stanie Łaski może każdy człowiek, byle szczerze i ufnie o nią prosił i na nią zasłużył, wszystko zaś na ziemi, bez wyjątku, dzieje się z woli Boga. Czy wobec tak jasnych i głęboko moralnych, a prawdziwie religijnych poglądów można pomawiać Simone Weil, iż „odrzuciła Opatrzność”?

Moeller odkrywa, że „synkretyzm” religijny dopuszcza u niej do identyfikowania Chrystusa z Ozyrysem i Dionizosem. Skąd to twierdzenie, kiedy Simone Weil zawsze mówi o tych postaciach, jako o „odbiściu” czy „zwierciadle”, dodając zwykle określenie „w pewnym sensie”? Czy z tego może powstać jakieś nieporozumienie? Powstaje niestety, gdy Moeller, czy ktokolwiek inny, wyrwa półsłówka czy zdanie takie, a nie inne, jemu w danej chwili wygodne, by fałszywie nakreślić istotny stan rzeczy. Z całej twórczości Simone Weil wynika, że chodzi jej w tym przypadku o dwie przewodnie idee. Jedną jest jej przekonanie, iż śmierć i zmartwychwstanie Boga Chrystusa ma charakter ponadczasowy, nie wolno zatem i nie należy żadną miarą ograniczać celów i skutków tej śmierci i Zmartwychwstania wyłącznie do ery chrześcijańskiej. Wydaje mi się, że ta idea ma między innymi podparcie w słowach wyznania wiary „zstał do piekieł”. Druga, to doktryna moralna, że Prawda w stopniu dostępnym dla człowieka, była i jest zawsze do jego rozporządzenia, byle tylko szczerze jej pragnął i ufnie o nią zabiegał.

Moeller imputuje wreszcie Simone Weil jakoby w eseju „A propos Ojca nasz” twierdziła, że z chwilą nadejścia Królestwa (Bożego) ma zniknąć wszelkie stworzenie. Tymczasem właśnie tam wyraźnie czytamy („Attente de Dieu”, str. 168): „Królestwo Boże, to Duch Święty wypełniający całkowicie wszystkie dusze istot rozumnych”. Nie rozumiem jak mógł Charles Moeller tak pogmatwać to jasne określenie.

Po cóż stosowanie gierki literackich i



wyrywanie poszczególnych słów czy zdań z całości utworów? Jeśliby nawet przyjął na usprawiedliwienie fakt, że w dziełach Simone Weil można dostrzec szereg formalnych sprzeczności, zwłaszcza w notatkach i uwagach kreślonych doraźnie, na gorąco, to jednak istotnymi i zasadniczymi w ocenie są i zawsze powinny być właściwe, przewodnie myśli i idee autorki. Nie wolno zapominać, że ogrom notatek pozostawionych przez Simone Weil nie skontrolowanych potem przez nią, ani nie przygotowanych do druku, opublikowany został w dziewięć doprawdy formie, bez poprawek ze strony wydawców, by uszanować całość i nienaruszalność tej spuścizny idei, wskazań, poglądów i wiary. Nie wolno wreszcie przymykać oczu na przełom ideowo-psychiczny, jaki się dokonał w duszy i umyśle Simone Weil w roku 1938 na skutek doznanych przeżyć mistycznych, powodujących nowe podejście do wielu zagadnień. Choćby do roli modlitwy.

Gdyby oceniać książkę Charles Moellera w świetle i ramach eseju Zofii Montana, to lichota ujęć a tematycznego w żadnej mierze nie zachęca do zapoznania się z całością treści, i książki wspom-

nianej czytać chyba nie warto. Nie wiem, kto tego więcej przyczyną, sam Moeller jako autor, czy Zofia Montana jako recenzentka?

Boć sama recenzentka także wypacza myśli innych. Cytując książkę Jacques Cabaud tak o nim pisze: „...Autor... od krywa w niej pelagiankę, która nie zna samej siebie”. Szukałem wspomnianego odkrycia i cóż wyczytałem na str. 274? Zdanie diametralnie odmienne, mówiące: „On a voulu, très superficiellement, à une certaine époque, suggérer qu'elle était gnostique” (Usiłowano, bardzo powierzchownie, sugerować w pewnym okresie, że była ona gnostyczką). Jak widać na przykładzie Zofii Montana i Charles Moellera, epoka ta jeszcze się nie skończyła. Zofia Montana widocznie nie rozumie, że prześladowania, nawet dawno już przeszłe, mogą wzbudzić takie współczucie, że pragnie się zapoznać z doktrynami zniszczonymi ogniem i mieczem, a nawet się je nieco idealizuje. Trzeba zrozumieć, jakie uczucie wywołał w Simone Weil fakt wycięcia w roku 1209 wszystkich mieszkańców Béziers, w większości katolików, za niewydanie heretyków szukających w mieście schronienia.

Czyż naprawdę nie stać Redakcji ZYCIA na poważną i godną tego pisma recenzję wyboru pism Simone Weil w wydaniu Biblioteki „Kultur”?

Janusz Łaszewski

Dziękujemy p. Łaszewskiemu z Buenos Aires za ciekawy i „gorący” przyczynek do dyskusji nad „sprawą Simone Weil”. Waga tematu usprawiedliwia ostrość wymówek pod adresem protagonistów w debacie i naszej redakcji. Musimy jednak zauważyć, że już w grudniu ub. r., w nr. 12/561 ZYCIA, w dziale „Książki” (str. 27), ukazała się wstępna recenzja „Wyboru pism Simone Weil”, pióra J. B., zaraz po ukazaniu się znakomitego tłumaczenia Czesława Miłozza. Recenzja zaczyna się zresztą od uwagi, że pismo nasze zapewne nie jeden artykuł poświęci „osobie i myśli Simone Weil”. Przyznajemy otwarcie, że od tego czasu zabiegamy o uzyskanie gruntownego omówienia i książki i sprawy. Niestety, obietnice dane nam jeszcze są niespełnione. Nie rezygnujemy i będziemy wdzięczni p. Łaszewskiemu, jeżeli jego artykuł rzecz przyspieszy.

Redakcja

## LITERATURA GRZECHU I ŁASKI

Pisząc w numerze kwietniowym „Życia” o najnowszej książce Pierre Henri Simon p.t. „Portret Oficera” podałem kilka szczegółów o szerokiej działalności pisarskiej i naukowej autora. Dziś chciałbym zapoznać czytelników „Życia” z inną ważną pozycją jego dorobku literackiego, tym razem z dziedziny historii literatury chrześcijańskiej we Francji, p.t. „La littérature du péché et de la grâce”.\*

Wspomniany esej ukazał się jako nr 120 imponującej, 150 tomowej „Encyklopedii Katolika w XX wieku”, noszącej wspólny tytuł „Je sais — je crois”, co się luźno wyklada, „Wiem, przeto wierzę”. To ogromne dzieło, podzielone na czternaście działów, daje katolikowi pierwszorzędne źródło informacji na wszystkie niepokojące go problemy naszego wieku, począwszy od teologii, apologetyki, biblistyki, historii Kościoła, a skończywszy na problemach społecznych, literaturze, sztuce i naukach ścisłych, widzianych przez pryzmat wiary. Wystarczy przeczytać spis tytułów, aby zdać sobie sprawę z doniosłości tego przedsięwzięcia, które, idąc mniej więcej po linii pamfletów Catholic Truth Society w Anglii, jest o wiele bardziej wyczerpujące ze względu na objętość poszczególnych tomów i logicznie ułożoną całość. Jakże nie wyrazić zyczenia, biorąc do ręki te estetyczne dzieła, ażeby i nasz katolicyzm, mógł się kiedyś poszczycić podobną encyklopedią katolicką. Pewnych prób, po linii pamfletów C.T.S., dokonywano w czasie wojny i bezpośrednio po niej przez wydawnictwo „Nauka Chrystusowa” i ulotki Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, ale to już stara historia.

\* Pierre-Henri Simon, Le littérature du péché et de la grâce, Librairie Arthème Fayard, 1957, 350 fr.

Słyszymy często twierdzenie, że literatura chrześcijańska, a w szczególności katolicka, poczyniła w ciągu ostatniego półwiecza zdumiewające postępy. Niestety, ze względu na brak opracowań dotyczących tej gałęzi literatury ogólnej, nie zamierają wśród wielu, nawet jak najżyczliwszych katolicyzmowi ludzi, wątpliwości, czy ów rozwój był istotnie tak wielki jak się twierdzi oraz czy nie gra tu w pewnym stopniu roli chęć anektowania sobie dzieł pewnych pisarzy dlatego tylko, że dotyczą oni problemów moralnych i wyznaniowych.

Esej Simona, będący, jak się zdaje, dziełem pionierskim na tym polu, śledzi rozwój literatury chrześcijańskiej we Francji od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia po rok 1950, ale ogranicza się jednak tylko do literatury świeckiej, która, jak mówi: „zawdzięcza chrystianizmowi swe natchnienie, swe kategorie moralne i psychologiczne”. Zostaje więc poza nawiasem jego zadań cała literatura teologiczna, apologetyczna i budująca, zwracająca się w pierwszym rzędzie do wierzących. Simona interesuje w tym dziele głównie chrześcijańska literatura piękna, a więc powieść, poezja, dramat, esej, która zwraca się do publiczności kulturalnej bez względu na jej wyznanie, a wypływa z atmosfery wiary i czerpie z problematyki opierającej się na wewnętrznych konfliktach duszy. Dla podbudowania tła uwzględni autor również dość szeroko piśmiennictwo filozoficzne, gdyż rozwój literatury chrześcijańskiej we Francji był ściśle związany z bujnym rozwojem myśli neotomistycznej, augustiańskiej i ogzystencjalistycznej. Dochodziło na tym polu często do obopólnego zapładniania myśli, ze szczególną korzyścią dla literatury pięknej, która w ostatnich latach przed drugą wojną, pogłębiła niesłychanie swą tematykę, prze-

suwając punkt ciężkości z grzechu, jako przestąpienia prawa Bożego, na grzech w swej istocie, to jest: odrzucenie miłości Boga.

Schyłek XIX w. jest okresem wszechwładnie panującego pozytywizmu i scjentyzmu, a dla literatury chrześcijańskiej epoką najgłębszego bodajże upadku. Wydawało się, że racjonalizm raz na zawsze relegował sprawę Boga, religii, duszy do zakrystii i gazetek dewocjonalnych. Przepaść między inteligencją, wykształconą w duchu encyklopedystów, a wierzącymi, była przeraźliwie głęboka. Taine, France, Zola, bracia Goncourt, Hugo i satelici dostarczali literatury o wysokim poziomie artystycznym, ale chemicznie wypranej z metafizycznych tęsknot człowieka pełnego, przelicytowując się nawzajem w pogaństwie, sceptycyzmie, naturalizmie lub jakimś mglistym panteizmie, gdzie imię Boga wprawdzie występowało niekiedy jako jeden z rekwizytów romantycznych, ale z którym nie wiadomo było właściwie co począć.

Pierwsze skowronki odrodzenia literatury chrześcijańskiej pojawiły się zapanowaniem symbolizmu, wagneryzmu i impresjonizmu, z pojawieniem się tłumaczeń dzieł Dostojewskiego, z pierwszymi nawróceniami, takiego Brunetiéra, Bourgeta, Huysmansa, Claudela, z inwektywami Leona Bloy, modlitwą poetką Verlaina, pismami młodocianymi Gida. Ale początki nie były łatwe. Rewaluacja tradycjonalizmu, którą zapoczątkował Taine, ograniczyła się właściwie tylko do uznania wartości moralnych katolicyzmu z punktu widzenia utylitarne: Kościół jako policja obyczajowości (Taine), lub szpital dusz (Huysmans). Pieśń pokutującego Verlaina, jego mistycyzm i głębokie zrozumienie Chrystusa w zbiorce „La Sagesse”, nie od razu znalazły zro-



zumienie, nawet ze strony katolickiej. Grzmiący głos Bloy nie przenika do szerszego społeczeństwa; jego godzina wybije później, kiedy zgromadzi się wokół niego grono wybitnych konwertytów, z Maritainem na czele. Huysmans, porzucający naturalizm literacki, uprawia coś w rodzaju naturalizmu mistycznego. Claudel, po swym nawróceniu w r. 1886, szuka jeszcze uciążliwie drogi. Gide, napiętnowany przez swe pobożne dzieciństwo protestanckie, stacza dopiero pierwsze walki z Aniołem. Ale mimo to, na przełomie XIX w. widać już, że pancierz zadowolonego z siebie racjonalizmu, nie jest bez słabych miejsc.

Pierwsze 20 lat XX w. odznaczają się we Francji pogłębieniem tradycjonalizmu i rehabilitacją, mniej lub więcej szczerą, myśli religijnej w literaturze i w życiu. Niestety nabiera ów tradycjonalizm nieraz form dość niebezpiecznych przez to, że wiąże się katolicyzm zbyt ściśle z wybujałym nacjonalizmem agnostyka Maurrasa. Tymczasem na polu literackim analiza świadomości religijnej nie dosięga jeszcze, poza małymi wyjątkami, np. u Bourgeta, istoty zła lub istoty łaski, jako źródła życia w Chrystusie. Rewindykuje religię także Barrès, ale czyni to również bardziej przez patriotyzm francuski, niż przez zrozumienie jej istoty. Znacznie dalej w problem łaski sięgnie dopiero Péguy, który spirytualizuje bohaterstwo, wielbi Joannę d'Arc, pisze poemat o Ewie, gdzie stara się uzmysłwić współzależność świata natury i świata łaski. Z pisarzy, którzy w tym okresie wybili się na czoło, jedynie Claudel był wolny od powiązań tradycjonalistycznych. U niego, po findesjeklistycznych wahaniach, dochodzi do głosu wiara w całość swej pełni, przesiąknięta atmosferą cnót teologicznych i radości ewangelicznej. Jest to Claudel pierwszej wersji „Zwiastowania“ p.t. „La jeune fille Violaine“, gdzie autor wdziera się po raz pierwszy w postaci dramatycznej do samego serca problemu świętości, ofiary i łaski z niesłuchaną celnością i zrozumieniem. W dziedzinie powieści chrześcijańskiej wznosi się najwyżej w tym okresie Gide powieścią „La porte étroite“, twierdzi Simon. Uważa on ją za pierwszą powieść „specyficzną chrześcijańską w literaturze francuskiej“, o ile nie liczyć dzieła Sainte-Beuva, p.t. „Volupté“. Mimo iż nie jest ona wolna od pewnych intencji ironicznych, i choć klimat jej jest purytańsko-protestancki, nie można zaprzeczyć Gidowi, że problem grzechu postawił w niej poprawnie i w pewnym sensie wskazał literaturze chrześcijańskiej między dwiema wojnami ścieżki znacznie trudniejsze, którymi ona pójdzie niebawem. Sam Gide, jednakże, po roku 1920, coraz bardziej się będzie oddalać od chrześcijaństwa, zdążając ku sceptycyzmowi i pogodnemu pogaństwu à la Petroniusz z „Quo Vadis“.

Lata międzywojenne nazywa Simon okresem teologicznym, który cechuje „zainteresowanie sprawami ostatecznymi, pragnienie dotarcia do istoty rzeczy i umiejętność doszukiwania się wyjątku metafizycznego“ w poczynaniach ludzkich. Jest to okres ostatecznego zdobycia sobie posłuchu i uznania przez literaturę, już w ścisłym znaczeniu, katolicką. Obok Bernanosa i Mauriaca, którzy w dwojaki sposób reprezentują powieść katolicką, Claudel zdobywa sobie ostatecznie szeroką sławę w drama-

cie poetyckim i poezji. Także na polu krytyki literackiej pojawiają się twórcy o niezwykłym talencie, którzy swymi dziełami przyczyniają się do zdobycia literaturze katolickiej, że tak powiem, prawa obywatelstwa i równouprawnienia. Dzieła jezuita Bremond, który bada intymne powiązania poezji z modlitwą (Prière et Poésie), i niesłuchanie wnikliwej krytyki Du Bosa, który od r. 1928, to jest od swego nawrócenia, otwarcie występuje jako pisarz katolicki, ale którego już od dawna nic tak w literaturze nie interesowało, jak jej „sens religieux“ (wydźwięk religijny), są czytane i komentowane przez ogół społeczeństwa kulturalnego Francji. W filozofii jest to okres najpoważniejszych dzieł Bergsona, którego uważa się za największego sojusznika katolicyzmu spoza jego szeregów, Maritaina, Gilsona, Marcela i prawnosławnego Berdiejewa.

Obok powieści zdecydowanie katolickiej bujnie rozwija się także jej gałąź mniej autentyczna, którą reprezentuje Montherlant, Jouhandeau oraz Julien Green, zanim, po swym drugim nawróceniu nie da nam już dzieł, które, malując świat bez Boga, dają nam tym bardziej odczuć Jego potrzebę.

W dwudziestolecie zostaje nareszcie rozwiązany problem powieści katolickiej, bo taki rzeczywiście istnieje. Chodzi bowiem o to w jaki sposób pisać, ażeby z jednej strony nie popaść w konflikt z rzeczywistością, malując tylko postaci doskonałe, wzniosłe i anielskie, a z drugiej nie gorszyć, opisując zło, wynikające z namiętności ludzkich, które są w pierwszym rzędzie materialem pisarza. Mauriac znalazł rozwiązanie tego dylematu w pojedynku między łaską i grzechem, który nadaje całej twórczości Mauriaca jej znaczenie i zdradza jej zaangażowanie.

Dzieło Bernanosa jest dalszym pogłęb-

bieniem tego pojedynku, z tą ważną różnicą, że jest ono postawieniem problemu łaski i grzechu w proporcjach świętości z jednej, a satanizmu z drugiej strony. Stąd też jego dzieła są pełne postaci, nad którymi unosi się albo aura potępienia i siarki, albo aura wzruszającej swą prostotą świętości. W tym uwidacznia się u Bernanosa wpływ Leona Bloy.

Niesposób w tej recenzji wymienić nawet najważniejszych nazwisk i dzieł pisarzy chrześcijańskich tego okresu, ale nie o to przecież chodziło. Pragnąłem podkreślić za Simonem linie rozwoju literatury chrześcijańskiej we Francji, która w okresie powojennym bynajmniej nie podupadła. Przeciwnie, ilościowo przekracza ona osiągnięcia poprzedniego okresu, natomiast o specyficznej wartości i jej ciężarze gatunkowym za wcześniej mówić. Daniel Rops, powieściopisarz i poeta, przerzucił się na historię Kościoła, która stała się best-sellerem, czytany na całym świecie. Poezję katolicką reprezentuje Patrice de la Tour du Pin, którego ogromna „Suma Poetycka“ zdobyła autorowi renomę Dantego XX w., Pierre Emmanuel, doskonały interpretator tematów biblijnych i dziesiątki innych; prozę katolicką uświetnia pióro Luc Estanga, który kroczy śladami Bernanosa. Teatr wzbogacił się o kilka wysokiej klasy dramatów chrześcijańskich Montherlanta, które, mimo iż ich teologia pozostawia czasem do życzenia, są niewątpliwie cennym dorobkiem literatury chrześcijańskiej. Na tym samym polu działa Gabriel Marcel, dający w swych dramatach wyraz głębokiemu zaangażowaniu egzystencjalizmu chrześcijańskiego w problemy moralności rygorystycznie chrześcijańskiej. Plejada krytyków literackich, poetów i powieściopisarzy wraz z gronem filozofów chrześcijańskich wypełnia obraz. Zainteresowanego czytelnika odsyłam do samego dzieła.

Wysłęk, jaki podjął P. H. Simon, pisząc historię literatury chrześcijańskiej we Francji, w dodatku w tak niedużych rozmiarach, usprawiedliwia pewne braki, pominięcia lub niedostrzeżenia. Istotnie trzeba by jeszcze dodać niejedno nazwisko i niejedno dzieło, n.p. Oskara Miłozza, którego „Miguel Mañara“ ukazał się w tym samym roku co „Zwiastowanie“ Claudela i stanowi jedno z dzieł chrześcijańskich wysokiej klasy. Brak również nazwiska takiego Max Jacoba, Pierre-Jean Jouva, który wywarł ogromny wpływ na całą poezję najnowszą, brak Marietty Martin, której dzieła należą niewątpliwie do kategorii dzieł nie do pominięcia w historii literatury katolickiej. Mimo tych rezerw esej Simona jest solidną próbą przedstawienia czytelnikowi kierunków i dróg rozwoju literatury chrześcijańskiej we Francji. Oczywiście nie było zamiarem autora dać rejestr dzieł i pisarzy chrześcijańskich, i stąd nie można mieć do niego pretensji z tego tytułu. Przyswiewcał mu bowiem cel inny, a mianowicie chęć przeanalizowania i zsyntetyzowania przejawów twórczości chrześcijańskiej ostatnich 70 lat, aby umożliwić nam orientację w tym gąszczu, który się z dnia na dzień zacieśnia. Literatura chrześcijańska we Francji należy bowiem już teraz do najżywoźniejszych i najbardziej silnych gałęzi całej twórczości francuskiej.

Zdzisław E. Wałaszewski

Ks. dr J. Pastuszka

## PSYCHOLOGIA OGÓLNA

Tom I — II

Stron 352 + 372.

Cena 42/6.

Do nabycia:

W KATOLICKIM OŚRODKU  
WYDAWNICZYM „VERITAS“

12, Praed Mews, London, W. 2.

Pius Parsh

## ROK LITURGICZNY

Tom I — III

Stron 378 + 512 + 672.

Cena 65/-.

Na zamówienie wysyła:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy

„VERITAS“

12, Praed Mews, London, W. 2.



# Notatki

O SWICIE 14 lipca zmarł w swojej uroczej, rzymskiej willi na przedmieściu Paryża Montsouris Franciszek Black. Z 78 lat życia 60 przeżył jako emigrant. Urodzony w Warszawie z matki Polki i ojca spolszczonego Szkota, rzeźbił od dzieciństwa. W 18 roku życia ruszył w świat, najpierw do Anglii, którą rychło porzucił, a potem do Paryża, gdzie pozostał, z kilkuletnią przerwą na Szwajcarię, do końca życia. W Paryżu ukończył szkołę des Beaux Arts.

Black po ostatnie swoje dni najchętniej otaczał się młodzieżą, interesował się nowoczesną twórczością, brał udział w wystawach i konkursach, organizował młodych artystów, przyjmował serdecznie gości i dyskutował zawzięcie na Villa du Parc, gdzie często w czasie zebrań towarzyskich koncertowała jego utalentowana córka, pianistka Maya Black. Długo nie wypadało z jego rąk aż po kres życia. Był to artysta o młodzieńczym i sarmackim temperamencie.

Ale twórczość emigrantów zwykle słabszym echem dochodzi do Kraju. Choć całe życie poświęcił Black Polsce i wyjątkowo wykraczał poza tematykę polską, w ojczyźnie stanęły tylko dwa pomniki jego ręki, oba zniszczone przez Niemców: grunwaldzki w Krakowie, którego głównym twórcą był Antoni Wiwulski (Black był współtwórcą pomnika w zakresie technicznym i artystycznym; projektował część bocznych figur) i pułkownika Horsea w Warszawie. Inne projekty, m. in. pomnika Józefa Piłsudskiego i alegorii morza w Gdyni, wykonane w plaketach, nie doczekały się urzędowego poświęcenia. Natomiast liczne prace Blacka (przeważnie medaliony portretowe, popiersia i nagrobki) zdobią galerie, prywatne kolekcje, kuluary teatralne i cmentarze Paryża i okolic, Luksemburga i Szwajcarii.

Franciszek Black zaraz po ostatniej wojnie zgłosił gotowość odbudowy pomnika grunwaldzkiego, lecz idea ta nie znalazła zrozumienia w Warszawie. Okres, żeby tak powiedzieć, grunwaldzki (pomnik stanął w 500-lecie zwycięstwa, a więc w roku 1910), był bodaj szczytem w karierze Blacka. W uznaniu jego zasług Ignacy Paderewski, fundator pomnika, wziął artystę w gościnę do Riond-Bossom i Morges, gdzie Black rozwinął ożywioną twórczość wystawiając często swe prace w miastach szwajcarskich, w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową i w czasie jej trwania. Po wojnie osiadł na stałe w Paryżu. Pod okupacją niemiecką zabiegał bez wytchnienia o ulżenie doli artystów polskich.

W świat poszły jego mniejsze prace, ale arcydzieła dłuta Franciszka Blacka pozostały w jego pracowni na Montsouris i teraz przeszły w własność córki. Są to szczytowe osiągnięcia rzeźby polskiej. Przedziwna niewrażliwość na rzeźbę cechuje Polaków. Od ćwierćwiecza i dłużej rzeźby Blacka czekają daremnie na to, by stać się ozdobą narodowych galerii. Są tam dzieła niezwykle szlachetności i wyrazu oraz oryginalnego geniuszu twórczego, jak „Ewa“, „Przebudzenie“, „Spiąca“, „wspomnienie“, portrety cerek — marmury niezwykle sugestyw-

nie wyrażające ruch i światło, mnóstwo portretów, plaket i popiersi, z gipsu, drzewa, brązu i marmuru, zależnie od charakteru postaci: pełne wdzięku, niewinności, dynamiki, ironii, radości, zadumy. Rzeczy te wykonane są głównie w stylu klasycznym. Black jest niezrównanym portrecistą w rzeźbie. Galeria portretów w jego pracowni to jakby panteon dzieł najnowszych Polski: Adam i Władysław Mickiewiczowie, Chopin, Hoene-Wroński, Paderewski, Piłsudski, Sikorski, Żeligowski. Odbudowujące się muzea i galerie polskie powinny ubiec tych amatorów, którzy niewątpliwie będą po śmierci chcieli penetrować pracownię na Montsouris.

Dwa lata temu wyszedł skromny album prac Fr. Blacka z 53 reprodukcjami jego rzeźb w opracowaniu Susanne Dameron, dyrektorki Muzeum Sztuki i Archeologii w Paryżu. Francuzi i Szwajcarzy wysoko cenili zawsze sztukę Blacka, chętnie nabywali do swych galerii jego prace, zamawiali portrety, pisali o rzeźbiarzu, liczyli się z jego zdaniem, odwiedzali go do ostatnich dni. Polacy pochwalali go na cmentarzu zasłużonych w Montmorency.

\*

O KSIĄŻCE emigracyjnej śmiało można powiedzieć, że w miarę jak jej produkcja ilościowo maleje, jej wartość wzrasta. Rok bieżący stoi pod znakiem dobrych książek.

Tuż po Nowym Roku wyszła „Księga Mickiewiczowska“ Polskiego Towarzystwa Naukowego, masywny wolumen, liczący blisko 550 stron i wiele odbitek fotograficznych, z kilku bardzo cennymi pracami naukowymi.

Skutkiem opóźnienia druku księga w stulecie zgonu Mickiewicza zbiegła się z książką dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Krasieńskiego. Tom ten, również zbiorowy, pt. „Krasieński żywy“, objętościowo mniejszy o połowę od księgi Mickiewiczowskiej, wydał Związek Pisarzy na Obczyźnie (skład główny u B. Świderskiego). Na treść jego składają się trzy dotąd nie ogłoszone listy Krasieńskiego ze zbiorów Adama Sierakowskiego — oraz 20 artykułów, w tym kilka cennych prac historyczno-literackich (Ignacego Chrzanowskiego, Wł. Günthera, M. Danilewiczowej, Wł. Folkierskiego, W. Weintrauba, C. Backvisa, I. Wieniewskiego, O. Haleckiego, I. Gałęzowskiej, W. Lednickiego), dwie prace inscenizatorów, kilka wypowiedzi okolicznościowych, 9 zdjęć i 6 fascimiliów listów. Szczególnie wartościową pozycją, prócz listów, jest praca prof. Ign. Chrzanowskiego, którą do druku na podstawie papierów pośmiertnych naszego największego historyka literatury przygotował prof. Pigoń.

Tak więc w pierwszym półroczu ukazały się na emigracji dwie sporej wartości nakowej książki z zakresu historii literatury. Również tom V „Prac zebranych Almae Matris Vilnensis“ przynosi szereg nadzwyczaj ciekawych przyczynków i opracowań z historii politycznej i literatury pięknej.

Monumentalna monografia unii, w języku angielskim „From Florence to Brest (1439-1596)“ prof. Oskara Haleckiego zapisana będzie w bibliografiach pod rokiem 1958, bo taką nosi datę, ale dotarła do rąk czytelników dopiero w roku bieżącym.

Parę tygodni temu wyszła część I tomu II „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej“, poświęcona oddziałom walczącym na Zachodzie i Wschodzie („Kampanie na obczyźnie“). Tom objętościowo mniejszy od poprzednich, lecz bardzo interesujący, gdyż obejmuje dzieje wielu jednostek, które walczyły na lądzie, morzu i w powietrzu. Jest to zbiorowe dzieło anonimowych autorów (choć niektóre opracowania są podpisane, co jest niekonsekwencją redakcyjną; piszący te słowa ma o to żal do wydawców, gdyż sam jest wymienionym w tomie autorem rozdziału o Brygadzie Karpackiej; bo jakże: cytuje się nawet drobne źródła z wymienieniem ich autorów, ale przemilcza się opracowania syntetyczne?). Jest to czwarty kolejny tom Komisji Historycznej PSZ na obczyźnie.

Interesujące, choć płytkie, przyczynki do historii najnowszej wnoszą pamiętniki Tadeusza Katelbacha pt. „Rok złych wroźb (1943)“ („Biblioteka Kultury“). Tymże nakładem pojawił się „Program Związku Komunistów Jugosławii“ w serii „Dokumenty“. Inny tom tej serii: „Kultura masowa“ obejmuje wybór szkiców pisarzy amerykańskich na wymieniony temat, w opracowaniu i tłumaczeniu Czesława Miłosza.

„Kultura“, przodująca w polskim ruchu wydawniczym na emigracji w ciągu roku 1959, wydała ponadto: bibliografię „Kultury“ 1947 — 1957, z zamłowaniem i benedyktyńską starannością opracowaną przez Jana Kowalika (396 stron), Józefa Łobodowskiego tom wierszy pt. „Pieśń o Ukrainie“ (wraz z przekładem na język ukraiński Światosława Hordyńskiego), opowiadanie Tadeusza Nowakowskiego „Syn zadumionych“ (doskonale zbudowane, ale sztuczne w sytuacjach, za nadto „mózgowe“), a ostatnio imponujący przekład „Doktora Ziwago“ pióra Pawła Hostowca (wiersze w przekładzie Józefa Łobodowskiego).

„Londyńska Biblioteka Literacka“ Bolesława Świderskiego wystartowała w roku bieżącym dwoma tomikami: wierszy Józefa Żywiny „Wilcze zjawa“ i dramatem Kazimierza Sowińskiego „Dzień Dominika“. Świderski wydał prócz tego pracę prof. Tadeusza Felsztyna o „Rakietach i podróżach międzyplanetarnych“ z ilustracjami. Do innej dziedziny należy podręcznik „Korespondencja angielska“.

Jako wydawca wystąpił nawet Związek Rolników Polskich w W. Brytanii publikując bardzo pożyteczny „Słownik rolniczy angielsko-polski i polsko-angielski“ w opracowaniu inż. L. Woronowicza.

Wspaniałą ucztę dla miłośników poezji wystawiły „Wiadomości“ przy pomocy Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku oraz subskrybentów wydając 592-stronicowy tom wszystkich dotąd drukowanych „Poezji zebranych“ Kazimierza Wierzyńskiego.

Oficyna Poetów i Malarzy wydała w br. dwa tomiki poezji: Stefana Flukowskiego



go „Wiersze” i Jana Brzękowskiego „Przy-  
szłość nieotwartą”, a Związek Pisarzy ar-  
kuszy poetyckie nr 3: Danuty Bienkowskiej  
„Między liniami”.

Wreszcie „Veritas”. Ze wstydem trzeba  
przyznać, że w roku bieżącym nasze tem-  
po wydawnicze — dla wielu przyczyn  
— osłabło. Ale jednak wydałszy dwie  
książki o tematyce religijnej („Miłosier-  
dzie Boże w dziełach jego” ks. Sopočki i  
ks. Kosteckiego „Boże Macierzyństwo N.  
M. P.” oraz dwa tomy „Biblioteki Pol-  
skiej”: „Pana Henryka” Eugeniusza Szer-  
mentowskiego i F. Goetla „Nie warto być  
małym”).

Powyższy przegląd polskiej działalności  
wydawniczej na emigracji w pierwszym  
półroczu 1959 nie obejmuje całości obra-  
zu. Uniemożliwili nam to wydawcy ską-  
piący tomów recenzyjnych redakcji ZY-  
CIA. Ich strata.

★

FETOWANO z pompą bawiącego w  
Londynie przejazdem na kongres PEN-  
Klubów we Frankfurcie, a potem na wa-  
kacje do Francji, Kazimierza Wierzyń-  
skiego. Organizatorzy dwu wieczorów:  
Związek Pisarzy i aktorzy poddali tak  
wysoki i uroczysty ton tym imprezom, że  
chór śpiewał raczej falsetem niż własnym  
głosem. Aktorzy w większości mówili  
wiersze z przesadnym patosem, odświe-  
nienie, z celebrą i dlatego nie trafiali prze-  
ważnie w istotę poezji Wierzyńskiego,  
spokojnej, ściszonej, pogodnej, wesołej  
(prócz wierszy wojennych). Spokój i ści-  
szenie trzeba umiejętnie interpretować,  
na pewno nie tak jak na pierwszym wie-  
czorze, kiedy do słuchaczy docierały tyl-  
ko oderwane słowa Tolj Korjan i Leo-  
polda Kielanowskiego. Zresztą sala tea-  
tralna „Ogniska” w lecie, a więc przy  
otwartych oknach w sercu Kensingtonu,  
nadaje się wyłącznie na klub brydżowy.  
Najlepiej swe wiersze odczytał autor.

Na oba wieczory zeszyły się tłumy pu-  
bliczności, spragnione poezji czytelnej i  
ujrzenia największego z żyjących polskich  
poetów.

Związek Pisarzy wydał ponadto na  
cześć gościa herbatkę, która skupiła na-  
czelne władze polityczne, sfery towarzy-  
skie, artystyczne, tłum pisarzy i akto-  
rów oraz entuzjastów sztuk pięknych.  
Wierzyński okazał się mówcą nie na mia-  
rę swej poezji, ale zagrzął do zabrania  
głosu kilku znakomitych oratorów, którzy  
chętnie skorzystali z okazji, aby się pu-  
blicznie wzruszyć.

★

NA INNYM MIEJSCU piszemy o 30-  
leciu działalności artystycznej Feliksa  
Konarskiego (Ref-Rena). Skromność te-  
go utalentowanego kompozytora i czło-  
wieka sceny przejawiała się przede wszyst-  
kim w tym, że swój „jubileusz” w mile  
odnowionej salce teatralnej przy Cheps-  
tow Villas, kiedyś polskiej, a dziś estoń-  
skiej, powierzył reżyserii Mariana Hema-  
ra, który też zapowiadał poszczególne  
punkty programu. Tym razem Hemar  
zrobił to płynnie i dowcipnie, aczkolwiek  
o oktawę za sarkastycznie wobec swego  
kolegi. Oczywiście, Hemar jest niezrówna-  
nym satyrykiem, więc trudno od niego  
oczekiwać panegiryków, ale jednak prze-  
sołł. Ostatecznie Konarski to jest ktoś.

Hemar odczytał także jedną ze swych  
najcięższych satyr: o polskich pisa-  
rzach na zjeździe literatów w Moskwie.

Gwiazdą programu była bawiąca go-  
ścinnie w Londynie Vera Gran, bajeczna  
diseuse o nadzwyczajnym i klarow-  
nym głosie, pociągającej aparycji i boga-  
tej skali ekspresji. Dziwne, że Vera Gran  
nie została aktorką filmową.

Prócz Verry Gran, Hemara i Konar-  
skiego w programie wystąpili: Nina Oleń-  
ska, Zięciakiewicz i Malicz (w zastępstwie  
też bardzo uroczy Michał Kiernowski)  
oraz Jerzy Kropiwnicki i Tadeusz Orlo-  
wicz, Rewię wyróżniał umiar, spokój, sto-  
nowanie głosem i gestów oraz elegancja,  
do czego waleń przyczyniła się Vera  
Gran, wnosząc na scenę powiew świa-  
towości. Powtórka w założeniu „Picco-  
lissima Refrenada” była jednym z naj-  
bardziej udanych przedstawień rewio-  
wych w polskim Londynie.

★

„POPIÓŁ I DIAMENT”, najlepszy film  
polski, jaki kiedykolwiek wyprodukowa-  
no i jakiego zapewne żaden długo nie  
prześcignie, krytycy angielscy uznali  
zgodnie za arcydzieło. I w prasie codzien-  
nej, i niedzielnej, popularnej i „high -  
brow”, i w radie. Po raz pierwszy film  
polski w Londynie nie schodzi przez wie-  
le tygodni z ekranu. Przed kinem („Aca-  
demy”) formują się kilometrowe ogonki.  
W czasie wyświetlania filmu nie słyca

## TEATR

# FELIKS KONARSKI

TRZYDZIESTOLECIE pracy aktora,  
kompozytora, reżysera, pieśniarza i poe-  
ty w jednej osobie — bez odnaceń,  
mów, bukietów, lampki wina, dostojnych  
gości i fotografii to rzecz nie do wiary.  
Na emigracji obchodzimy jubileusz  
zwykle w salach ratuszowych gmin  
londyńskich, w powodzi światła i kwia-  
tów, z krakowiankami na scenie, w ule-  
wie laurek i obcałowań, w deszczu mów,  
w błyskach magnezji pana Bednarskiego,  
a często też w obecności dostojników  
państwowych i generalicji, a nawet, by-  
wało, przy dźwiękach hymnu narodowe-  
go. Trzydziestolecie pracy scenicznej i  
kompozytorskiej Feliksa Konarskiego  
dało tylko pomysł duetowi rewiowemu  
Hemar — Ref-Ren do wystawienia no-  
wego programu w mile odnowionym, ale  
maleńkim teatryku estońskim, w świat-  
łach Feliksa Stawińskiego, z jedną tylko  
krakowianką na scenie: Niną Oleńską,  
bez laurek, lecz przy ojcowskich naga-  
nach Hemara, bez mów, magnezji, do-  
stojników i hymnu.

Wytłumaczenia tak niezwykłego jubi-  
leuszu bez oprawy należy szukać w cha-  
kterze jubilata — najskromniejszego,  
najwstydlivszego i najpokorniejszego  
aktora, jakiego oglądał świat i Korona  
polska. Feliks Konarski — bo o nim cią-  
gle mowa — z pokorą przyjmował docin-  
ki jubileuszowe starszego brata w sztuce,  
tak jak kiedyś z pokorą przyjął na-  
dane mu przez Konrada Toma najniedo-  
rzeczniejsze imię sceniczne. Pseudonimy  
aktorskie bywają z reguły brzydsze od  
prawdziwych nazwisk. Któż powie, że  
Veronica Bell brzmi piękniej niż Wera  
Ignatowicz, Gosia Negro niż Małgorzata

nawet oddechu wędzów. Polacy jeszcze po  
wyjściu z kina nie mogą długo odzyskać  
mowy.

Okazuje się, że istnieje jeszcze taka  
sztuka, która chwytą za gardło zarówno  
znawców i smakoszy jak też i szerokie  
masy, zarówno obcych jak swoich. Naj-  
bardziej narodowy, regionalny temat  
wzrusza głęboko obcych. Arcydzieło filmo-  
we Jerzego Andrzejewskiego i Andrzeja  
Wajdy można śmiało uznać za najwybit-  
niejsze polskie osiągnięcie artystyczne  
pokazane Zachodowi po ostatniej wojnie.

★

POLSKI Ośrodek Badań (Polish Re-  
search Centre) z okazji otwarcia nowego  
lokalu urządził przyjęcie, na które nie  
zaproszono ani redakcji ZYCIA, ani „BI-  
BLIOTEKI POLSKIEJ”, ani „GAZETY  
NIEDZIELNEJ”, chociaż oba nasze pi-  
sma i tomy „Biblioteki Polskiej” są syste-  
matycznie wysyłane do Ośrodka Badań.  
Chętnie też zawsze spieszyliśmy z pomo-  
cą Ośrodkowi, gdy tego zażądał. Za to  
na otwarcie nowego lokalu zaproszono  
mnóstwo osób, które, jak z humorystycz-  
nego reportażu „Dziennika Polskiego”  
wynika, nie miały nigdy nic wspólnego z  
tą instytucją i po raz pierwszy w życiu  
przekroczyły jej nowe progi.

A może Polish Research Centre po-  
traktował otwarcie lokalu jako bal i za-  
praszał gości podług zalet towarzyskich?

J. B.

Dyrdzianka, Wojciech Wojtecki niż Woj-  
ciech Wasilewski? A już pseudonim Ref-  
Ren wprost zalatuje cyrkiem albo zgoła  
menażerią. Prostota tego aktora, szlach-  
cica polskiego z Ukrainy, wywodzi się  
z najlepszych tradycji sceny wędrownej.  
Sztuka Konarskiego służyła przez 30 lat  
masom i chociaż w tym czasie przez pol-  
ską scenę i estradę przeszło mnóstwo  
wielkości, żaden z aktorów rewiowych,  
pieśniarzy ni kompozytorów lekkiej pio-  
senki nie może się równać w popularno-  
ści, a także i w podońci, z Konarskim.  
Jeszcze przed wojną wiele piosenek obie-  
gało Kraj, ale — co często bywa dołą  
pieśni — anonimowo, jak np. słynnych  
„Pięciu chłopców z Albatrosa”. W woj-  
sku polskim na Wschodzie i Zachodzie,  
a potem na emigracji piosenki Konar-  
skiego stały się balsamem i pokarmem  
dla tęsknoty, pobudką bojową i ostatnim  
skarbem, jaki nam przypomina ojczyznę.  
Pieśni te na chyłych skrzydłach polecia-  
ły do Kraju, a sława ich urosła do legen-  
darnych rozmiarów. Feliks Konarski  
jest dziś najpopularniejszym autorem i  
kompozytorem piosenki wśród Polaków  
na całym świecie. W jego pieśniach za-  
mykają się wszystkie tęsknoty do „Kra-  
ju, co się nigdy w myślach nie odmienia”,  
do wszystkich jego dzielnic, miast i uro-  
ków, oraz smutek i duma żołnierska.  
Chyba każdy Polak zna pieśni: „Tylko  
tam”, „Piosenkę o Warszawie”, „Może  
dzień, może rok” czy „Czerwone maki na  
Monte Cassino”, a słuchając ich lub śpie-  
wając je każdy zapewne przeżywa te sa-  
me wzruszenia. Piękną dotyka najczulej i  
najcelniej unerwień narodowych.

Przedziwne są losy pieśni. Kompozy-



tor czy autor słów nigdy nie mogą przewidzieć ich powodzenia. Czasem błaha melodyjka i banalne słowa trafiają tak prosto do serc, że pozostają w nich na zawsze, czasem chwila dziejowa bywa tak potężnym pedałem, że skromna, niekiedy zapożyczona, melodia staje się symbolem spraw dziejowych i zrywów narodu, na odwrót też, pieśni doskonale muzycznie i kunsztownie poetycko często się wcale nie przyjmują. Pieśń od wieków była międzynarodowa, a jej wątki i motywy, jak w poezji, krążyły wśród kompozytorów. Nic dziwnego, że i w olbrzymim, w grube setki idącym, dorobku pieśniarskim Konarskiego jest mnóstwo zapożyczeń i przeróbek. Do niektórych jego tekstów muzykę ułożył kto inny. Do „Czerwonych maków“ np. skomponował ją bardzo utalentowany muzyk Alfred Schütz. Konarski poddał mu tylko niewykończony pomysł, no i tekst, urzekającą piękny w prostym refrzenie, choć bardzo kontrowersyjny w części głównej, zwłaszcza z owym „szcurem w chmurach“. Habent sua fata cantilena...

Konarski to talent całkiem samorodny. Nie studiował nigdy muzyki, grał na instrumentach ze słuchu. Pociąg do sceny miał od dzieciństwa. Już w gimnazjum polskim w Kijowie był prezesem kółka dramatycznego, choć wielu starszych dryblasów w służbie Melpomeny przerażało go wiekiem. Zbiegłszy pieszo w roku 1921 z Kijowa, gdzie pozostali rodzice, Konarski dotarł do Warszawy i tu dopiero zdał maturę i zapisał się na uniwersytet. Ale nauka mniej go pociągała od muzyki i sceny. Zaczął komponować piosenki, sam sobie wtrącając na banjo.

Pierwszy podał mu rękę Konrad Tom, unieszczęśliwiając zresztą Konarskiego na całe życie wyborem pseudonimu. Tom prowadził wówczas w Warszawie rewiew „Nowości“. Wystuchawszy wielu kompozycji Konarskiego Tom przyjął i wstawił do programu jedną z nich. „Wiosna, wiosna jest nareszcie“ była pierwszą piosenką Ref-Rena, którą po raz pierwszy w r. 1929 usłyszała Warszawa, a rychło cały kraj.

Dalsze losy Feliksa Konarskiego związały się z wędrownymi teatrykami rewiowymi. Przystawszy do objazdowej pary rewiowej Dobrowolskiego i Cieleckiej, niebawem zaczął niemal w całości komponować dla nich programy, a wkrótce został kierownikiem zespołu. W czasie tych wczesnych objazdów poznał Konarski swą przyszłą żonę — Ninę Oleńską. W tym czasie pisał ponadto piosenki dla sławnych rewii i gwiazd stołecznych, m. in. dla „Qui pro Quo“, dla Pogorzelskiej, Terne, Krukowskiego, Rentgena. W r. 1934, po udanych występach w lwowskim kinie „Colosseum“, zrodziła się w gronie aktorskim myśl założenia stałego wędrownego teatru rewiowego pod własnymi namiotami. Tak powstał „Wesoły Murzyn“, jedno z najpiękniejszych osiągnięć artystów-wagantów w dwudziestolecu. Objężdżał on miasta małopolskie. Na czele tego zespołu stanął Konarski.

Wybuch wojny zastał go we Lwowie. Z ocalałych resztek „Wesołego Murzyna“ i uchodźców z Warszawy Ref-Ren złożył 20-osobową grupę występującą w kinoteatrze „Stylowy“. Wszli w jej skład m. in. Bodo, Bogucki, Godlewski, Eugeniusz Bocheński, Neyowie, Fogg, Wera Gran, Bożyński, Stojowska. Nim minął jednak

rok 1939, okupanci zakazali występów. Po raz pierwszy w „Stylowym“ śpiewano „Kociubińskiego“, z powodu czego NKWD ostrzegło Konarskiego, któremu się ani nie śniło, że może urazić dumę Ukraińców, a to dlatego, że Kociubiński to jeden z poetów tego narodu.

Amatorska orkiestra kolejarzy lwowskich zwróciła się po likwidacji przedstawień w kinie „Stylowy“ do Konarskiego z propozycją rozbudowy przy jego pomocy swego programu muzycznego w muzyczno-rewiowy. 26-osobowy zespół osiągnął takie wyniki, że niebawem władze sowieckie zaproponowały muzykom i artyście kolejowym objazd po miastach rosyjskich. Cóż było robić? Konarski i jego kolejarze objechali trzykrotnie Związek Sowiecki, występując nawet raz z prywatnym koncertem przed „samym“ ministrem kolei, Kaganowiczem, aż za trzecim nawrotem, w Moskwie zaskoczyła ich wojna. Władze sowieckie zawiązyły zespół do Stalingradu i wysadziwszy z pociągu, powierzyły go dobremu losowi. Rzecz jasna, Konarski ze swymi ludźmi powędrował do ośrodka zbornego armii polskiej.

I tak zaczęła się znana dobrze historia „Czołwki Rewiowej“, „Théâtre du Soldat Polonais“ i „Polskiej Parady“, która sformowała się w Rosji przy Armii Polskiej i wędrowała potem z żołnierzem przez Środkowy Wschód i Włochy do Anglii. W skład tego świetnego zespołu wchodziła orkiestra Warsza, grupa Ref-Rena i wielu artystów, którzy znaleźli się na terenie sowieckim i zdołali dotrzeć do wojska. Ogromna większość pieśni, a także skeczów, humoresek scenicznych i wierszy „Czołwki“ i „Parady“ wyszła spod pióra Konarskiego. Artyści polscy stali się atrakcją Teheranu, gdzie podejmował ich wystawnie szach perski, Bagdadu, gdzie dawali przedstawienia dla regenta Iraku oraz osobno dla nieletniego wtedy króla w otoczeniu samych kobiet, Jerozolimy, Tel-Awiwu, a przede wszystkim niezliczonych obozów wojska polskiego i oddziałów brytyjskich. Wybór pieśni Ko-

narskiego z nutami znalazł się w dwu tomikach wydanych nakładem własnym autora, a mianowicie: „Piosenki z plecaka Helenki“ (Rzym 1946) i „Piosenki Ref-Rena“ (Londyn), a wiersze w dwu zbiorach: „Serce na dłoni“ (Londyn 1958) i „Wolna piosenka“ (bez daty).

Gdy wojna minęła, Konarski stał się bardem emigracji i w tym charakterze krzepił serca pieśnią nie tylko ze scen londyńskich i na prowincji angielskiej, ale także w skupiskach polonijnych w Stanach Zj. i Kanadzie oraz we Francji. Przez rok był współpracownikiem polskiej sekcji radia francuskiego. Obecnie znów wybiera się na występy za ocean.

Wiersze, obrazki sceniczne, skecze i teksty do piosenek Konarskiego z pewnością nie są dziełami artystycznymi najwyższej rangi, lecz niewątpliwie najtrafniej wyrażają uczucia powszechnie. Łatwym słowem autor umie wywołać głębokie wzruszenie. Nie ma w tych wierszach i pieśniach gryzącej satyry, lecz tylko sentyment i miłość ziemi i spraw ojczystych, nie ma kunsztu wersyfikacyjnego ni kompozytorskiego, lecz sztuka wzruszania, nie ma snobistycznej kokieterii, lecz niemal ludowa szczerłość wyrazu. Ale w tej prostocie znaleźć można niejedną strofę czystości i piękności kryształu. Twórczość Konarskiego trzeba jednak mierzyć wpływem na masy. Nie łatwo wpływ taki uzyskać, dar to niepowszedni, a nikt chyba większego wpływu od Konarskiego w okresie wojny i po wojnie na masy polskie w dziedzinie piosenki nie osiągnął.

Człowiek pochłonięty każdej chwili sceną i muzyką, pracowity ponad wszelkie wyobrażenie, pogodny, zgodny i pokorny, skromnie oceniający swoją twórczość, autor pieśni, których autorstwa większość ludzi nie zna, Konarski przypomina średniowiecznego rybaka, któremu miłość sztuki przysłańia osobisty pożytek. Dlatego jest to artysta masy, tworzący dla niej, ale też żyjący jej prostym i twardym życiem, które tak pięknie umie rozjaśnić i ozłocić.

J. B.

## SZEKSPIROWSKIE METAMORFOZY

Za dużo afekciarstwa, kramu, ba! nawet tandety w Stratfordzie nad Avonem, podczas szekspirowskich obchodów, zwłaszcza w tym jubileuszowym roku. Trudno nastroić się d z i s na nutę dawnego zaufania do miasteczka autra „Hamleta“, które fascynowało z oddalenia i marzyć się nam za młodych lat.

Nie dalibyśmy wówczas wiary, że późne wnuki Szekspira potrafią rozpętać całą galaz drobno-pamiętkarskiego przemysłu i będą sę chwaliły nie nie znaczącymi szczegółami prywatnego życia swego sławnego ziomka (oraz całej jego, nikogo od stuleci nie interesującej paranteli) — ziomka, który być może nawet nie był rodem z tej miejsciny, a którego historia zalicza do wybranego grona — „men who made England“.

Memorial Theatre, rzecz prosta, (obchodzi właśnie setny swój jubileusz) — prowadzi odrębną politykę, usiłując zakasować apetyty i zapasy „the marry men from the Stratford“. Niekoniecznie to się udaje: targ na Szekspira trwa, nasła

się z pokolenia na pokolenie. L'appetit vient en mangeant.

Był to wielki dar niebios dla całej nacji brytyjskiej, że w dobie panowania mądrych Tudorów, po tryumfalnym odparciu groźnej armady hiszpańskiej, po udanej ekspedycji do Francji, jak też i ekspansji za dalekie morza, a więc i spon-tanicznych w całym kraju uniesień patriotycznych, objawił się geniusz tej miar-y. ...He was the first to explore the mood of the regenerated nation, and exploit it to the uttermost“ — piszą historycy. Był pierwszym Anglikiem, który w-dźwignął na szczyty sztuki teatralnej — symbol ducha i blaski dziejów swego narodu.

Spośród pierwszych dwudziestu dramatów Szekspira, połowa opiewa epizody historyczne, rozgrywające się na kanwie dziejów Wielkiej Brytanii od Ryszarda II po Henryka VIII. Stanowi to zamknięty epos historii. W kunszcie przetwarzania aktualii dziejowych swej ojczyzny — na



niepowtarzalne, wspaniałe twory artystyczne — tkwił główny walor twórczości W. Szekspira. „He was not of an age, but for all, all time“... — pisają o swym największym druhu, w epitafium późniejszym, drugi ówczesny, wchodzący w sławę poeta, Benjamin Bensen.

Mieszkańcy zapadłej miejsciny nad Avonem, trudniący się dawniej zbytem skór, wełny i zboża, ignorowali przez dobrych lat dwieście twórczość sławnego już w świecie dramaturga, aż w błotku ich miasteczka zjawił się opatrzniościowy człowiek. Popularny i wielce przedsiębiorczy aktor z Londynu (z Drury Lane) — David Garrick. Zaczyna on uświadamiać stratfordczyków o ich własnym „Williamie“, obiecuje im złote góry i własnym asumptem buduje pocieszną rotundę, która ma być zalążkiem teatru Szekspira.

W Londynie uciecha: „Wyobraźcie sobie naszego Davida, jak wobec audytorium oszołomionych, nic nie kapujących farmerów i garbarzy — odwała swój przebieg teatralny: „To be or not o be...“ — kpią na funty.

Garrick jest uparty. Sprowadza aktorów, a przezornie i pociesznych merry-makers (kuglarzy); ściągając rozmaitych grajków, do tego ognie sztuczne, i na wiosnę (w sezonie wyścigów) zamierza wystawić... „Dużo hałasu o nic“. (r. 1769) Do otwarcia budy nie dochodzi. Gwałtowna burza z gradobiciem, oberwanie się chmur — szaleje przez trzy doby, zatapiając prowizoryczną scenę i rozpędzając na cztery wiatry sproszonych gości i aktorów.

Jednak zawzięty Garrick nie ustępuje i w kilka lat później montuje wszystko od nowa, tylko bardziej okazałe. Powtarza się identycznie taka sama katastrofa. Zdawać się mogło, że rozsierdzony duch Szekspira (kim by nie był) — nie życzy sobie całej tej farsy w nieważnym miasteczku Stratford.

Garrick nie pozostawia niedokończonych dzieł: już z tamtego świata, kieruje losami stratfordczyków — i jak widzimy, dotrzymuje danego słowa: deszcz złoty (dolarowy) spada dziś na ich głowy.

Co prawda, dopiero w setkę lat po owych katastrofach (a kto, tu i kiedy spieszył z powzięciem jakiegokolwiek bądź decyzji? — festina lente...) Stratford otrzymał nowego mecenasa, miejscowego magnata, właściciela browaru, Edgara Flowera. Buduje on (z własnych funduszy) quasi gotyką, przeszarżowaną w stylu i — jak twierdził (znowu!) Londyn — sentymentalną budowlę, która przez lat trzydzieści odgrywa rolę teatru z prawdziwego zdarzenia, goszcząc w swych murach artystów tej miary, jak Ellen Terry, Henry Irving, Mrs. Campbell, Charles Keane i wielu innych. Sarah Barnardt występuje tu w roli „Hamleta“, ale nie bez pełnej satysfakcji skontaktowałam, że nie grały nigdy w Stratfordzie takie — wielkie tragiczki, jak Eleonora Duse i Helena Modrzejewska.

O naszej rodaczce, z powodu 50-tej rocznicy jej śmierci (w południowej Karolinie) umieszczono w prasie brytyjskiej sporo ciepłych wspomnień, jako „Polish actress with passion for Shakespeare“. Podczas trzykrotnego pobytu na wyspach brytyjskich (lata

1880, 1881 i 1885) występowała ona w Angli, Szkocji, Irlandii, dając ogółem 150 przedstawień. W swej karierze scenicznej odtworzyła 34 role w języku angielskim, z tego 15 ról szekspirowskich, wszystkie na najwyższym poziomie. Krytyka nowojorska, nie bez odcięcia dumy, pisze o Modrzejewskiej: „...hers career in England has been one of the wonders of the modern stage“.

Teatr Szekspira w Stratfordzie zdawało się wchodzić całą parą w okres złotego wieku, gdy niespodzianie jednego pięknego dnia staje w płomieniach (1926). Aczkolwiek zdołano uratować tę część budynku, gdzie mieściła się galeria obrazów, oraz biblioteka (pierwsze wydania dzieł Szekspira; rękopisów tu brak), we wszystkich językach świata, budowała w stylu jakiejś cudacznej świątyni, widziana z drugiego brzegu Avonu — znikła bezpowrotnie.

Sławetny „vieux terrible“ Bernard Shaw nie omieszkął natychmiast wyjechać do ówczesnego managera w Stratfordzie (Bridges Adamsa) gratulacyjnej depezy, dodając na końcu — „I am sure you are delighted“.

Nowy teatr został odbudowany w roku 1932. Tym razem poszło wszystko gładko. Po reżyserskich sukcesach Bensaona, sława jego zaczęła się ugruntowywać, a cały interes — nastawiony na odgrzebane nieprzeżelcone pamiętki po Szekspirze — dobrze prosperować.

Animizje między światem teatralnym (a też i intelektualistami) w Londynie, a Towarzystwem Szekspirowskim w Stratfordzie mogłyby na dobry ład, obchodzić również swój jubileusz: trwają od czasu Davida Garricka. W grę wchodzi... jalouse de la metier. Metropolia, mimo obietnic cacańskich, nie zdobyła się dotychczas na zainstalowanie w swych murach teatru Szekspira, nie posiada też żadnej sceny narodowej czy reprezentacyjnej.

Jak wszędzie i zawsze panoszą się tu rywalizacje personalne. Tyle jest na całym świecie „Szekspirów“, ilu sławnych inscenizatorów, tyle „Hamletów“, „Mackbethów“, „Learów“, czy „Prosperów“ — ilu znakomitych odtwórców.

Każdy usiłuje wnieść własny ton, styl, odczucie wielkiego dramaturga. (Jakżeż różni byli: „Hamlet“ Davida Garricka (wiek XVIII), „Hamlet“ Charles Keana (wiek XIX), i najbardziej popularny, nerwowy, subtelny „Hamlet“ naszego stulecia — Alec Guinness.

Bardziej ortodoksyjnych szekspirowców doprowadzają do pasji nowatorskie zakusy poszczególnych reżyserów. „Mackbeth“ — wystawiony w Stratfordzie na parę lat przed drugą wojną, w tzw. „new look“, uważany był za skandal. „Hamlet“ wyszedł bardziej obronną ręką na tej transformacji, ale od lat dzieje się zaniechano tych prób. Nazywało się to „smartning up Shakespeare“, chyba... „zaondulowanie Szekspira“. Ani w Rosji carskiej, ani w Polsce, ani w Niemczech, ani w żadnych lokalnych teatrach żydowskich, nie wazono się nigdy paczyć, gwałtownie, dzieł wielkiego dramaturga.

„Rewizjonizm“ Szekspira w dobie dzisiejszej sięga głębiej. Podważa się nie bez słuszności zda się już klasyczną maniérę

ujęcia charakterów szekspirowskich, manierę par excellence... romantyczną, upiększającą, idealizującą („O Hamlecie“ — Salvador de Madariaga); wówczas gdy te „charaktery“ — były zrodzone, w głębokim średniowieczu, kiedy panowały zgola inne obyczaje i nieobyczajne, nie egzystosowała zupełnie tzw. „the modern moral ethic“. Najbardziej dostaje się czarującemu „Księciu Duńskiemu“. Zostaje on jak gdyby wywrócony podszewką do góry. Z pokrzywdzonego, przez nikogo nie odgadniętego, „baranka“ — ukazuje się nagle człowiek chcący władzy, uwikłany w sieć egoizmu, zazdrości, ambicji i okrucieństwa, gdy mu chodzi o realizację swych planów. Czar pryska.

Któż z nas, dojrzewając psychicznie na klasykach zachodnich, a już gdy zdołał mając zielono jeszcze w głowie, zachłysnąć się haszyszem literatury rosyjskiej, nie pieścił w wyobraźni swej stuprocentowych „czarusiów“ ze świata fikcyjnego.

Ach, znaleźć się bodaj raz w Anglii, porą wiosenną, gdy cała wyspa jest jedynym bujnie rozkwitającym sadem, udać się do miasteczka Szekspira i usłyszeć bodaj raz w życiu rodowitego syna Albionu, recytującego nieśmiertelne: „to be or not to be“! To już chyba później n gdy i nigdzie nie oglądać Szekspira — marzyło się za młodo...

Czarujący „Hamlet“ i uroczy „Ewgenij Oniegin“ (Puszkina). O psychicznej współzależności tych prototypów, zdawało się nieodpartej urody męskiej, nie miało się wówczas pojęcia. Ogrannie się podobali. Bo... byli tacy niezadowoleni ze wszystkiego co ich otaczało, bo się zamęczali jak motyle wsadzone na szpilki, bo nikt, nikt ich nie rozumiał. A więc my, młodzi, rzucaliśmy ich i admirowali.

Dzisiaj mamy również stuprocentowego „czarusia“, również niezadowolonego, rozgadane go, również jak tamci dwaj — lenia, ale budzi on odrazę. Tamci — niezdolni byli do żmudnych głębszych uczuć, ten, przynajmniej założył rodzinę i jak dotychczas nie zamordował nikogo. Jest nim „Jimmy Porter“, (J. Osborne'a). Podobnie jak tamci — „objectionable man“. Tylko że tamci młodzi ludzie przedstawieni nam byli w aureoli poezji i patosu, w dodatku pięknie prezentujący się i wysławiający... I tu leży zakopany piesek. „I am sick of doing things for people, sick“ — wrzeszczy pyskаты, rozczochrany, w rozchełstanej kcszuli „Jimmy“. Męczy się na swój sposób. Wiemy, że miał gorzkie dzieciństwo, że jest pechowcem, (zdeklasowanym inteligentem), osamotniony w swym małżeństwie, że staje wobec mnogich problemów chaotycznej epoki, i nie wie... „jakim ma być i czy warto w ogóle być“. I absolutnie mu nie współczujemy, wzduszamy ramionami.

Należy do odłamu pokolenia (daleko nie powszechnego), które dojrzewając psychicznie po II wojnie wyzbyte jest tradycją, wiary, ogołocone z ideałów, i nie rozumiejące miłości bliźniego. Pokolenie świadome swej nicości, stąd wściekła pasja zwierzęcia, które samochcąc zapędziło się w ślepią ulicę.

Pierwszy raz dane mi było podziwiać w Londynie, w Old Vic teatrze (głównie występy Teatru Szekspirowskiego ze Stratfordu) — „Hamleta“ w „modern look“ (r. 1938). Alec Guinness — odtwarzał rolę bo-



hatera, Hermione Hannen — „Ofelię“. Oboje — smukli, wytworni, subtelni — grzeli nienagannie, ale nie poznałam mego „Księcia Duńskiego“; jego duszne sprawy oraz dzieje nieszcześliwych kochanków — wydawały mi się pomniejszone, spospoliowane, niemal nieprzyjemne. Na tle współczesnego pałacu Hamlet występował w tweedach, sportowych flanelach, okazjnie w smokingu. Ofelia miała suknie z rewii mód w firmach londyńskich...

Po raz wtóry miałam znów pecha, już w Stratfordzie, znowu „Hamlet“, tym razem „Victorian look“... W głównych rolach: znany aktor z Londynu Robert Helpman oraz 17-letnia zaledwie, wysuwająca się na czoło artystka, Claire Bloom. (rok 1948). Dekracje, kostiumy, efekty świetlne pomysłu reżysera Boenthalla — również sławy swego rodzaju. Tło utrzymane było w stylu epoki wiktoriańskiej (połowa XIX wieku), a więc pompatyczne krynoliny, lśniące cylindry, jaskrawe od czerwieni, złotych lampasów i guzów mundury wojskowe. Przedstawienie — doskonałe. A jednak, nie mogłam się połączyć, znowu, dlaczego cały „klimat“ miłości tych dwojga amantów wydaje się tak prozaiczny, mimo całej poezji, która ich otacza od wieków!

Odpowiedź znalazłam po przeczytaniu wspaniałej i wspomnianej już pracy intelektualisty hiszpańskiego Salvadora de Madariaga. Kładąc pod lupę każdą wypowiedź osób działających w dramacie, dowiódł bez trudności, że fascynowali nas przez pryzmat różowych okularów. Wyidealizowani kochankowie — okazują się po prostu wielkimi... graczami z premedytacją, „Hamlet“ nie kochał głęboką miłością uroczego damy dworu, bo w ogóle nie kochał nikogo na świecie, prócz samego siebie. Wygodniej mu było... maskować szaleństwo, aby ukryć wybryki. „Ofelia“ — nie szalała, bezinteresownie za księciem, dążyła konsekwentnie do poślubienia następcy tronu, marząc o koronie na głowie. Wygodniej jej było udawać... pomyłką, aby ukryć drastyczną sytuację, w której się znalazła. Gdy wszystko runęło, straciła panowanie nad sobą; postradała zmysły, i uważała dalszą swą egzystencję za bezcelową...

Oczywiście, gdy miało się jedyny cel w życiu, wywyższenie i dogodzenie ambicjom swojej osoby. Gdy innych celów w życiu nie dostrzegała.

Stratford — odwiedziłam kilkakrotnie, z różnym powodzeniem i nastawieniem. Inaczej, rzecz prosta, oglądało się tę skażynad szarą miścinę, ale na tle wspaniałego, nabitego historią hrabstwa Warwickshire, które jest jak gdyby szpikiem stosu pacierzowego Anglii, tej Anglii, która urzekała naszą wyobraźnię poprzez pogodną idylle i sielankowe cpowieści Tennysona, poprzez historyczne książki Waltera Scotta.

Tegoroczny wypad był mniej udany. Tłok, jak na Piccadilly, upał, gremialny najazd Amerykanów, którzy mają Memorial Theatre za swoją domenę, skoro w 50 prc. przyczynili się do wzniesienia masywnego, ultra nowoczesnego (rażącego stylem w stosunku do całego otoczenia) bloku, wyposazonego w najnowsze zdobycze techniki: dwie sceny obrotowe, świetna akustyka, piękne garderoby, foyer

— zawieszono od podłogi po sufity, panorama zdjęć fotograficznych (naturalnej wielkości) wszystkich gwiazd teatralnych, które tu się popisywały. Ma to być arka łącząca erę Elżbiety I z erą Elżbiety II; nie słycać co prawda, aby dzisiejsi mieszkańcy Buckingham Palace zaszczytali Stratford swoją obecnością.

Uczciwie muszę przyznać, że w żadnym z licznych grill-room'ów nie proponowano nam, jak lat ubiegłych, „eggs and bacon, à la Shakespeare“, nikt nie kusił do nabycia kołatek czy klamek do drzwi, kafelek czy pogrzebaczy do kominków itp. pamiątek, upiękuszonych wizerunkiem gentlemana z bródką przyciętą w szpic, nikt nie namawiał do kosztowania w barach „a drink with Shakespeare“, autentycznego piwa (ciepłego jak zwykle!), które swego czasu pijał tu mstrz, z kubków cynowych identycznych, takich samych jak za jego czasów... Ale i tak za dużo było tumultu, a za mało... ducha człowieka, dzięki sławie którego bogacieje z sezonu na sezon cała okolica.

Wzdłuż Memorial Theatre, na wszystkich piętrach biegną balkony-tarasy, wychodzące na Avon. Siwa, nasiąkła rodzinną melancholią „typical English river“. Leniwie, ach jakże leniwie, płynie i wiję się przez sielankowy krajobraz na wyspie. Nie wiadomo dlaczego turybicy zapewniali, że jest to... „rzeka Ofelia“.

Obecny dyktator Memorial Theatre, śmiały w pomysłach i pełen niespożytej energii, Peter Hall, zdział już rozpętać burzę krytyki w Londynie, sprowadzając na otwarcie Jubileuszu, do roli Othella, sławnego, kolorowego śpiewaka, Paula Robersona. Śpiewak wspaniały, ale żaden aktor dramatyczny. Słyszałam zdanie, że delikatna, zwiwna Mary Ure, w

roli Desdemony, wyglądała przy nim... i brzęczała jak slichna, złota muszka przy huczącym bąku.

W dniu naszego wypadu do Stratfordu — wypadł „Coriolanus“, najsłabsza bodaj sztuka Szekspira, w której nie zdołano odgadnąć, czy chodzi o alegorie polityczne, czy o stosunek autora do opinii publicznej, czy o konflikt rodzinny, między matką a działającym na opak synem, za którego czyny była odpowiedzialna.

„The stupidest of tragic heroes“ w pompatycznych szatach patrycjusza rzymskiego nie zaimponował niczym, mimo iż cdtwarzał go wspaniały Laurence Olivier. Pragnąc wyciągnąć za uszy n'eporadnego bohatera, nadużywał nawet swych niezawodnych tricków scenicznych.

A w tym samym dniu w Londynie, w odnowionym świeżo Queens Theatre, drugi współczesny as wśród aktorów szekspirowskich, o niezrównanym głosie i skupionej ekspresji, zainaugurował niebywałą dotychczas w Londynie innowację... Sam jeden, mając za dekorację tylko kotary, a przed sobą pulpit, recytował z pamięci główne monologi bohaterów szekspirowskich — Hamleta, Ryszarda II, Mackbetha, Jul'usza Cezara, Romea, Leara (według znanej antologii przebojów szekspirowskich, George'a Rylandsa), przepłatając je dla odprężenia słuchaczy sonetami: „Lukrecjusz“ oraz „Venus i Adonis“.

Wbrew przewidywaniom, powodzenie było zasłużone... John Gielgud występował w tych rolach niejednokrotnie, a obecnie, w solowej recytacji utrwalił swoją sławę.

I to był również... Szekspir z odmianą.

Han, Skar-wicz

## ROK LITERACKI

Ten przegląd działalności Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie obejmuje drugie półrocze 1958 i pierwsze 1959. Terenem poczynia Związku jest głównie Londyn, gdzie znajdują się centrala, choć członkowie (stu kilkudziesięciu) rozsiani są po całym wolnym świecie.

Związek Pisarzy jest organizacją zawodową; zakres prac takiej organizacji powinien być normalnie wieloraki. Na emigracji interesy zawodowe są oczywiście na dalekim planie, bo na pierwszym stoją sprawy narodowe. Istnienie ZPPNO jest w samym założeniu sprawą polityczną i dla założeń ogólnonarodowych rezygnuje się często z najbardziej podstawowych praw, jak praca w swojej specjalności czy godziwa płaca. Jeżeli członkowie Związku korzystali od czasu do czasu z pomocy czynników polskich lub obcych — były to wypadki sporadyczne i przeważnie od Związku niezależne. Nie ma zasiłków dla członków, ba, nawet nie istnieje fundusze na pomoc w nagłych potrzebach...

„Dom Pisarza“ nie podlega Związkowi; pośrednictwo pracy nie istnieje; wydawnictwa zawierają umowy oparte na indywidualnych układach, nie ma ustalonych minimalnych stawek za artykuły, na wzór choćby stawek dla członków ZASP-u, itd.

Za to kwitną spotkania literackie, wieczory technicznie na wysokim poziomie, z udziałem literatów i aktorów o ustalonej i zasłużonej sławie. Te wieczory są jak gdyby przeglądem polskiego „Parnasu“, nie tylko londyńskiego, bo Związek ma nieraz gości i spoza mórz i z Polski.

Kazimierz Wierzyński miał wieczory swoje dwukrotnie: w związku z ukazaniem się przed rokiem jego dzieł zbiorowych, nakładem londyńskich „Wiadomości“, a w czerwcu b.r. w związku z przyjazdem Poety do Londynu. W r. ub. cały zastęp aktorski wystąpił na scenie „Ogniska Polskiego“; byli tam: Maria Arczyńska, Jadwiga Domańska, Krystyna Dygat, Barbara Galicówna, Tola Korian, Romana Pawłowska, Barbara Reńska, Bohdan Doliński, Leopold Kielanowski, Kiersnowscy, ojciec i syn, Ref-Ren, Zygmunt Rewkowski, Witold Sikorski i Zygmunt Wojtecki; oprawa sceniczną J. Smosarskiego; fortepian Jerzy Kropiwnicki; słowo wstępne — Juliusz Sakowski. W r.b. był obecny sam Wierzyński; obok niego recytowali: Tola Korian i Leopold Kielanowski; — o twórczości poety mówili: Wiesław Wohnout i Tymon Terlecki.

Wieczory autorskie jednoosobowe zorganizowano dla Ryszarda Kiersnowskie-



go, (obok autora wystąpili: Krystyna Dygat i Zygmunt Rewkowski); dla Mieczysława Lisiewicza — w 40-lecie jego twórczości (wśród wykonawców: Barbara Galicówna, Roman Ratschka, Stanisław Szpiganowicz, Wojciech Wojtecki i Stanisław Zięciakiewicz); dla Jana Rostworowskiego.

Uczczono pamięć ś.p. Herminii Naglerowej wieczorem pod przewodnictwem Józefa Kisielewskiego; uczestniczyli: Jadwiga Domańska, Wanda Pełczyńska, Wiesław Wahnout, Beata Oberżyńska i Wanda Reszczyńska-Stypińska.

Drugi wieczór poświęcono Stanisławowi Młodożeńcowi. O twórcy polskiego futuryzmu w wieczorze p.t. „Młodożeniec na tle epoki“ mówili: Jan Bielatowicz, Marian Czuchnowski oraz Bogdan Czaykowski; recytowali: Olga Żeromska i Władysław Dybowski, oboje z grupy „Pro Arte“.

Na swoim wieczorze, prof. Zygmunt Zaleski z Paryża mówił o krytyce bezpo-

średniej, której zasady opracował przed laty.

Związek miał możność urządzić kilka wieczorów dla gości z Polski; byli to: dramaturg Ludwik Hieronim Morstin; poeci: Paweł Hertz, Juliusz Żuławski i Stefan Flukowski.

W wieczorach zbiorowych wzięło łącznie udział ponad 20 pisarzy. Tematy: „W stulecie śmierci Zygmunta Krasińskiego“, „Londyn w oczach pisarzy“, „Wieczór nagrodzonych w 1958 r.“, „W pracowniach pisarzy“, wieczór poświęcony „Polsce Walczącej“ w ostatniej wojnie oraz wspólny wieczór autorski Józefa Żywiny i Kazimierza Sowińskiego.

Nagrody Związku Pisarzy w r. 1958 dostali: M. Hemar, F. Goetel, Z. Zaremba, W. Tarnawski, F. Śmieja. (Jury w składzie: Jan Bielatowicz, Józef Kisielewski, Stefan Legeżyński, Juliusz Sakowski, Tymon Terlecki, Ignacy Wieniewski i Wiesław Wahnout).

„Herbatki koleżeńskie“, z udziałem

członków Związku i zaproszonych osobistości życia artystycznego, naukowego i politycznego, odbyły się dla następujących pisarzy: Zuzanny Rabskiej, Zygmunta Mycielskiego, Jerzego Turowicza — z Kraju; Kazimierza Wierzyńskiego, prof. Edmunda Ordona, prof. Wiktora Weintrauba — ze Stanów Zjednoczonych, oraz dla dwu pisarzy angielskich: Jocelyn Baines, conradologa, i Artura Hedleya, chopinologa.

Akceji wieczorów literackich nadał rozmach poprzedni prezes dr Tymon Terlecki; prowadzi ją Związek nadal pod przewodnictwem Wiesława Wahnouta. Istnieje i rozwija się dzięki temu żywa trybuna o praktycznym znaczeniu kulturalnym; szkoda, że autorzy najmłodszego pokolenia trzymają się na ogół z dala od Związku, choć Związek nie szczędzi zachęty i pomocy wydawniczej, w miarę możliwości.

Stefan Legeżyński

## SPRAWY I LUDZIE

(Dokończenie ze str. 26)

### MIESIĄC INWALIDY

Pod protektorem gen. Władysława Andersa Komitet Zbiórkowy (przewodniczący gen. K. Wiśniowski, sek. gen. Kół Oddz.; mgr St. Lis, prezes Zjed. Polskiego w W. Brytanii; mgr St. Soboniewski, prezes SPK; płk J. Bajan, prezes Stow. Lotników; mgr W. Nadratowski, prezes Samopomocy Mar. Woj.; J. Domańska, przewodn. Koła Kobiet PSZ; J. Garliński, prezes Koła A. K.; dr St. Benedykt, prezes Zw. b. Więźniów niem.; mgr D. Maciejko, prezes Zw. Inwalidów) wydał odezwę do społeczeństwa:

„...W dniu Święta Żołnierza 15 sierpnia... rozpoczyna się „MIESIĄC INWALIDY“ — akcja zbiórkowa na pomoc inwalidom wojennym. W roku bież. zostają objęci akcją również inwalidzi b. kacetowcy, ofiary więzień i obozów reżymu hitlerowskiego.

W trosce o tych żołnierzy inwalidów, którzy w służbie o wolność Polski stracili zdrowie a częstokroć dotknięci są stałym kalectwem, zwracamy się do ogółu społeczeństwa polskiego z gorącym apelem o wydatną pomoc materialną. Złóżcie taką ofiarę, na jaką was stać, ale złóżcie ją wszyscy...

Pamiętajcie, że od wyniku akcji zbiórkowej zależy rozmiar i wysokość pomocy materialnej, jaką otrzymają inwalidzi polscy w ciągu roku...“

Ofiary przesyła się pod adresem: Związek Inwalidów Wojennych PSZ, 61 Chepstow Place, London, W.2. (Union of Polish War Disabled Ex-Servicemen Ltd.).

### MECENAS GRABOWSKI

Ze rodacy chwalał Mateusza Grabowskiego — to naturalne: za Aptekę Grabowską, za akcję pomocy dla Kraju, za filantropię uczynną i rozsądną, za Galerię Grabowską.

Ciekawszym dla nas jest wobec tego stwierdzenie, iż powściągliwą w pochwałach dla cudzoziemców tubylcy chwala „naszego“ Grabowskiego niezwykle wyrażając. Oto tłumaczenie notatki z londyńskiego „Daily Telegraph“ (11. 8. 59) pt. „Artyści jutra“.

„Stało się udziałem polskiego aptekarza emigranta w Londynie zapoczątkowanie planu mecenasostwa sztuki, jaki by powinien być zadaniem przemysłu brytyjskiego.

Dzisiaj rano sześciu londyńskich studentów malarstwa otrzymuje czeki od Mateusza Grabowskiego, jako nagrody za ich pierwsze wystawione prace. Nagrody te przyznał im, gdy dzieła sześciu najwybitniejszych młodych malarzy studiujących w sześciu czołowych szkołach sztuk pięknych w Londynie, zostały osądzone przez jury z przedstawicielką tychże szkół na wystawie w Galerii Grabowskiej przy Sloane Avenue.

Dzisiejszy importer i eksporter wyrobów farmaceutycznych, p. Grabowski, przybył do Anglii z wojskiem polskim w 1941 roku. W początku bieżącego roku założył galerię obok swojego przedsiębiorstwa. Po raz pierwszy możemy oglądać pod jednym dachem roczny dorobek najlepszych prac ze szkół: „Slade“, „St. Martin“, „Goldsmith“, „Central“, „Chelsea“ i „Polytechnic“.

Niebawem Galeria Grabowskiej urządzi wielką wystawę prac malarzy z Kraju.

### ORCHARD LAKE

DIAMENTOWY JUBILEUSZ SEMINARIUM POLSKIEGO W ORCHARD LAKE rozpoczął się 22 lipca. Tej rocznicy poświęcono specjalny numer „SODALISA“.

Rektor Seminarium ks. Wacław J. Filipowicz pisze:

„W lipcu wkraczamy w progi Jubileuszu. Przez cały rok będziemy święcili uroczystości i pożytecznie siedemdziesięcio pięcio-lecie istnienia Seminarium Polskiego. Jubileusz Diamentowy.

Będziemy chwalił Boga i dziękowali Mu za siedemdziesiąt pięć lat Modlitwy, Pracy, Poświęcenia dla Kościoła Bożego i dla Ludu Polskiego w Ameryce.

Przeszło siedemdziesiąt pięć lat temu ks. Józef Dąbrowski pisał do Polonii w Ameryce: „Udanie się lub nie udanie seminarium w Ameryce, zdecyduje czy Polacy na przyszłość mają zostać Polakami i katolikami, czy mają się wynarodowić i utracić wiarę a z wiarą niebo... Dobrze zrozumiany nasz interes w sprawie religii i narodowości naszej tego wymaga, ażeby się Polacy razem trzymali, nie odstępując swej narodowości. Religia uczy nas kochać Boga nad wszystko, a wszystko inne kochać w Bogu; w Bogu więc i po Bożemu mamy kochać i narodowość naszą. Religia nie wyłącza miłości kraju i swej narodowości, ale ją uzacnia; kościół zabrania wybrków i częć bałwochwalczą dla narodowości. Z drugiej strony, naród nasz jest głęboko katolickim i póki Polacy będą Polakami, będzie to wielką podporą dla religii. Tym więc sposobem religia i narodowość nasza razem się wspierają... Temu wszystkiemu może tylko zarządzić seminarium, które może dostarczyć odpowiedniej liczby pobożnych, roztropnych, gorliwych i znających swoje stanowisko kapłanów polskich... To seminarium postawi nas ostatecznie na nogi, podtrzyma w nas religię i narodowość, będzie ono dla nas tym, czego nam brakuje wobec innych, zjedna szacunek dla Polaków i pomyślność... Bóg nam będzie błogosławił — cały naród tu i w Europie będzie nam wdzięczny za naszą pracę i jedność w działaniu dla dobra religii i narodowości naszej.“

Seminarium Polskie w roku jubileuszowym staje do raportu. Będzie zdawało sprawę Bogu, ks. J. Dąbrowskiemu i Polonii w Ameryce ze swej misji duchowej i narodowej.

Seminarium Polskie przetrwało próbe czasu, żyje dotąd życiem intensywnym i z niezachwianą wiarą i wolą podąża nadal z wielką gorliwością do swych nakreślonych celów. Seminarium Polskie dziś jest, bo dusza Polonii amerykańskiej jest katolicką. Dusza Polonii amerykańskiej jest katolicką, bo istnieje Seminarium Polskie.



## BŁĘKITNE SZTANDARY

Ks. prow. J. Jarzębowski, MIC, nadsyła swój list do redakcji Biuletynu Informacyjnego „Orka” w Chicago, prosząc o przedruk. Protestuje w liście przeciwko wydrukowaniu w Biuletynie pieśni „Zielne rozwinmy sztandary” (nr 4-5 z kwietnia - maja 1959):

„...Jest to plagiat — pisze ks. Jarzębowski — ze znanego hymnu sodalicyjnego: „Błękitne rozwinmy sztandary”, który jest hymnem Kolegiów Księży Marianów i maryjnych korporacji religijnych, a nie organizacji partyjnych, o charakterze klasowym; jest więc powszechnie w Polsce przyjętą pieśnią ku czci Matki Boskiej; ...od r. 1954 ten polski hymn stał się, w tłumaczeniu łacińskim, hymnem światowym Sodalicji Marianskich, pod tytułem „Vexilla Reginae in alta”.

Jako autor tego hymnu (słów i melodii), który uzyskał niespodzianą popularność, wyrażam zdecydowany sprzeciw i protest, by ktokolwiek i w jakikolwiek sposób dostosowywał go do celów politycznych, nadużywając i zniekształcając jego treść i melodię.

Przed kilku miesiącami z rozrzewnieniem oglądałem ulotkę moich „Błękitnych sztandarów”, drukowaną w czasie Powstania Warszawskiego, jako pieśń na dzień 15 sierpnia 1944 r., na barykadach Warszawy. Powstańcy zachowali nienaruszony tekst, który jest wyrazem hołdu i czci młodzieży polskiej dla Matki Najświętszej, Królowej i Hetmanki Narodu.

Ze wzruszeniem oglądałem niedawno nagrany prywatnie w Polsce film ze słuchawek Jasnogórskich w 1956 r., gdzie hymn ten śpiewa tłum wędrujących na Jasną Górę pątników.

Tym bardziej boleśnie odczułem zamach na sens i cel pierwotny hymnu „Błękitne sztandary”, parodiujący go do hasła i walk partyjnych...”

Oby Polonia w roku jubileuszowym wzniosła ręce do Boga w modlitwie uwielbienia i dziękczynienia za łaskę zachowania i przymnożonej wiary.

Oby Polonia w roku jubileuszowym złożyła hołd wdzięczności Fundatorom Seminarium Polskiego, którzy wytyczyli drogę i rozpoczęli budowę gmachu Polonii na fundamentach silnych.

Oby Polonia w roku jubileuszowym zrozumiała i przejęła się swym dziedzictwem — Seminarium Polskim — i otoczyła je wzmożoną troską i opieką.”

Numer 70-stronicowy przynosi m. in.: przemówienie J.E. ks. arcybiskupa J. F. Deardena z Detroit o „czcigodnej i świętej instytucji”; prace ks. ks. W. Jasińskiego i Z. Peszkowskiego o Seminarium; zbiór sprawozdań z działalności katolickich zrępowanych dokoła Seminarium pt.: „Seminarium Polskie, a współczesny katolicki ruch umysłowy Polonii” (wśród wielu są budujące przejały działalności PKSU „Veritas”); interesujące artykuły o polskich hymnach (ks. dr J. Rybiński) i budownictwie kościelnym (ks. dr J. Myrda) itd.

**RADIOSTACJA POLSKA W DETROIT** wzięła udział w staraniach o propagowanie ZYCIA. Od Redakcji i Zespołu pisma skierowano następujący list do dyrektorów polskiego programu, pp. Eugeniusza Konstantynowicza i Mariana Kreutza:

„Szanowni Panowie,

Dowiadujemy się od pani Alicji Kowalczyk, że — dzięki niezwyklej uczynności Panów — Polskie Radio w Detroit dopomogło w akcji zjednywania prenumeratorów dla miesięcznika ZYCIE i ofiar na „FUNDUSZ ZYCIA”.

Składamy Panom i radiostacji najserdeczniejsze podziękowanie. Będziemy pisać w ZYCIU o tym obywatelskim geście. Także dlatego, że pomoc Panów powinna być przykładem dla innych ośrodków przyjaciół polskiej sprawy.

Katolicki miesięcznik, jako organ polskiej inteligencji, jest ważną placówką myśli i wymiany kulturalnej między kołami polskimi a katolickimi społeczeństwami w wolnym świecie. ZYCIE jest również łącznikiem dla niezależnej myśli katolickiej w Polsce. Dowodzi tego zainteresowanie wśród Rodaków w Kraju... Rozwój ZYCIA i zapewnienie mu samowystarczalności to nasz obowiązek wspólny. Wdzięczni jesteśmy za pomoc w jego wykonaniu.

Łączymy wyrazy szacunku i najlepsze życzenia dla Radiostacji Polskiej w Detroit.”

## POCHWAŁA „ZYCIA”

Od dyrekcji wystawy pism i druków religijnych w Londynie, dostaliśmy uprzejme potwierdzenie odbioru numerów ZYCIA i... komplement:

„...we are delighted to see ZYCIE and congratulate you on its up to date appearance...”

\*

„HORYZONTY”, Paryż-Londyn-Nowy Jork: miesięcznik założony w Paryżu przez Witolda Olszewskiego (Cena: 200 frs, 3/6, 0.75 dol.; — 39, avenue de la République, Bessancourt, S.et-O.), przechodzi na formę drukowaną... Wydawcy piszą:

„...Wydawanie pisma na emigracji jest przedsięwzięciem trudnym i ryzykownym. Przedsięwzięcie takie potrzebuje co najmniej trzech czynników techniczno-organizacyjnych: pieniędzy, fachowców, chętnych i płacących czytelników...”

„HORYZONTY” powstały dzięki skromnym oszczędnościom paru ludzi i wytrwałej, upartej pracy jednego człowieka. W niespełna dwa lata później „HORYZONTY” stały się pismem samowystarczalnem... W trzecią rocznicę istnienia... przechodzimy na normalny druk... Jednak powstaje znów deficyt... Zwracamy się więc z gorącym apelem do wszystkich czytelników naszego pisma,

(Dokończenie na str. 40)

## ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII

Nr 8/9 (569/570)

Sierpień - wrzesień 1959 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, 12 Praed Mews, London, W.2  
Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.  
Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 620; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1240; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00, fr. fr. 2480. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku sterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ZYCIA. Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £1.50, dol. 3.00., fr.fr. 1000. Kolor 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. Australia: „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., Vistula (Aust.) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. Belgia: Mme E. Kulakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. Brazylia: ks. dr Antoni Łatka, Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. Francja: W. Olszewski, 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S.et-O.) C. C. P. Paris 13512.43. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Vatra Trade, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. Niemcy: St. Mikieluk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. Norwegia: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjednoczone: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 1176 Woodland Ave., Plainfield, N.J. „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Miss Alicja Kowalczyk, 12135 St. Aubin Hamtramck 12, Mich. Szwajcaria: Mme B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. Szwecja: Mgr B. Kurowski, Lund, Revingsgatan 13B. Pren. kwart. 7.00 krs. Włochy: Antoni Grzybowski, via C. T. Odescalchi 31/17, Roma.



## SPRAWY I LUDZIE

aby zrobili w granicach swych możliwości zbiorowy wysiłek na rzecz rozwoju HORYZONTÓW..."

Pismo i ludzie koło niego skupieni, to zasługująca na szacunek niezależna próba ożywienia i unowocześnienia spuścizny „oboju narodowego“. W wypowiedzi redakcyjnej („Nasza droga“) czytamy m. in.: „...Na samym wstępie położyliśmy słowa, że „pragniemy kształtować niezależną od obcych nalatów, od chwilowych potrzeb taktycznych i propagandowej rutyny — doktrynę polityczną...“

W pracy naszej wyciągnęliśmy także „intelektualne konsekwencje ze stwierdzenia, że kultura polska jest jedną z najgłębiej katolickich kultur świata, i że katolicyzm zwłaszcza w Polsce, jest jedynym i wyczerpującym przeciwstawieniem dla komunizmu...“

Pierwszy drukowany numer (czerwiec br.) zawiera m. in. artykuły: Janą Barańskiego, T. Chwaliboga, Jędrzeja Gierzycha, Witolda Olszewskiego, J. Przybyłowicza i S. M. Rostworowskiego.

W „KONTURACH“ z 14. 7. 59 ukazał się ciekawy i ważny artykuł Hanny Bokszczanin pt. „Szkolenie nauczycieli“. Oto wyjątek, wskazujący jak polski język i polski nauczyciel mogą wtargnąć do... brytyjskiej szkoły średniej, a może później i powszechnej:

...Nauczyciele, którzy ukończyli seminarium i którzy wykażą się ponadto eg-

zaminem z języka polskiego, zdany bądź w szkole średniej lub przy uniwersytecie londyńskim, mogą, poza innymi przedmiotami, uczyć również i języka polskiego w szkołach angielskich. Na podstawie informacji, które uzyskałam z ministerstwa oświaty, sprawa ta wygląda następująco.

W tej chwili jedynym rodzajem szkół, w których język polski może być wykładany, są szkoły średnie, gdyż w programie szkół powszechnych języki obce nie są przewidziane. Jest jednak bardzo możliwe, że przy staraniach z naszej strony uda się uzyskać zgodę ministerstwa, w drodze wyjątku, na nauczanie języka polskiego również i w szkołach powszechnych.

Aby zorganizować regularną naukę języka polskiego w danej szkole, trzeba, aby było w niej co najmniej 15 polskich dzieci i wtedy, za zgodą dyrektora, zainteresowani rodzice mogą wystąpić do lokalnych władz oświatowych z prośbą o przydzielenie nauczyciela języka polskiego... Nauczyciel ten musi posiadać brytyjski dyplom nauczycielski, względnie nawet dyplom polski, o ile zostanie on uznany przez brytyjskie ministerstwo oświaty.

...Według otrzymanych informacji, język polski jest już wykładany w tej chwili w Londynie, przez polskich nauczycieli, w dwóch angielskich szkołach średnich."

## ROZPOWSZECHNIJ

### «ŻYCIE»

## WYDAWNICTWA NADESŁANE

**BORYS PASTERNAK — DOKTOR ZIWAGO**, przekł. z ros.: P. Hostowiec, wiersze: J. Łobodowski. Instytut Literacki, Paryż, 1959, t. XLIV Biblioteki „Kultury“, str. 507+5 nl.

**JACQUES LOEW — JOURNAL D'UNE MISSION OUVRIERE 1941 - 1959**. Les Editions du Cerf, Paris, 1959, Str. 476. Cena: 960 frs.

**ABBE ALEXANDRE DE PLATER — D'UN CHATEAU DE COURLANDE A UN PRESBYTERE NIVERNAIS**, (Souvenirs, 1899 - 1950). Editions Subervie, Rodez, 1959, Str. 286+1 nl.

**SŁOWNIK BIOGRAFICZNY PRACOWNIKÓW KSIĄŻKI POLSKIEJ** — Zeszyt próbny. Nakł. Min. Szkolnictwa Wyz., Łódź, 1958, Str. 135+6 nl.

**POLAND & GERMANY**, A quarterly review, July 1959, Nr. 9. Studies Centre of Polish - German Affairs, London, Str. 52. Cena: 3/6.

**CAHIERS POLOGNE - ALLEMAGNE** (Faits et Documents), kwartalnik, nr 2. lipiec - sierpień - wrzesień 1959. Ed. Sarmatia, Paryż, Str. 127. Cena: 300 frs.

**PRZEGLĄD SPOLECZNY** — komunikat Zjedn. Polskiego w W. Br., nr 40, czerwiec 1959, Londyn, Str. 16.

**MAREK HŁASKO — DER ACHE TAG DER WOCHE**. Wyd. Kiepenheuer & Witsch, Köln - Berlin, 1958, Str. 394.

**ALEKSANDER DALLIN — DEUTSCHE HERRSCHAFT IN RUSSLAND 1941 - 45**, Droste Verlag, Dusseldorf, 1958, Str. 727.

**WOŁODIMIR JANIW — ZAWDANIA I DIEJATIELNOST U. H. R.** Wzd. Ukraińskiego Ruchu Chrześc., Bruksela, 1959, Str. 127.

### GALERIA GRABOWSKIEGO

84 SLOANE AVENUE,  
LONDON, S. W. 3.

### WYSTAWA PRAC WYBITNYCH GRAFIKÓW Z POLSKI

Wystawiają:

Hal na Chrostowska  
Stefan Damski  
Stanisław Dawski  
Tadeusz Dominik  
Hanna Dąbkowska  
Maria H. szpańska-Neumann  
Mieczysław Jurgielewicz  
Tadeusz Łapiński  
Marian Malina  
Józef Pakulski  
Jerzy Panek  
Edmund Piotrowicz  
Andrzej Rudziński  
Stefan Suberlak  
Ewa Śliwińska  
Mieczysław Wejman

OD DNIA 1 DO 19 WRZESNIA 1959.

Galeria otwarta codziennie od 10-ej rano do 6-ej po poł. Ponadto wyjątkowo Galeria będzie otwarta w niedziele 6 i 13 września 1959 w godzinach od 2-ej do 5-ej po południu.

### BIBLIOTEKA POLSKA

W subskrypcji na wrzesień 1959 r.

WŁADYSŁAW KONOPCZYNSKI

## KIEDY NAMI RZĄDZIŁY KOBIETY

Historia działalności politycznej wybitnych Polek w czasie konfederacji barskiej, oparta na nieogłoszonych dotąd źródłach. „Trochę bohaterstwa, sporo miłości, dużo intryg“ a przede wszystkim owoc ogromnej erudycji największego polskiego historyka okresu niepodległości.

Cena w przedpłacie: szyl. 10/3; dol. 1.50; fr. fr. 700.

Z a m ó w i e n i a :

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS“  
12, Praed Mews, London, W. 2.

||| **LEĆ** samolotem!

||| ale **BAGAŻ** wyślij **NAJTANIEJ**

||| statkiem: dostawa do USA i Kanady trwa około 10 dni, przez:

||| „NEPTUNE“ 30 GREAT TOWER STREET,  
LONDON, E.C.3.

||| oddziały w: HULL, MANCHESTER, LIVERPOOL

||| Dla prenumeratorów ŻYCIA — zniżki.